

**BEATA OSTROWICKA**

**ZŁA DZIEWCZYNA**

*16 lutego, poniedziałek*

Wanna z wałeczkiem brudu. Na niebieskiej, kafelkowej podłodze różowe, wielkie majtki i pończochy. W umywalce grzebień, na nim siwe włosy. Tak co drugi dzień. Bez wyjątku. Przez prawie dwa lata.

Przez prawie dwa lata opowieści jędzy o dobrym wychowaniu, kulturze osobistej, kindersztubie, upadku obyczajów, bo jak to można pokazywać w telewizji reklamę papieru toaletowego i podpasek (słowo to zawsze wypowiedane półgłosem) i postępującej degeneracji młodego pokolenia.

Z szafki wydaję szczotkę i pudło proszku. Mycie brudnej wanny po ciotce to i tak nic w porównaniu z myciem po niej muszli. Myję i powtarzam sobie słówka z angielskiego. No, coś dziś jędza zapomina o ziołach. Na pewno jej nie przypomnę. Już posprzątane. Do jutra.

Idę do swojego pokoju. Nadal nie mogę przyzwycząić się do jego wysokości i wielkości. W znacznie mniejszym i niższym mieszkałam przez lata z Angeliką i Patrykiem. I babcią Bronią, która zjeżdżała do nas co zima.

Pod oknem szeroki tapczan, obok stolik na pajęczych nóżkach, biurko z nadstawką, krzesło, dwie szafy, w rogu piec kafłowy przerobiony na elektryczny. Na ścianach kilka litografii i obraz - różowe piwonie w niebieskim wazonie. Ściany szaroszafirowe, ze złotym wzorem winogron. Wymagają natychmiastowego przemalowania. Na dębowym parkiecie dwa wytarte bordowe dywaniki.

Nie lubię tego pokoju. Czuję się w nim jak na zapleczu Desy.

- Marcyńska! Moje zioła! Tylko szybko. Powinnam je wypić dwadzieścia minut temu! Szybko! Szybko! - panikuje jędza. - Przygotowałaś mi już wieczorne tabletki?

I tak będzie do dwudziestej pierwszej. Potem wsadzi sobie w uszy zatyczki, odmówi różaniec i zaśnie. Obudzi się o 6.30, żeby mi powiedzieć, jak to źle spała, nawet nie zmrużyła oka i czy

mogłabym jej zaparzyć herbatkę miętową, bo już nie czuje wątroby. Coraz częściej mam ochotę napluć jej do tych ziółek.

Przez prawie dwa lata. Z wyjątkiem wakacji. Ferii. I świąt.

Za dwa miesiące Wielkanoc. Najpierw posprzątam mieszkanie jędzy, potem nakupię mazurków, serników, buraczków, szynki, bukszpanu, żonkili, bo je lubi, poszukam też cukrowego baranka i pojedę do domu. Mama od razu zagna mnie do roboty. Umyję okna, podłogi, wytrzępię chodniki. Angelika co najwyżej posprząta łazienkę, Patryk pewno znowu się skaleczy albo coś sobie skręci. Pójdziemy do kościoła ze święconką, przyjdzie ciocia Tosia z dziećmi, ojciec znowu się upije. Wrócę do Krakowa i wysłucham biadoleń jędzy o okropieństwie samotnie spędzanych świąt, o bolącej wątrobie i o tym, że w telewizji nie było nic ciekawego.

Najchętniej bym ten czas spędziła całkiem sama.

Biorę zioła z tego wysokiego zielonego pudełka. To na star-gane nerwy. W czerwonym pudełku są zioła na dobry sen (no, ale one nie pomagają), a w żółtym na obniżenie ciśnienia. Biały fajansowy kubek z parującą zawartością na srebrną tace, obok niebieski porcelanowy talerzyk z biszkoptami. Wyłączyłam czaj-nik? Tak. Korytarzem prosto, drugie drzwi po lewej. Sypialnia. Duszna, pełna pożółkłych zdjęć wiszących na ścianach. I ser-wantki z trzema półkami zapełnionymi lekarstwami.

Ciotka, wyprostowana jak struna, siedzi w fotelu przed telewizorem. Na kolanach szary koc. Kiedyś wylegiwał się na nim Gwiazdor - potężny, leniwy kot. Rok temu zdechł. Jęzda rozpaczała trzy dni, a dwa wykrzykiwała, że to moja wina, bo z pewnością nakarmiłam go nieświeżym mięsem albo starymi jajkami. Potem wymyśliła, że ta „żydówka” Józwiakowa dała mu truciznę. Sprawa wyjaśniła się, gdy pani Kamykowa, sąsiadko - przyjaciółka z trzeciego piętra, zeznała, że widziała Gwiazdora, jak zjadał trutkę na szczury, wysypaną w piwnicy.

- Posprzątałaś już w łazience?

- Tak.

- Dokładnie? - Nawet na moment nie odrywa wzroku od

telewizora.

- Tak.

- Wyłączyłaś czajnik? - Pyta o to od prawie dwóch lat. I o to, czy zakręciłam wodę nad wanną, czy wyrzuciłam śmieci, czy zarejestrowałam ją do lekarza, kupiłam szynkę drobiową i wypastowałam podłogę. Kto by przypuszczał, że można być tak wrednym... - Wyłączyłaś czajnik? - powtarza zniecierpliwiona.

- Tak.

- Na pewno?

- Na pewno.

- To dobrze. Jednej mojej znajomej dom się spalił. Zapomnieli wyłączyć żelazko. Wyjechali na parę dni. A jak wrócili, to już nie mieli nic. - Słyszałam tę historyjkę już z tysiąc razy.

Stawiam tacę na okrągłym stoliku i przeciągam go w stronę fotela.

- Znowu była reklama podpasek - szepcze teatralnie. - Takich dziwnych. Z jednej strony to tak cienkie, że ich prawie nie było. Ale miały motylki.

- Skrzydełka - poprawiam bezwiednie.

- Zaraz będzie film. Ten o miłości. Pooglądasz ze mną?

- Nie mogę.

- Nigdy nie masz dla mnie czasu! - W głosie pretensja, usta w podkowę, wszędzie zmarszczki, wzrok obrażony. Wygląda to komicznie.

Naraz mam ochotę podrażnić się z nią.

- A może przełączymy na inny program? - pytam z grzecznym uśmiechem. - Na jakiś film dokumentalny?

- Ale ja chcę romans.

- Film dokumentalny to bym obejrzała.

Jęzda myśli. Albo romans solo, albo dokument ze mną. I wtedy ma do kogo mówić. A tego jej cały czas brakuje.

Przerzuca kanały.

Patrzę na nią ukradkiem. To kiedyś musiała być piękna kobieta. Mama mówiła, że z ciotki zawsze była niezła dziwaczka. Wyjechała z Mięsowej do Krakowa szukać pracy. Znalazła ją jako

służąca, a potem znalazła męża. Jakiegoś Henryka, urzędnika pocztowego, starszego od niej o dziesięć lat. Henryk umarł zaraz po wojnie, ciotka została sama. Te zdjęcia na ścianach to właśnie jego. Chudy, ponury mężczyzna ze śmiesznymi wąsami.

- Oj, dobrze, niech już będzie. Tylko nie o wojnie - zastrzega.

- O wojnie nie. Nie kręć się. Aha. Podaj mi poduszkę. Podłożę sobie pod plecy. Nie, nie niebieską. Czerwoną. Coś dziś nieszczęśliwie wyglądasz...

- Źle się czuję - mówię zgodnie z prawdą. Boli mnie głowa i brzuch, bo właśnie dostałam okres.

- Oj, nie kłam. Młoda jesteś, zdrowa, nie to co ja... Ciii... Zaczyna się.

Biało - czarne zdjęcia. Reportaż o mężczyźnie, chyba z Wielkopolski, który jest miejscowym hyclem. Niby nic. Zajęcie, jak zajęcie, ale on te psy je. Ohyda. Zerkam na zegarek. Minęło dwadzieścia minut. Koniec zabawy.

- Ciociu, na śmierć zapomniałam, że mam jeszcze dużo lekcji. Muszę iść, niech ciocia sobie przełączy na romans.

- Teraz mi to mówisz? - biadoli jędza. - Nie oglądałam początku.

I o to mi właśnie chodziło.

Idę do siebie. Siadam przy wielkim, czarnym biurku, zapalam mosiężną lampkę i otwieram podręcznik.

Najpierw muszę się uspokoić. I zaplanować, co jeszcze dziś mnie czeka. Pranie, prasowanie, cowieczorny masaż pleców jędzy. Jeszcze przygotować rachunki, bo chyba jutro trzeba je popłacić. I lekcje.

Już tyle razy miałam ochotę wygarnąć jędzy, że nie jestem jej służącą, że co innego opieka, a co innego mycie po niej muszli! Inaczej umawiała się z rodzicami. Pobożne życzenia. Przecież wiem, że gdy tylko to wygarne, zostanę wyrzucona. Wtedy nie zrealizuję swojego planu.

Będę musiała wrócić do domu.

Przeniosą mnie do jakiejś zawodówki, którą chlubnie skończę, ojciec będzie chciał, żebym szybko znalazła pracę, a mama

zacznie mi szukać męża. „No, tylko sama popatrz... Sylwia niby brzydsza od ciebie, a już narzeczonego ma. Ten jej Zenek to przecież po ojcu niedługo warsztat przejmie, ma dziewczyna szczęście...”

Jeszcze pomęcę się z ciotką, wytrzymam, a gdy dostanę się na studia, zamieszkać w akademiku.

Dobrze, teraz fizyka. Gdzie zeszyt? Jest.

- Marcyśka! Marcyśka!

Nie słyszę. Przecież ma wszystko. Może trzeba ją wysadzić? Z tygodnia na tydzień coraz bardziej angażuje mnie czasowo. I wiem, że robi to z premedytacją.

- Marcyśka! Marcyśka! Podaj mi jeszcze biszkoptów.

- Zaraz!

- Wątroba mnie boli - jęczy.

- Wypiła ciocia zioła?

- A nie! Zagapiłam się na film. Szkoda, że nie widziałam od początku. Wspaniały był!... Zjadłabym coś specjalnego. Na przykład śledzika.

- Nie mamy! - odkrzykuję. - Jędza, jędza - szepczę bezgłośnie.

- A od czego są sklepy? I kup mi landryn.

- Ciociu, przecież teraz się uczę!

- Wiesz co? Miałam ci nie mówić, ale co tam... Kiedyś twój ojciec powiedział, że z ciebie to niedobre dziecko. Chyba miał rację. Niedobre i bez serca dla starej kobiety.

Opieram głowę o blat biurka.

Koszmar mojego życia.

Myślałam, że „to” zostało w Mięsowej, ale nie. Przyłazło za mną do Krakowa. Zawsze byłam w jakiś tam sposób niedobra.

„...Młodsza siostrą byś się zajęła. Kury trzeba nakarmić. Pranie czeka! A ty ciągle w tych książkach siedzisz! Ojca w domu nie ma całymi dniami, jak wraca, to wiesz, albo zmęczony, albo podpity. A ty mi wcale nie pomagasz... Żadnego pożytku nie mam z ciebie!”

„...Jadzia mi mówiła, że jej Mariusz, to cię na zabawę za-

praszał, aleś odmówiła. Czego tak? Porządny chłopak, zawódówkę kończy, pracowity... Tobie to żaden chłopak z Mięsowej nie pasuje. Wiecznie grymasisz, wybrzydzasz”.

„... .Zamiast na to kółko do szkoły, mogłaś pojechać do Szymcowej śliwki rwać. Parę złotych byś zarobiła, ale ty nie. Szczeniarze nie chce się pracować...”

„...Nie chcesz jeść mięsa, twoja rzecz. No to co, że widziałas świniobicie? A bo to pierwszy raz świnia się wyrywa? Nie trafiłem od razu, też się zdarza...”

Idę do jędzy. Znowu wygrała. Wie o tym. Wpatruje się we mnie wzrokiem węża, który ma zamiar zaraz pożreć swoją zdobycz. Na kolanach trzyma portfel. Wyjmuje z niego pięćdziesiąt złotych.

- I trzeba było się ze starą kobietą kłócić? - Podaje mi banknot. - Kup jeszcze butelkę ajerkoniaku. Wiesz, co to jest?

- Tak.

- Ale nie kakaowy. Zapamiętasz? - Tak.

- Przestań się obrażać. Myślisz, że mnie jest przyjemnie mieszkać na stare lata z kimś takim hardym? No, spiesz się. Przewietrzysz się, dobrze ci zrobi. Przynies resztę. I rachunku ze sklepu nie zapomnij.

Bez słowa wychodzę z mieszkania. Wracam po dwudziestu minutach. Rozpakowuję zakupy, gdy dobiega mnie głos ciotki:

- Marcyśka, a kupiłaś mi krzyżówki? - Nie.

- Tak po prostu zapomniałaś? Mieszkasz tu już wystarczająco długo, żeby zapamiętać, że raz na jakiś czas lubię sobie porozwiązywać krzyżówki. I do tego piję kieliszeczek ajerkoniaku.

Osuwam się wzdłuż ściany, którą malowałam rok temu. Boże, ja nie wytrzymam tutaj jeszcze nawet jednego dnia!

- Marcyśka! Poszłaś już?

- Żebyś zdechła, ty stara jędzo - mruczę. - Pomodłę się o to dziś wieczorem.

- Mówisz coś?

- Nie! - odkrzykuję i wychodzę z domu. I głośno trzaskam

drzwiami wejściowymi.

To pierwszy i jedyny objaw mojej niesubordynacji. Od prawie dwóch lat.



*18 lutego, środa*

Nie cierpię dworca autobusowego. Z jego tłumem, niewyraźnymi zapowiedziami, dokąd, skąd i z którego stanowiska, przygnębiającą toaletą i tłumem dziewcząt, które przyjechały z jakichś Pipidówek Dolnych albo Górnych.

W ubraniach udających markowe ciuchy.

Wymalowane tanimi kosmetykami.

Niby na luzie.

Takie dziewczyny drugiej kategorii.

Nie tak dawno też taka byłam. Zaraz po gimnazjum. Z długim warkoczem, w swoich najlepszych spodniach, bluzie i kurtce, które kupiłyśmy z mamą na jarmarku w Staszowie i z których byłam tak dumna, póki przeglądałam się w lustrze w domu. Gdy tylko porównałam czerwoną bluzę wysadzaną błyszczącymi kamykami, spodnie ze srebrną nitką z tym, co zobaczyłam u dziewczyn na ulicach, podjęłam decyzję.

Za pieniądze przeznaczone na nowe buty i prezent dla ciotki (kryształowy koszycek) kupiłam sobie dzinsy, bluzę, sweterek (akurat była przecena) i dwa topy. Skoro miałam tu mieszkać, nie chciałam rzucać się w oczy. Włosy ścięłam. Sama. Przed lustrem w łazience. Gdy mama przyjechała do mnie w odwiedziny, powiedziałam jej, że nie mam warkocza, bo tak zażyczyła sobie pani od wf - u, co dało jej powód do opowiadania wszystkim w Miąsowej, jakie to wariactwo jest w Krakowie. Powiedziałam też, że kupiłam koszycek, ale ciotka go stłukła.

Z preblem w dłoni stoję pod tablicą odjazdów i przyjazdów. Wypatruję Sylwki. Tydzień temu zadzwoniła, że ma coś do załatwienia w Krakowie, że musi mi coś koniecznie powiedzieć, „bynajmniej” nie przez telefon.

Jest.

Uśmiechnięta, krępa, w czarnych dzwonach, które ją okropnie pogrubiają, w błękitnym obcisłym swetrze. Różowy cień na powiekach, olbrzymie kółka w charakterze kolczyków, czarne

buty na monstualnych koturnach. I kurteczka ze sztucznego misia w kolorze ciemnego rózu. Na ramieniu torba z bordowego skaju, w rękę wypchana reklamówka.

Boże, ja do niej nie podejde! Jeszcze ktoś nas razem zobaczy. Wycofam się chyłkiem, a potem zadzwonię i przeproszę, że coś mi wypadło. Robię krok do tyłu i w tym momencie ręka Sylwki wystrzeliwuje w górę. Zobaczyła mnie. Uśmiecham się sztucznie i podchodzę. Sylwia przyciska mnie do siebie z całej siły. Pachnie jakimś ostrym dezodorantem.

- Marcyśka! Znowu ścięłaś włosy!

Musiałam. Za szybko rosną. Teraz mam do ramion.

- A ty schudłaś - kłamię bez zająknięcia. Ale to kłamstwo w dobrej wierze. Sylwia uśmiecha się szeroko.

- Też tak mi się wydaje... Piję takie herbatki... U ciebie wszyscy zdrowi.

- Wiem, mama mi mówiła. Dzwonimy do siebie.

To półprawda. Oni się nie odzywają, bo im szkoda pieniędzy, a ja gdy zadzwonię, najpierw wysłuchuję od mamy, jak im ciężko tak liczyć grosz do grosza, a potem Angelika chwali się, że dostała superdzwony za 100 złotych. Za jedną trzecią tego, co ja otrzymuję od nich na miesiąc.

Już wyszliśmy z dworca. Dochodzimy do stoisk z owocami, podróbkami perfum i ciuchami, gdy Sylwka wręcza mi reklamówkę.

- Sama sobie to noś - śmieje się.

- A co to jest?

- Parę jajek, ser, kielbasa i wątrobianka. Mieliśmy świniobicie.

Robi mi się głupio. To ja zastanawiam się cały czas, czy ktoś ze znajomych nas nie widzi, a ona wiezie dla mnie wałówkę.

- Dziękuję.

- No, co ty! Ale ładne... - Wskazuje bluzki wiszące na straganie. - Ta różowa, bynajmniej, mi się podoba.

- Mhm. Idziemy dalej, co?

- Nawet nie wiesz, jaką mam niespodziankę.

- To mów.

- Co ty, nie tu. Idziemy na miasto. Do Rynku. Tam ci powiem.

Widzę swoje odbicie w sklepowej witrynie. Markowe dzinsy (udało mi się na nie trafić w tanich ciuchach), czarny płaszcz, rudo - czarny szalik. Szare oczy, ciemnoblonde, gęste włosy. Długie nogi i ręce. Zero uśmiechu, zero kobiecości. Dziewczyna, która nie zwraca na siebie uwagi na ulicy. Chyba, że maszerowałyby goła.

Prowadzę nas bocznymi uliczkami. Sylwia cały czas trajkocze. Najwięcej o swoim Zenku, którego kiedyś poznałam - chudzielec po trzydziestce, z sąsiedniej wsi. Tydzień temu byli na zabawie w remizie, kupił jej kolczyki (te kółka), robi nowe ogrodzenie i bramę, maluje dach, Celka jest w ciąży, a Romek po pijaku wpadł motorem na drzewo, ma połamane nogi i rękę, jeden agroturysta bynajmniej okradł swoich gospodarzy.

Nie słucham dokładnie.

To nie jest mój świat.

Nie chcę go.

Proponuję odpoczynek. Siadamy w kafejce w części dla niepalących. Zamawiam dwie kawy. Mam wrażenie, że wszyscy na nas patrzą, że bardziej zwracamy na siebie uwagę niż chłopak z zielonymi włosami przy sąsiednim stoliku czy obściskująca się para pod oknem.

- Nic nie mówisz - śmieje się Sylwia. - Co u ciebie?

- Nic ciekawego.

- Zmieniłaś się. Taka poważniejsza jesteś.

- E, wydaje ci się - peszę się.

- Masz chłopaka? - Pochyliła się w moją stronę.

- No, co ty - wybucham śmiechem.

- Co w tym śmiesznego? - Wzrusza ramionami.

- Nic - odpowiadam zgodnie z prawdą.

Ciemno ubrana dziewczyna przynosi nam kawę. Sylwia nie może uwierzyć, że dostajemy po czekoladce. Od razu pakuje ją w serwetkę, a potem do torby. „Dla Zenka”.

- Mów, co to za niespodzianka? - szepczę.

Ponownie pochyła się w moją stronę. Ma rozmazaną kreskę na prawej powiece.

- Szukam sukni ślubnej... To znaczy zobaczę, co się nosi, a potem taka samą sobie zamówię w Staszowie.

- Sukni?

- Wychodzę za mąż - mówi z dumą. - Za Zenka - dodaje, nie wiadomo po co.

Mąż, dzieci, ogródek.

I tego mam jej gratulować?

- Bardzo się cieszę! Bardzo! - rozciągam usta w uśmiechu. - Kiedy ślub?

- Ja chciałam w święta, ale chyba wcześniej, bo chrzestna Zenka, z Holandii, na święta wyjeżdża do Anglii... Bynajmniej w przyszłym tygodniu będą zaręczyny.

W przyszłym tygodniu to mam kilka testów, sprawdzianów i kartkówek.

- Bardzo się cieszę! - powtarzam jak papuga.

- Będę mieć taki pierścionek z cyrkoniami. Już go widziałam. Bardzo elegancki. A w środku szafir. Albo granat... Do Sandomierza Zenek po niego pojechał. Okropnie dużo kosztował, ale powiedział, że nie będzie na mnie żałował pieniędzy.

Żebym ja tylko wiedziała, co to są te cyrkonie! Sylwia odsuwa filiżankę na środek stolika, opiera się na łokciach, mruga i mówi:

- A ty będziesz moją druhną, co? - Ja?

- No, tak jak obiecywałyśmy sobie w szkole. Uśmiecham się pod nosem. Wtedy to było dla mnie bardzo ważne. Różowa sukienka i białe buty. I loki.

- My do ciebie przyjedziemy z Zenkiem. Jak trzeba. Z zaproszeniem, z kwiatami, ale teraz ci chciałam powiedzieć, co?

- Jasne.

- Nie martw się, że nie masz chłopca - chichocze. - Będiesz mieć przystojnego družbę. Przystojniejszy od Zenka.

O to raczej nietrudno.

- Tak? Kto to? - pytam bez zbytniej ciekawości.

- Kuzyn Zenka. Jarek. Chodzi do technikum budowlanego... Nie, skończył już. Nie za wysoki, ale przystojny. Podobny do Banderasa. Tylko, tak jak mówiłam, mniejszy. I nie wiadomo skąd taki ciemny. Taki mniejszy Banderas.

Wywołuję na twarzy wrażenie oczarowania. Sylwia promienieje.

- A gdzie będziecie mieszkać?

- Na razie u rodziców Zenka. Skończyli niedawno piętro. A potem Zenek wybuduje dom. Wiesz gdzie? Bynajmniej za sklepem, w stronę rzeczki. Obiecał, że będę miała nawet orężerie.

- Ooo...

- Chcę mieć taki duży pokój zrobiony na miętowo - cieszy się jak dziecko.

- Miętowo? - nie rozumiem. Doniczki z ziołami na parapecie, na podłodze?

- Taki kolor. Zielony. I podwieszany sufit. Zenek mówi, że mogę sobie urządzić dom, jak będę chciała.

- Dobry jest ten twój Zenek - mówię szczerze.

- Dobry, tylko bynajmniej... - wzdycha.

- Tylko, co? - Po raz pierwszy jestem zainteresowana rozmową.

Teraz nie wzdycha, mnie w palcach żółtą serwetkę.

- Wiesz, o nim mówią... - No?

- Ze miał romans z tą Hanką. Że ten jej dzieciak to, bynajmniej, jego.

Już nie ma serwetki, są tylko żółte śmieci. Hanka Bybasowa, tleniona blondyna, grubo po trzydziestce, żona starego Waldka Bybasa. Zawsze wymalowana i wydekoltowana, zawsze w butach na obcasach. Nawet gdy grała liście w ogródku.

- W Mięsowej zawsze mówią - wzruszam ramionami. - O wszystkich. I z zasady źle. Miał, to miał. Teraz ma ciebie.

- A jak ona mu się dalej podoba? - jęczy.

- Toby się Hanka rozwiodła z tym swoim starym prykiem i Zenek jej by kupował pierścioneł, a nie tobie. Pogadaj z nim.

- Oj, gadałam! Bynajmniej nie raz! On mówi, że z nią spał, ale dzieciak nie jego - wybucha. - A jak będzie chodził do niej po ślubie?

- Sylwka! Bzdury gadasz! - tracę cierpliwość. - Co teraz?

- Teraz do sklepów z sukniami ślubnymi! - mówi wesolutko.

Zawsze mnie zadziwiała jej zmienność nastrojów. Zenek sobie jeszcze z nią podżyje!

- A już wiesz, co byś chciała? - pytam.

- Bynajmniej nic ekstrawanckiego. Gorset i spódnicę z długim ogonem. I jakąś narzutkę, bo się może pogoda skiepścić.

Gorset przy jej wydatnym biuście, długi „ogon” przy krępej budowie. Bynajmniej!

*19 lutego, czwartek*

Na kuchennym stole zostawiam śniadanie dla jędzy (kanapki z kiełbasą od Sylwki) oraz jej poranny i popołudniowy zestaw leków. Na ścianie wisi kartka, a na niej drukowanymi literami rozpisane godziny i nazwy lekarstw. Ciotka już dostała swoją miętę i kropelki, a ja pouczenie, że bycie hardą nie popłaca. Może gdzie indziej tak, ale nie pod tym dachem. Zaglądam do lodówki, żeby upewnić się, co jest. OK. Zakupy dopiero jutro.

pospiesznie wypijam jogurt, chwytam plecak, klucze z haczyka obok stojaka na parasole.

- Będę po szesnastej. Obiad w mikrofali! - krzyczę w stronę sypialni - - Udław się nim jędo - dodaję znacznie ciszej.

- I tak nic nie przełknę. Wątroba mnie boli.

To takie „miłego dnia, Marcysiu”.

Na półpiętrze spotykam panią Kamykową. Farbowana, umalowana staruszka, przyjaciółka ciotki. Ma dwie córki. Jedną w Nowym Jorku, drugą w Holandii. Przyjeżdżają na Boże Narodzenie i Wielkanoc i wtedy pani Kamykową ma prawdziwe święta.

- Do szkoły? Do szkoły? - pyta z uśmiechem. Kiedyś de-nerwowało mnie to jej powtarzanie, teraz nie zwracam na nie uwagi.

- Dzień dobry, tak.

- Zajrzę do Frani, zajrzę. Ale potem, potem. Rozstajemy się całe w uśmiechach. Ze strony pani Kamykowej nieco złoty. Szybkim krokiem idę w kierunku ulicy. Boże, jak zimno! Trzeba było wziąć jeszcze bluzę. Trzy przystanki tramwajem i buda. Wytrzymam z ciotką do końca liceum. Zresztą nie mam innego wyjścia. Dwójka podjeżdża punktualnie. Staję przy oknie. Zawsze tak robię. Lubię oglądać kamienice. Najbardziej podoba mi się taka jasna, której okna ozdabiają liście kasztanowca.

Wysiadam. Na drugą stronę ulicy i w prawo. Ceglany mur ozdobiony graffiti, które dyrektorka traktuje jak ujęcie na honorze,

i wielki kremowy budynek.

„Skoła jak szkoła. Wcale nie lepsza od innych. Jeszcze cię nie wyuczy żadnego zawodu”, burknął ojciec, gdy szczęśliwa powiedziałam mu, że zostałam przyjęta do jednego z najlepszych liceów w Krakowie.

- Masz matkę? - Z murku okalającego schedy podnosi się Maciek. Jak zwykle ciemno ubrany, nieogolony, nonszalancki.

- Nasz kujon by nie miał? - prychnął Kaspian i poprawia kosmyki grzywki. Wygląda, jakby mu zwiało mu wszystkie włosy na jedną stronę. To zupełnie inny typ niż Maciek. Modnie ubrany, z jasnym bależem na postrzępionych włosach. Chłopak z okładki dziewczynskiego pisma. - Ona ma zawsze i wszystko. Chociaż blondynka... Masz?

- Mam - odpowiadam.

- Daj.

Bez słowa sięgam do plecaka, podaję mu zeszyt i znikam w szatni. Jest już parę osób.

- Cześć - mówię cicho.

- Masz matkę? - pyta Jacek.

- Ja mam kaca. Wczoraj byłem u kumpla na melanżu - wtrąca Darek. - Ale matką też jestem zainteresowany.

- Co z tą matką? - niecierpliwi się Jacek.

- Dałam Maćkowi i Kaspianowi - wyjaśniam.

- Dałaś? - rechocze Debeściak. - A mnie byś nie dała?

- Zamknij się, ty idioto! - złości się Anka. Tęgawa blondynka, z brązowymi oczami i wielkim biustem. - I najlepiej raz na zawsze.

Ją lubię, Debeściaka nienawidzę.

Ona - głośna wariatka, z własnym zdaniem. On - bogaty idiota i cham, któremu wszyscy nadskakują, włącznie z nauczycielami, ponieważ jego ojciec jest wielkim biznesmenem ze znajomościami w kręgach politycznych.

- Zazdrościsz? - pyta Debeściak. - Sorry, Anka, ale nie jesteś w moim typie. No, może nie całkiem... - Bezczelnie wpatruje się w jej wielki biust opięty czarną bluzeczką.



- Ty już chyba umrzesz głupi jak but - mówi spokojnie Anka.  
- I najlepiej by było, gdybyś się nie rozmnażał. Ludzkość będzie ci wdzięczna.

Debeściak klnie, chłopaki rechoczą, Anka puszcza do mnie oko.

Nie boję się matematyki, fizyki czy polskiego. Ale nadal boję się takich ludzi jak Deveściak.

Taki kompleks dziewczęcia z głębokiej prowincji.

\* \* \*

Do domu wlokę się noga za nogą. Nie mam ochoty na prasowanie, przygotowywanie kolacji, prześcielanie ciotczyngo łóżka, wietrzenie jej sypialni i wysłuchiwanie, że jestem harda.

16.30 - jestem pod kamienicą.

16.35 - pani Kamykowa mówi mi, że cztery godziny temu jędzka umarła. Zasnęła w fotelu, w trakcie oglądania filmu o pingwinach.

Miała lekką śmierć. Lekką. Każdy by taką chciał. Każdy”.

*23 lutego, poniedziałek*

Godzinę temu wróciliśmy z cmentarza. Teraz, nadal zmarznięci, siedzimy wokół stołu w dużym pokoju. Ojciec, Angelika, Patryk, wujostwo z Jędrzejowa, pani Kamykowa. Jakiś tęgi kuzyn z Nowej Soli z równie tęgą żoną. Widzę ich pierwszy raz na oczy.

Mama podgrzewa wielki garnek bigosu, który ze sobą przywiozła, a tęgi kuzyn wyjmuje z zielonej podróżnej torby, takiej na kółeczkach, butelkę wódki.

Boże, jak oni mnie denerwują! To ich wiejskie i małomiasteczkowe zachowanie aż mnie dusi. Cieszę się, że udało mi się z tego wyrwać.

- Są jakieś kieliszki? - pyta tęgi kuzyn, rozglądając się dookoła. Ma chytre oczka. Nie podoba mi się.

- Najprędzej Marcysia będzie wiedzieć. Tyle czasu tu mieszka - mówi ciotka. - Nic się dziecko nie odzywasz.

- Co ma mówić? Zmartwiona dziewczyna, jak my wszyscy! - woła wuj. - Są te kieliszki? Przecież nie wypada na stypie pić z gwinta.

„Co ma mówić?” Co myśleć? ;,Zmartwiona dziewczyna...” Nieprawda! Jestem przerażona. Śmierć jędry burzy mój świat.

Co się teraz stanie ze mną?

Stancja? Liczenie każdej złotówki, bo przecież na wszystko za mało... Wieczne zmęczenie, bo szkoła, korepetycje i dorywcze prace, żeby wystarczyło na czynsz i przeżycie.

Wyjmuję z kredensu kieliszki i szklanki na wodę. W rogu stoi ajerkoniak. Nadal nieotwarty. Kuzyn nalewa wódkę, wuj sobie przypomina, że też ma w samochodzie buteleczkę. Wychodzi z mieszkania.

Pachnie bigosem, wynika kwestia braku talerzy, pani Kamykowa proponuje, że pożyczycy swoje. Razem z Angeliką i Patrykiem idą po nie. Są z powrotem po paru minutach. Patryk niesie tackę kruchych ciastek. Na stół wjeżdża bigos. I śledziki. Wraca wuj.

- A Frania to z kim najbardziej była spokrewniona? - woła naraz kuzyn.

- Nie wiem. To taka piąta woda po kisielu - odzywa się z namysłem mama. - Chyba z nami, mój tatuś i jej tatuś kuzynami byli jakimś. A bo co?

- Tak tylko pytam. Ile miała lat?

- 89.

- Myślałem, że więcej.

- Frania staro wyglądała, bo schorowana była - dodaje mama.

- Marcysia wie.

Oj, wie, wie.

- Mieszkanie będzie trzeba pomalować. - Kuzyn z torby wyjmuje kolejną półlitrowkę. Chytre oczka ślizgają się po meblach, obrazach. Najdłużej wpatruje się w lakowany kuferek stojący obok lustra. Pewnie oczyma wyobraźni widzi tam sznury pereł i złote pierścienie z brylantami. A w kufierku są wyniki badań jędry. - Znaczą odświeżyć.

- Co odświeżyć? - pyta mama. - Proszę jeść, dużo bigosu przywiozłam. Własna kapusta.

- Mieszkanie. Odświeżone lepiej się sprzeda - mówi kuzyn.

- Sprzeda? - ojciec zastyga z kieliszkiem w dłoni.

- Pewnie. Niedługo wakacje, to może trochę dłużej potrwać, ale sprzeda się na pewno. A pieniążkami się podzielimy. Przecież my jedna rodzina. Nie będziemy się po sądach włościć.

Zalega cisza. Jestem pewna, że każdy z nich przelicza, ile może kosztować mieszkanie w Krakowie. Odświeżone. W dobrej dzielnicy. Blisko centrum.

To szansa dla mnie!

Może ta nasza „działka” nastroi pozytywnie ojca i bez dodatkowych awantur zgodzi się na szukanie dla mnie stancji w Krakowie?

- Mnie się ta szafa podoba. Pasowałaby w naszym dużym - odzywa się naraz ciotka. - I ten okrągły stół. Dałabym do kuchni na dole. Mam chyba jakieś okrągłe obrusy.

- Dogadamy się - kuzyn uśmiecha się szeroko i pewnie. Za

pewnie, jak dla mnie. Wyraźnie czuje się panem sytuacji.

- Mnie też by szafa pasowała - mówi szybko tęga żona tęgiego kuzyna. Po raz pierwszy odkąd wyszliśmy z cmentarza. Wtedy wyraziła swoją opinię na widok domów, samochodów. Widać, że w Krakowie ludzie muszą robić pod siebie pieniędzmi!

- I ten żyrandol - dodaje po chwili.

- Dogadamy się - rzuca ostro kuzyn i patrzy groźnie na żonę.

- Pomaluje się samemu, żeby obniżyć koszty - proponuje wuj i nalewa znowu wszystkim wódki. Narzucili sobie niezłe tempo! - Machnie się w dwa dni. Mnie została zielona farba z malowania balkonów, nada się.

- To ja dam jutro ogłoszenie do gazety - oferuje się ojciec. - Nawet do kilku - dodaje bohatersko. - Marcyśka napisze.

- Trzeba szybko działać. - Wuj pozwala sobie na krótki śmiech. Nie ma górnej czwórki i piątki. - Pieniążki każdemu z nas się przydadzą.

Uśmieszki, rozluźnienie atmosfery. Kochająca się rodzina, rozrzucona po całym kraju, spotykająca się tylko na pogrzebach. Żeby ich wszystkich cholera wzięła!

Na stół wjeżdża kolejna porcja bigosu i kolejna butelka wódki. Kuzyn nawet żartuje, że Frania za życia nie była tak szczodra dla rodziny, jak po śmierci. Ojciec bełkotliwie przytakuje, mama ucisza go, bo „przecież tu są dzieci”.

- Meble można sprzedać. Teraz jest moda na starocie - woła przemądrzale ciotka. - Takie firanki ręcznie robione są po trzydzieści złotych. Albo i więcej.

- W tym mniejszym pokoju jest rzeźbione łóżko. Powinno się za nie też trochę pieniędzy dostać - odzywa się kuzyn z miną znawcy. Jezu, jak on mnie denerwuje!

- Mnie by się przydało to łóżko do pokoju Mariolki - mówi ciotka. Już nie siedzi, tylko spaceruje po pokoju i przygląda się ścianom. - I te kwiaty w wazonie... I ten - wskazuje na największy obraz. - Jeszcze...

- Może państwo nie wiedzą - przerywa jej pani Kamykowa - ale Frania zostawiła testament. Właśnie testament.

- Testament? - Atmosfera lodowacieje w ułamku sekundy.

- Tak. Tak. Zalega ciężka cisza.

Ja już wszystko wiem. Jędza zawsze mówiła, że cały swój majątek przepisze na Caritas. Nie ma mieszkania do podziału.

- Taki prawdziwy? - sznuruje usta ciotka.

- Potwierdzony u notariusza. Jak on się nazywa? Arkadiusz Bloderek. Tak, Bloderek. Niedaleko ma swoje biuro.

- A co jest w tym testamencie? - pyta wesoło Patryk i sięga po kolejne ciastko.

- Co? Że twoja ciocia, świeć Panie nad jej duszą, przepisała mieszkanie twojej siostrzyczce, twojej starszej siostrzyczce.

Czyli mnie! A to jędza! Boże!

\* \* \*

Stypa zakończyła się potworną awanturą. Ojciec, kuzyn i wuj o mało się nie pozabijali. Kuzyn wrzeszczał, że skoro Franka sfiksowała na stare lata, to są jeszcze sądy i on już swojego nie odpuści. Wuj krzyczał, że z rodziną najlepiej wychodzi się na zdjęciu i też nie odpuści. Jeden i drugi cały czas klęli. Ojciec miał już szklane oczy, też klął i krzyczał, jak nakręcony, że wola zmarłej to święta rzecz. Trzeba to uszanować! Testament to świętość! Wola to świętość. Od tego krzyczenia aż się zachwiał, wpadł na serwantkę i stłukł porcelanowy wazonik. Ten w różyczki.

Teraz Angelika i Patryk śpią w moim łóżku, mama i ja sprzątamy w kuchni. To znaczy ja sprzątam, mama myszkuje po szafkach. Podobają jej się naczynia, nowe patelnie, które kupiłam ze dwa miesiące temu, mikser, mikrofalówka i sokowirówka. Jak ją znam, zastanawia się, co sąsiedzi powiedzą na fakt, że z Mączków takie się bogacze zrobiły. W dużym pokoju ojciec siedzi nad niedopitą butelką i rozmyśla. Ja też rozmyślam.

Jędza zapisała mi mieszkanie, nie będę musiała wracać do Mięsowej... jędza zapisała mi mieszkanie... Ale komu, jak nie mnie?.. - Nikogo bliskiego tak naprawdę nie miała, a to ja się z nią mordowałam, ja pastowałam, zamiatałam, nawet raz

pomalowałam łazienkę, gdy nas sąsiad z góry zalał.

Nie czuję żadnego smutku, wyrzutów sumienia, że powinnam być miłsza, więcej się uśmiechać, częściej z nią rozmawiać i oglądać te kretyńskie filmy.

- Ciągłe nie mogę uwierzyć, że Franka, taka kutwa, zapisała nam mieszkanie... - Ojciec chwiejnym krokiem wchodzi do kuchni. Rechocze. Dawno nie widziałam go tak zadowolonego.

- Zawsze ci mówiłam, że dobra była. Może szorstka, ale dobra była... - cieszy się mama.

Była dobra w zamienianiu mi życia w piekło.

- Za pieniądze zrobimy sobie sklep. Spożywczy. I piwo... A na piętro pociągnę w końcu ogrzewanie... - planuje z namaszczeniem ojcem. - I zmienimy dach i okna.

Ostatnio takie plany robił z sześć lat temu. Nowa stajnia, nowa obora, nowy traktor. Wziął kredyt, który potem jakoś się rozszedł. Z planów nici, zostały raty do spłacania. I zakaz wspomnienia o kredycie.

- A na nową pralkę by wystarczyło? - pyta mama.

- Powinno - odpowiada z namysłem ojciec.

- Starą dam Tosi - cieszy się mama. - Patrykowi by się nowy rower przydał, a Angelika ciągiem o wieży myśli...

- Wieży?

- No, żeby mogła muzyki słuchać. I w Staszowie taki wypoczynek widziałam, w sam raz do dużego by się nadawał.

- Meble mamy, a i tu coś się znajdzie. Coś się wybierze, resztę sprzedam - decyduje ojciec.

- Ale ten wypoczynek to bardzo był elegancki... O, Bronuś, jak tam chcesz - poddaje się mama.

A co ze mną?

I raptem ojciec patrzy na mnie. Telepatia?

- Pomożesz matce w sklepie - mówi stanowczo, a mama przytakuje.

- Uczę się - warczę.

- Wrócisz do domu. U nas też są szkoły.

- I co to za szkoły w tym Krakowie, że każą warkocze ści-

nać? - wtrąca swoje trzy grosze mama.

Boże, mnie się to śni. To jakiś absurd!

- A moje studia?!

- Może chłodnie byśmy kupili, co? Na mrozonki? Marzenia o rowerze, o wieży, o sklepie, o nowej pralce i zazdrości sąsiadek.

Gdzie w tym wszystkim ja?

- Chcę porozmawiać... - zaczynam prosząco.

- Przecież rozmawiamy - cieszy się mama. Ale ciągle nie o Marcyśce.

I jak grom z jasnego nieba spada na mnie olśnienie, że dla nich zawsze byłam mało ważna. Moje problemy w porównaniu z problemami Angeliki czy Patryka zawsze były na drugim miejscu. Teraz rozmawiają o półkach do sklepu, o kasie, o tym, że może by kupić jakiś samochód dostawczy i że dzieciakom będzie teraz lepiej. Ale przecież mówiąc „dzieciaki”, nie mają mnie na myśli.

Muszę zadbać o swoje sprawy.

Nikt inny tego nie zrobi.

Zaciskam dłonie w pięści. Teraz moje być albo nie być.

- Zostaję w Krakowie! - niestety mój głos nie brzmi tak pewnie, jak bym chciała.

Mama i ojciec wlepiają we mnie szerokie ze zdumienia oczy. Te ojca są zdecydowanie zamglone. I wściekłe. Przypominają mi się czasy, kiedy uciekałyśmy z mamą z domu i nocowałyśmy u ciotki Tosi.

- Ze jak? Zostaniesz? - pyta powoli ojciec i beka. - Tak.

- Sama?

- Sama.

- A my będziemy dawać na te wszystkie płatności? Żeby jaśnie szczeniara mogła się uczyć. Niech matka i ojciec pourabiają sobie ręce do łokci, brat i siostra nic dobrego z życia nie mają, co tam! - krzyczy. - Taki pieniądz, to szansa dla całej rodziny. Tak czy nie...

- Tak, ale...

- I dobrze, że wrócisz. Wykosztowaliśmy się na twoje wakacje w Krakowie.

Wykosztowali się?

Co miesiąc dostawałam trzysta złotych. Za to jadłam, za to ubierałam się w ciucholandach. Jędza nie brała za czynsz, podkarmiła mnie. To był jej jedyny ludzki odruch.

Wakacje?

Teraz korepetycje, wcześniej dorywcze prace w pizzeriach, sprzątanie cudzych ogródków, roznoszenie ulotek. Chyba tylko przy rurze nie tańczyłam.

- To nie tak!

- Taka szansa, a szczeniara tu podskakuje! - krzyczy ojciec.

- Bronuś, dzieci pobudzisz. - Mama przemyka drzwi od kuchni.

- To co? Niech się dowiedzą, jaką mają siostrę! Złą, chytrą! Taką, co chce wszystko dla siebie! Nic dla rodziny!

- To nie tak... - powtarzam bezradnie.

- Zrobiłam nam herbaty z cytryną - mówi uspokajająco mama.

Siadamy wokół stołu. Z nerwów skubię róg serwety. Jest brudna, powinnam ją wymienić.

- Mogę wynająć gdzieś pokój... - proponuję.

- Teraz wszystko zdrożało. I stancje, i życie. Wszystko. Nie da się. Jak chcemy mieć sklep, będą wydatki - ojciec z wściekłości ledwo mówi.

- Przecież z tego mieszkania będą pieniądze!

- A pewnie. Jak słyszałaś na sklep i remont domu. To teraz najważniejsze.

- I na posag dla ciebie, Marcysiu, coś zostanie - wtrąca pocieszająco mama. - Dziecko, dobrze się wszystko układa. Skończysz szkołę, może jakiś kurs... w sklepie będzie praca...

..znajdziesz męża, urodzisz dzieci, może trójkę, najlepiej jedno po drugim, po co siedzieć w pieluchach przez długie lata, będziesz uprawiać w ogródku piwonie, pietruszkę, marchewkę, może i kilka kurek na podwórku? Zawsze to świeże jajka, a nie te ze sklepu..., może króliczków parę? Mają takie smaczne mięso, w lesie jagód nazbierasz, w mieście sprzedasz, zawsze parę złotych



ci wpadnie... NIE CHCĘ TAKIEGO ŻYCIA!

- Nie wracam do Mięsowej.

- Wracasz, wracasz - odzywa się niby to dobrotliwie ojciec. - Nie masz wyboru. - I przypomnisz sobie, jak to jest w domu... - dorzuca.

I wtedy coś się we mnie przestawia.

Pewnych rzeczy nigdy nie zapomniałam i nie zapomnę. I nie wybaczę.

Albo moje życie, albo ich.

- Ciotka mnie zapisała mieszkanie. Ja zdecyduję, co z nim zrobić - mówię pewnym głosem. - Mam prawo. Jestem pełnoletnia.

Ojciec podnosi się gwałtownie. Przez stół nachyla się w moją stronę i uderza mnie w policzek. A potem drugi raz. Leżę na podłodze, obok przewrócony taboret. Słyszę płacz mamy. Z przewróconej szklanki wylewa się herbata.

*24 lutego, wtorek*

Pani Kamykova udaje, że nie widzi mojej rozciętej i spuchniętej wargi. Przybiegłam do niej z samego rana i wszystko opowiedziałam.

- Marcysiu, daj mi pomyśleć, daj pomyśleć.

- Ja już pomyślałam. Nie zmienię zdania. - Skubię skórę koło paznokcia. - Na pewno nie.

- Co oni teraz robią?

- Ojciec trzeźwieje, a mama pewno płacze.

Zalega cisza. Pani Kamykova stuka palcami w blat stołu przykrytego koronkową serwetą. Na półkach pełno książek i bibelotów, najwięcej porcelanowych figurek tancerek, na oknach doniczki z paprotkami. Ładnie tu. U ciotki jest bezdusznie.

- Więc jak sobie to wszystko zaplanowałaś? No jak? - pyta zdenerwowana.

- Sprzedam mieszkanie, kupię garsonierę i z reszty pieniędzy będę żyła - odpowiadam spokojnie. I nie jest to wcale spokój udawany. - I nic im nie dam - dorzucam mściwie.

- Marcysiu, przecież to twoi najbliżsi - mówi, ale chyba raczej z czystego obowiązku niż przekonania.

Bez słowa wskazuję na rozcięcie.

Pani Kamykova ciężko wzdycha. Ma dosyć własnych problemów.

- Na razie dam ci adres tego notariusza. Tego Bloderka. Arkadiusza. Arkadiusza Bloderka. Porozmawiaj z nim. Może on ci coś doradzi.

- Proszę pani, a czemu ciotka zapisała mi to mieszkanie? - pytam już w drzwiach.

Patrzy na mnie z uwagą.

- Nie wiesz?

- No nie. Zawsze mówiła, że wszystko, co ma, da Caritasowi.

- Ponieważ uważała, że jesteś do niej podobna. Bardzo podobna.

- Ja? - pytam głupio. - Ale w czym? Pani Kamykowa uśmiecha się.

- Zastanów się. Zastanów. Przecież z nią mieszkałaś. Znałaś ją.

Ja i jędza! Na pewno nie!

\* \* \*

Notariusz Bloderek ma najbliższy wolny termin dopiero za trzy dni. Na moją prośbę, że sprawa jest bardzo pilna, sekretarka wpisuje mnie na jutro, na 17.15.

Co teraz? Do szkoły nie pójdę, do domu wrócę, gdy już ich nie będzie. Powinni pojechać tym 16.20. U baby w zielonym futrze kupuję dwa precle z sezamem i ruszam w stronę Rynku. Zaczepia mnie młoda Cyganka, prosi o pieniądze na jedzenie dla dzieci. Odpowiadam, że nie mam, i idę dalej. Na Rynku | gołębie, ze dwie wycieczki dzieciaków, kilka osób z aparatami fotograficznymi i wymęczony lajkonik. Kruszę resztkę precla i rzucam gołębom.

- Buda wam się spaliła? - śmieje się ktoś za moimi plecami. Odwracam się. Misiowaty, kudłaty Bebeś. Chłopak Anki.

Obok śniady chłopak z drwiącym uśmiechem przyklepionym do ust. Wysoki. Przystojny.

- Chyba nie.

- Co tu robisz? Wzruszam ramionami.

- Nic szczególnego - mówię zgodnie z prawdą.

- To chodź z nami do knajpy - proponuje Bebeś. - Nie znacie się, co? To... - tu wydaje z siebie dźwięk, coś na kształt Uz, albo Iz. Wszystko jedno. - To... - szuka w pamięci. - To...

- Marcyśka - podsuwam spokojnie. Trudno wymagać, żeby pamiętał moje imię, gdy widział mnie na oczy raptem kilka razy. - Nie, dzięki. - A potem myślę, że do 16.20 mam bardzo dużo czasu. - OK.

„Prowincja” jak zwykle pełna jest dymu i studentów. Niezdecydowanie stoimy w drzwiach.

- Zamówię, wy poszukajcie miejsca - proponuje Bebeś

Skrzypiącymi schodkami ruszam na górę. Za mną Uz.

Wszystko zajęte oprócz małego okrągłego stolika w rogu. Siadamy. Rozpinam kurtkę. Dopiero teraz czuję w kościach nieprzespaną noc. Oczy same mi się zamykają.

- Ktoś cię uderzył - mówi niespodziewanie Uz. I w jego głosie nie ma pytania. Brzmi pewność.

Podnoszę powieki. Jeszcze mam siniaki na plecach od uderzeń, a na prawym udzie od kopnięcia.

- Potknęłam się.

- Właśnie mówię.

- OK. Ktoś mnie uderzył. - Kto?

- Młodszy brat. Niechący. Dał mi potem na przeprosiny Spidermana...

- Jasne...

W naszą stronę idzie Bebeś. Na tacy chybocą białe małe filiżanki.

- Kumpel naszych dziewczyn są naszymi kumpelami - mówi uroczyście i podaje mi talerzyk z makaronikiem. - Tylko nie opowiadaj o tym Ance, bo pomyśli, że dostałem spadek.

Parskam śmiechem. A potem zanoszę się długim śmiechem, który niespodziewanie przechodzi w krótki szloch.

- Masz - mówi Bebeś i podaje mi serwetkę. - Anka to beczy w kinie, nad książką, gdy się pokłócimy i gdy jest tęcza! - Robi zabawną minę. Ale w oczach ma strach. Trudno mu się dziwić. Nie wie, co mi jeszcze strzeli do głowy.

- To się już nie powtórzy - burczę i sięgam po filiżankę.

Bebeś i jego śniady kumpel rozmawiają o jakimś Wieśku i jego kumpie. Ciekawe, co o mnie myśli ten Uz. Uz? Jakie to może być imię? Totalna idiotka! Najpierw płacz, teraz stoicki spokój. A jeśli ojciec miał rację? I jestem taka suka - egoistka?

- Tylko bez płakania - mówi ostro Uz. - Obserwuję cię - dodaje, widząc moje pytające spojrzenie.

- Zazwyczaj nie płaczę. Jeśli nie Uczyć dzisiejszego razu - odpowiadam, wyzywając się w duchu od ostatnich kretynek.

- A kiedy ostatnio płakałaś? - ziewa Uz.

- Dziesięć lat temu. Ponad - odzywam się po długim namyśle.  
- Gdy zgubiłam ukochaną lalkę - piszczy Bebeś. - Albo misia. Już nie pamiętam...

Po misiu nie płakałam, chociaż ojciec wrzucił go do pieca, bo kto to widział, żeby taka duża dziewczynka spała z zabawką. Po spaleniu Karolka pobiegłam pod kapliczkę i modliłam się, żeby ojca dosięgły płomienie piekielne. Po śmierci. A za życia, żeby się spalił w stodole. Tak jak stary Kaziowski.

- Kiedy ojciec po pijaku wrzucił mnie do piwnicy i złamałam rękę - mówię bez zastanowienia. I wiem, że popełniłam błąd. Szybko rozciągam usta w uśmiechu. Auu, boli. - Nabraliście się. Jeden zero dla mnie.

- Masz zajebiste poczucie humoru - krzywi się Uza.

- Wiem. Wszyscy mi go zazdroszczą. - Sięgam do kieszeni spodni i wyjmuję dychę. - Bebeś, ile ci wiszę?

- Mówiłem, że nie ma sprawy.

Zapięłam kurtkę. Zawijam się szalikiem, szukam rękawiczek i czapki.

- Dzięki. Hej.

Teraz w dół po schodkach.

I czuję na plecach uważne spojrzenie Uza.

*29 marca, niedziela*

Od paru dni właściwie nie wychodzę z mieszkania. Tylko do sklepiku, po coś do jedzenia i gazety. Wyłączyłam komórkę i telefon stacjonarny. Pakuję rzeczy jędzy - do wielkich worków i kartonów. Rozmawiałam już z księdzem z pobliskiego kościoła. Przyjedzie autem. Biedni się ucieszą.

To trochę dziwne grzebać tak w szafach. Niby znam te wszystkie ciuchy, sama je prałam, prasowałam, ale czuję się niezręcznie. Chcę to mieć jak najszybciej za sobą. Cztery wielkie worki już wypchane. A przecież jeszcze buty, płaszcz i wyliniałe, śmierdzące naftaliną karakułowe futro.

Przykładałam do siebie koronkową bluzkę ze stójką. Jędza musiała ją chyba nosić ze sto lat temu, zanim się tak roztyła. Nie, po co mi to?! Do worka z nią. Pozbywam się też starych garnków, patelni, wyszczerbionych talerzy, nadłuczonych filiżanek, pościeli, ręczników. Zostawiam sobie tylko ten porcelanowy komplet z niebieskim paskiem, którego nigdy nie używałyśmy, za to przed każdymi świętami musiałam go wyjmować z kredensu i myć.

Myślałam, że sprzedam mieszkanie jędzy, kupię garsonierę, resztę wsadzę do banku na jakieś wysokooprocentowane konto i z tych pieniędzy będę żyła.

Nic z tego.

Na razie testament został złożony w sądzie. Mam przed sobą około trzech miesięcy czekania na „stwierdzenie nabycia masy spadkowej w drodze testamentowej” (tak to chyba nazwał adwokat), potem ze trzy tygodnie na uprawomocnienie.

Parę dni temu szukałam w mieszkaniu pieniędzy. Metodycznie, krok po kroku. Wiedziałam, że jędza ma je gdzieś schowane. Zawsze biadoliła, że to na czarną godzinę, a po śmierci dla biednych.

Ja jestem biedna.

Znalazłam stare listy ciotki, swoją koszulkę, z którą już się

dawno pożegnałam i dwie koperty przyklejone do tylnej ściany obrazu Matki Boskiej. W nich 2500 zł. Bez najmniejszych skrępowań postanowiłam je wykorzystać. Przecież muszę z czegoś żyć, płacić adwokatowi Notołkowi, z którym umówił mnie notariusz Jędrzy.

Jem mało, wzięłam dodatkowe korepetycje. Raz czy drugi wyniosłam do komisju jakieś figurki porcelanowe z dużego pokoju. Cenny jest jeszcze brązowy posążek tancerki, stojący na szafce pod lustrem. Czeka na swoją kolej.

Zmieniłam wystrój swojego pokoju. Ściany są w kolorze jasnej brzoskwini. Malowałam w czasie, gdy wargę malowała. Zostawiłam szafy (za ciężkie dla mnie do przepchnięcia), tapczan, biurko i fotel. Reszta mebli plus dywany i grafiki wylądowały w sypialni Jędrzy. Zrobił się tam składzik.

Gdy będę miała własne mieszkanie, w całości urządzę je tak, jak mi się będzie podobało.

Brakuje mi tylko jakiegoś zwierzaka. Może kota? Jutro o tym pomyślę. Na razie muszę skończyć robotę.

Rozdzwania się domofon.

- Proszę?

- To ja - mówi ktoś cicho.

Pewnie kolejna prosząca o pomoc. Jest tu taka jedna, która przychodzi regularnie, co dwa tygodnie. Po ubrania dla dzieci. Raz ma ich trójkę, innym razem znowu piątkę.

- Nic nie mam dla pani! - mówię ostro.

- Marcysia, to ja...

Mama!

Zdrętwiała ze zdumienia wciskam guzik domofonu, otwieram drzwi wejściowe i rzucam się do porządkowania. Poprawiam obrus na stole w dużym pokoju, jednym kopnięciem ustawiam równo swoje kozaki w korytarzu, brudny kubek wędruje do zlewu.

Bezsensowne działania, bezsensowne ruchy. Zdenerwowanie. Po co przyjechała, czego chce, gdzie ojciec, czy coś się stało, może zapił się na śmierć?

Mama wchodzi do mieszkania. Zmęczona twarz, zniszczone

ręce. Granatowy płaszcz, popielaty beret i szalik. Brązowa torebka, dwie reklamówki.

Ostatnio widziałyśmy się w Mięsoj. Ojciec nie wpuścił mnie do domu. Przez okno w suterenie wywrzeszczał, co o mnie myśli. „Ta suka nie należy do naszej rodziny”. Potem jeszcze dodał: „dopóki rozumu nie nabierze”.

Obok niego stała blada mama.

- Co się stało? - pytam i zamykam drzwi.

- Nic. Musimy porozmawiać...

- Ojciec wie, że tu jesteś? - przerywam ostro.

- Nie. Pojechał dziś do wujka Romka. Mają coś tam poprawiać przy piecu. Wróci jutro w południe.

Czyli się nie zapiał.

Tajna misja matki do wyrodnej córki.

Idziemy do kuchni. Mama siada przy stole. Nalewam wodę do czajnika. Cisza aż dzwoni w uszach. Nie zamierzam jej pierwsza przerwać.

- Okno trzeba by umyć - mówi niespodziewanie.

- Zrobię kawę.

- Muszę do łazienki.

Opieram głowę o szafkę. Przy mamie nie jestem pewna swojej decyzji. Przy ojcu tak... Kolejny mętlik.

Wraca mama. Z reklamówki wyjmuje jajka, butelkę mleka, kawałek białego sera. Kawa jest już na stole, obok talerzyk z piernikami. Dla mnie woda z cytryną. Siadamy.

- I jak ci tu? Samej?

Załatwiam sprawy spadkowe, do szkoły chodzę w kratkę, borykam się z różnymi myślami, życzę ojcu nagłej śmierci...

- W porządku - odpowiadam. - Dużo nauki. A wy?

- Patryk rozciął kolano. Na sanki poszedł. Siedem szwów mu w Staszowie założyli. W przyszłym tygodniu jedziemy do ściągnięcia. Ser mi dobry wyszedł, będzie ci smakował. Ze śmietanką go sobie zrób. A kielbasa z naszego sklepiku od DąbIELI. - Przecież ja nie jem mięsa! - wybucham.

- Nie przeszło ci jeszcze?



- Nie. O tym będziemy rozmawiać?

Mama wpatruje się we mnie wielkimi szarymi oczami. Wszyscy odziedziczyliśmy je po niej. I ciemne brwi i rzęsy. - Porozmawiamy spokojnie... Bez ojca...

- Przynajmniej mnie nie uderzy - pryham. - Marcysia, wiesz jaki ojciec jest po wódce... Trzeba z nim uważnie. Jak z jajem.

- Na trzeźwo też bił - mówię twardo.

Znowu cisza. Zaczynam mieć dość tej sytuacji. Chcę to jak najszybciej zakończyć.

- Chodzi o spadek, tak?

- Trzeba pewne sprawy poustalać. Pieniądzy będzie dużo... Marcynia, ja wiem, że chcesz się uczyć, wiem, że to dla ciebie ważne. Liceum, studia, ja to rozumiem...

Guzik prawda. Zawsze były awantury, że marnuję czas na czytanie.

- Właśnie. I dlatego zostanę w Krakowie. - Kiwam głową.

- Pieniądzy starczy na wszystko. Jak będzie sklep, wszystkim będzie nam lepiej. Tobie też. Nam jest ciężko. Zresztą, co ci będę mówić... Wiesz, jak jest.

Wiem. Trzysta dla mnie na miesiąc, sto na spodnie dla Angeliki.

- On się nie zgadza na Kraków - przypominam.

- Przekonam go. - Mama jest spokojna i pewna. Dawno jej takiej nie widziałam.

- A jak to ma technicznie wyglądać?

- Wynajmiesz coś w Krakowie, a my będziemy ci co miesiąc przysyłać pieniądze... tak jak było - uśmiecha się. Widać, że wszystko sobie już obmyśliła.

- Teraz mi już nie przysyłacie!

- Będziemy. - Ile?

- No, ze czterysta złotych - odpowiada, ale nie od razu. Myślam jest już w sklepie.

- Tak się chyba nie da. Przedtem miałam trzysta, ale za mieszkanie nie musiałam płacić.

- Ustalimy, wszystko się da. Sklep będzie dochody przyno-

sił... Wszystkim będzie lepiej - powtarza jak mantrę.

Spuszczam głowę. Może to jest wyjście z tej absurdalnej sytuacji? Cięży mi ten rodzinny ostracyzm.

- A kiedy z nim porozmawiasz? - pytam i odchylam się na krześle.

Mama już nie jest taka pewna, jak pięć minut temu.

- Przyjedź w najbliższą niedzielę, co? Że niby chcesz porozmawiać, a ja do tej niedzieli też z nim pogadam.

- Nie wiem...

- Ty zawsze inna byłaś, ale nie uwierzę, żebyś się do najbliższych plecami ustawiła.

- Ja nie o tym! Nie wiem tylko, czy powinnam przyjeżdżać do domu!

- Pogadam z ojcem wcześniej. Będzie dobrze. Przyjedziesz?

- Chyba tak - mówię powoli.

- Marcysia, przyjedź już w piątek. Tym o 16.20. Upiekę ciasto, spokojnie pogadamy, w niedzielę pójdziemy razem do kościoła.

Uśmiecham się pod nosem. Mogłoby być miło. - Dobrze - podejmuję decyzję. - I rozmawiam z nim.

*5 marca, piątek*

Autobus zatrzymuje się na przystanku przy remizie. Mam ze sobą plecak. W nim piżama, bielizna na zmianę, szczoteczka do zębów, ochraniacze na kolana dla Patryka, dla Angeliki czerwona bluza. I słodycze dla obojga.

Boże! Tu czas stanął w miejscu. Nic się nie zmienia, nawet ławka na przystanku. Jak była zepsuta, tak jest. Ślizgam się na zamarzniętych kałużach i omijam znajome dziury w asfalcie.

- Marcysia! - woła pani Jamrotkowa z okna swojego domu. Tkwi w nim od rana do nocy. Łokcie na poduszce, ciało na wózku inwalidzkim. Nie ma nóg. Kiedyś przygniótł ją traktor. - Ale się z ciebie panna zrobiła. Kraków ci służy! Do mamusi przyjechałaś?

Przede wszystkim do tatusia.

- Tak.

- Kiedy wracasz?

- Tym wieczornym, w niedzielę - odpowiadam pogodnie.

- Pozdrów mamusię, niech zagładnie do mnie kiedyś.

- Pozdrowię. Do widzenia.

W wesołym nastroju wchodzę na nasze podwórze. Z prawej warzywniak i dom, z lewej stara obora, którą ojciec zamierzał przerobić na stylowe pokoje dla agroturystów, z przodu druga obora i stajnia. Na dwóch sznurach sztywne od mrozu pranie. Wszędzie kury i nieporządek.

Z domu wychodzi mama.

- Marcysia! - Cmoka mnie w policzki i czoło. - Niedługo obiad. Krupnik.

- Marcyśka! Marcyśka przyjechała! - wydziera się Angelika gdzieś z okolic warzywniaka. - Patryk! Chodź! Ciekawe, co nam przywiozła.

Jesteśmy już w kuchni. Dużo miejsca zajmuje brązowy piec kaflowy. Mama nadal go używa. Jest też kuchenka gazowa, parę szafek, odrapany zlewozmywak, stara lodówka. Pod oknem stół i dwa krzesła. Przydałyby się pieniądze, bez dwóch zdań.

Wpadają Angelika i Patryk. Ona chuda, w sztruksowych dzwonach i żółtej polarowej bluzie. Obgryzione paznokcie popalowane na czerwono. On piegowaty, krzywe przednie zęby, postrzępione džinsy, kurtka z dziurą na łokciu i pomarańczowe adidasy. Dwie pary szarych oczu, w których migocą te same błyski zaciekawienia.

- To dla was - wręczam im paczki. - Ale chyba po obiedzie, Mamo, rozmawiałaś z nim? - ścisza głos. - I co powiedział? - pytam, gdy młodsi wybiegli z kuchni.

- No...

- Rozmawiałaś z nim, czy nie?

Mama ma przestraszone oczy. Wygląda zupełnie inaczej niż wtedy, gdy w kuchni jędy snuła plany na temat świetlanej przyszłości swoich najbliższych.

- Chciałam dziś rano, ale wyszedł wcześniej.

- A on w ogóle wie, że miałam dziś przyjechać!?

- Przecież ci mówię. Wyszedł wcześniej!

- Trzeba było zadzwonić, dać mi znać! Nie przyjeżdżałabym!

- wykrzykuję. - Inaczej się umawiałyśmy.

Z podwórka dobiegają głosy młodszych. Wrzeszczą, że przyjechała Marcyśka i przywiozła czekolady.

- Tylko nic nie mów o tym, że byłam u ciebie - szepcze prosząco mama.

Wchodzi ojciec. Ma złe oczy.

- Dzień dobry... - mówię.

I postanawiam nie dać się zaszczuć. Nie jestem tu po to, by o coś prosić. Chcę im coś dać, co jest moje, wyłącznie moje.

- Dzień dobry - odburkuje.

- Marcysia przyjechała, zaraz krupniku naleję, mówi, żel zostanie do niedzieli. A mnie coś tak wczoraj podkusiło i babkę upiekłam - wyrzuca mama z siebie wszystko jednym tchem. Głosem sztucznie wesołym. - Taka niespodzianka! Kto by się spodziewał! - mruga do mnie.

- No, właśnie. Tak pomyślałam, że może porozmawiamy. - Siadam na taborecie, pomiędzy stołem a ścianą.

Jestem panią sytuacji! Ja! Nikt inny. Powtarzam sobie to w duchu i próbuję uwierzyć.

Ojciec zajmuje drugi taboret. Między nami stół z ceratą, nad głową mam tablicę korkową z rodzinnymi zdjęciami. Moja robota. Wisiał tu kiedyś pożółkły święty obraz. Miał nad tłuczony fragment szybki i służył jako schowek na fotografie i mniej ważne dokumenty rodzinne.

- Sprzedałaś już mieszkanie? - Jeszcze nie...

- Jeszcze nie? A kiedy sprzedasz? - Pochyliła się w moją stronę. Śmierdzi piwskim.

- Jak ustalimy pewne sprawy. Ja się chcę uczyć, wy chcecie sklep... Wszystko ustalimy, spokojnie wszystko ustalimy - przywołuję z pamięci mantrę mamy.

- - Dobrze Marcysia mówi. - Mama siada obok nas na krześle które przyniosła z pokoju obok. - Spokojnie wszystko się obgada.

- Obgada? - Ojciec odchyła się na krześle. - Czyli ma być tak, jak sobie Marcyśka życzy, tak?

Zaczyna mnie wkurzać ten wielki facet o zamglonych alkoholem oczach. Jak zwykle pewny siebie aż do bólu.

- Za mieszkanie ję... ciotki można dostać około stu pięćdziesięciu tysięcy. To mieszkanie w dobrym punkcie. Spokojnie wystarczy na sklep, na meble do kuchni, na wiele rzeczy.

- I na naukę Marcysi - dorzuca mama. Nadal ma wystraszone oczy.

- Jednym słowem zmańdrzałaś... - Ojciec kiwa głową. W jego ustach brzmi to raczej jak obelga, a nie komplement.

- Na to wyszło - burczę.

- Taa - ziewa. - Co z obiadem?

- Już jemy. - Mama natychmiast staje przy kuchence i miesza w czerwonym garnku. - Na drugie sznyce, ziemniaki. I mizeria albo buraczki. Do wyboru.

- Mówisz, że sto pięćdziesiąt? - mówi ojciec. - A więcej?

- Nie wiem - wzruszam ramionami. - Może, ale wcześniej by trzeba remont zrobić. I to raczej generalny.

- Jak by miał być sklep, to by się samochód przydał. - Ojciec

patrzy na mnie z diabelskim uśmiechem. - Żeby do hurtowni jeździć, towar przywozić... Ze dwadzieścia tysięcy. A sklep to drugie tyle, albo i więcej. No i ogrzewanie domu.

- Więc? - zagryzam wargi.

Stary coś knuje, czuję to każdym centymetrem skóry.

- Więc teraz zupa. - Mama trzyma w rękach dymiącą wazę. Ona też wie, że coś się święci. - Potem drugie.

- O co ci chodzi? - pytam ostro.

- Jak widzisz dużo wydatków będzie. Nie stać nas na twoje mieszkanie w Krakowie. Wróć do domu. Skończysz liceum w Staszowie, w tym czasie sklep się rozwinie, na studia wrócisz do Krakowa. Obiecuję.

Tak sobie to wykombinował! Wrócę do domu, a potem nawet nie da mi grosza na studia. Zawsze będą jakieś ważniejsze wydatki.

- Marcysia, dobrze to ojciec wymyślił, co? - cieszy się mama, - Bardzo dobrze.

- Nie wierzę ci - mówię cicho. Nawet nie mam ochoty nazywać go tatą czy ojcem. - Obiecywałeś, że nie będziesz pił i co? Ze na nikogo z nas nie podniesiesz ręki. I co?

Ojciec wstaje. Jedną ręką oparta o szafkę, drugą zamierza się w moim kierunku.

Dlatego uciekałam z domu. I dlatego wielokrotnie namawiałam mamę, żeby wzięła rozwód z tym moczymordą.

- Nawet nie próbuj - cedzę przez zęby i wyskakuję na środek kuchni. - Bo zgłoszę na policję.

- Marcysia! - woła ze zgrozą mama.

Dla niej to wstyd. Własne brudy pierze się we własnym domu. Niech ją bije, ale nikt nie może się o tym dowiedzieć.

- Mamo, jego obietnice są gównem warte! - krzyczę. - Dobrze o tym wiesz!

- Jesteś wyrodną córką! Złą dziewczuchą! - ryczy stary.

- To nie ja wam nie chcę dać pieniędzy, tylko ty ich nie chcesz! - wołam do ojca i sięgam po plecak.

- Napiszę do sądu o obalenie testamentu! Na to liczył! To był

jego as w rękawie.

- Nic z tego - śmieję się nieco histerycznie. - Mieszkanie jest moje, tylko moje. Nie da się tego zmienić!

Teraz jestem taka mądra, ale jeszcze jakiś czas temu płakałam w rękaw Notołkowi, że mogą mi je odebrać. Cierpliwie tłumaczył, iż nie ma takiej możliwości.

Wybiegam z domu.

Za sobą słyszę płacz mamy i wrzaski ojca. Wytoczył się na podwórko.

Teraz już pół wsi wie, za kogo mnie uważa.

*8 marca, poniedziałek*

Myślałam, że jestem psychicznie mocniejsza. Od powrotu z Mięsowej nie mogę się do niczego zabrać. Tylko żłopię kawę i zadreczam się czarnymi myślami.

Wielu rzeczy się boję.

Przeraża mnie wizja głodnego rodzeństwa, mamy, która nie ma na lekarstwa dla siebie, pomyłka sądu, spanie w pustym mieszkaniu.

Babcia Bronia uczyła mnie, aby o zmarłych zawsze dobrze mówić, modlić się i przynajmniej raz w roku odwiedzić ich groby. Wcale dobrze nie myślę ani nie mówię o ciotce. Za życia też tak było. Najpierw się jej bałam, a potem nienawidziłam z całego serca.

Od czasu pogrzebu nie byłam na cmentarzu ani razu.

Od śmierci, ani razu nie modliłam się za nią.

Za to za życia bardzo często. Żeby jak najszybciej umarła, przestała mnie dręczyć, wypominać, że jestem ze wsi, że jej burzę spokój, na który zasłużyła.

Parę dni temu starałam się miło wspominać ciotkę. Nie potrafiłam. Jeszcze za wcześnie. Jeszcze za świeże są te złe wspomnienia.

Nawet fakt zapisania mi mieszkania nie zmienia mojego sposobu myślenia o tej świętej pamięci jędzy.

Teraz modlę się o szybką śmierć ojca.

Już wszystko sobie obmyśliłam. Pomagałabym mamie i małym. Odwiedzałabym ich co tydzień. Mama najpierw by strasznie rozpaczała, potem odżyła. Byłoby im dobrze samym, na pewno lepiej niż z nim.

Nie są to przyjemne myśli.

Ale trudno. Zła dziewczyna nie może mieć innych.

Koło południa robię sobie mocne postanowienie, by żyć zgodnie z planem. Swoim.

Wyruszam do schroniska.



Po pięciu minutach pobytu w nim jestem chora i z całego serca żałuję, że tu przyszłam. Biedne psy i biedne koty! I jeszcze ta oburzona baba w niebieskim obcisłym golfie i popielate minispódniczce! Przyjechałam po kota, a nawet nie wzięłam ze sobą transportówki!

Pewnie, że nie wzięłam. Bo nawet nie wiem, co to jest.

Przypomina mi się Saba. Na krótkim łańcuchu, głodzoną ponieważ tylko wtedy miała być ostra. Karmiłam ją po kryjomu, a gdy ojca nie było w domu, spuszczałam z łańcucha. Kiedyś mi uciekła i już nie wróciła. Po paru dniach znalazłam ją przejechaną w rowie obok remizy.

- Pani Krysiu, nie ma Tobiasza. - Do pokoju wchodzi chłopak. Starszy ode mnie. Superciuchy. Wysoki. Rudy. Nie marchewka, tylko ciemny kasztan. Ale i tak odrzuca mnie na jego widok. Pani Róża zawsze powtarzała, że rudzielce są zdradliwi. I namiętni.

- Niech pan zaglądnie jeszcze za parę dni. - Golfiasta uśmiecha się. Nawet miło.

- Ten nasz pies ma całkowicie niepokładane w tej swojej psiej głowie. Cały czas ucieka. Ile razy już trafił do państwa? Ze cztery albo pięć.

- No, mnie się wydaje, że więcej. Ma pies parę.

- On nas wszystkich jeszcze przeżyje. Zostawię ogłoszenie na korkowej tablicy. Ma pani kartkę?

Chłopak siada przy biurku, z kartką i flamastrem. Golfiasta z resztką uśmiechu, którym przed chwilą omiotła rudego, zwraca się do mnie.

- I jak będzie?

- Może zamówię taksówkę? Wezmę kotka na kolana - proponuję.

- No, nie wiem... Są taksówkarze, którzy nie przewożą zwierząt - kręci nosem.

Co ona tu robi? Płacą jej za odstraszenie ewentualnych właścicieli bezdomnych zwierząt?

- Ale może też są inni - mówię twardo. - Mogę skorzystać z

telefonu?

- Podrzucę cię do domu. O ile dobrze zrozumiałem - proponuje rudy.

- Dziękuję, ale poradzę sobie - odpowiadam szybko.

- Żaden problem. Załatwiłaś już wszystkie formalności?

- Chyba tak - mówię niepewnie i patrzę na golfiastą. Ta kiwa głową. - Tak.

- A gdzie kot?

- Doktor Julicki jeszcze go ogląda - odzywa się kobieta.

- Przyczepię ogłoszenie i czekam na parkingu. Jutro zadzwonię - uśmiecha się do golfiastej.

- Tobiasz się znajdzie. Na pewno.

- Mam nadzieję. Matka jak zwykle strasznie rozpacza. Do widzenia.

Wychodzimy na korytarz.

- To teraz na prawo, trzecie drzwi po lewej - mówi rudy.

- Stały bywalec?

- Właściciel stałego bywalca. Nara.

Po piętnastu minutach jestem na parkingu. Trzymam mocno zawiniątko - stary kocyk, w nim rudo - beżową wystraszoną kociczkę. Karolkę. Rudy siedzi w czarnym golfie, czyta gazetę. Na mój widok uśmiecha się. A potem pomaga mi wsiąść.

- Ona czy on? - pyta i zagląda w zawiniątko.

- Karolka.

- No to zrobiłaś dziś dobry uczynek. A teraz gdzie?

- Na Batorego, potem ci pokażę - głaszczę Karolkę po szyi.

Chyba nie jest tak bardzo wystraszona.

- OK. - Ma miły głos. Cóż z tego.

Skoro rudy.

\* \* \*

Splukuję odżywkę z włosów, gdy dzwoni telefon. Omotuję głowę ręcznikiem i sięgam po słuchawkę. O tej porze?

- Halo? - wołam i czuję, wędrujące po szyi strumyczki wody.

- Cześć, to ja, Sylwia.

- Cześć. - Przechodzę do pokoju i zwijam się w kłębek na tapczanie. - Jak przygotowania do ślubu? Jak przyszła teściowa?

Wszystko się znowu przesunęło. Chrzestna Zenka ma pogrzeb wujka. Jestem na bieżąco, bo ostatnio Sylwka często do mnie dzwoni. Ona opowiada, ja słucham, inteligentnie zadaję pytania, ona się cieszy, że mnie to interesuje, a dla mnie ma to posmak egzotyki. Ile balonów na sali, w jakim kolorze, ile butelek wódki na jednego gościa, jakie kwiaty przy ołtarzu, skąd wziąć kucharkę, kto upiecze ciasta.

- Marcyśka, ja ci muszę coś powiedzieć...

Boże! Jaki grobowy głos! Co? Zenek odwołuje ślub, bo wybrał Hankę i jej dzieciaka?

- Coś złego? - Tak.

- Mów.

- Ale nie wiem jak... Bynajmniej głupio mi. Zenek ma jeszcze jednego dzieciaka?

- Mów, po kolei.

- Wczoraj spotkali się nasi rodzice, no, Zenka i moi. I ja powiedziałam, że będziesz moja drużna i...

- I co?

- Marcyśka... Bynajmniej to nie moja wina.

- Mów już! - krzyczę.

- Teściowa powiedziała, że nie możesz być moją drużną. - Ale dlaczego? Przecież jestem ochrzczona, bierzmowana...

- Ja wiem, ale jej chodzi o to, co twój ojciec mówił... - Że jestem wredna suka. Jakby nie mógł mi tego powiedzieć w domu, tylko ryczeć na całą wieś. - Ona mówi, że nie może być skandalu na weselu... - głos jej się łamie. - Wszyscy będą gadać, że Zenek miał za drużną tę Mączkównę, która...

- Nie kończ.

- Ona chciała, żeby cię nawet nie zapraszać! Jeszcze zaczęła się wtrącać, jaką powinnam mieć suknię - zawodzi w słuchawkę.

- Teściowa to praktyczna kobieta, ma rację. Nie przyjadę, a prezent ci prześlę.

- Coś ty! Ja jej się postawiłam. Powiedziałam, że tak

bynajmniej być nie może, żeby przyjaciółki na weselu nie miała. Ale się wściekła! Zenek mnie poparł. Przyjeźdź, proszę, przyjeźdź...

Żeby wszyscy patrzyli na mnie jak na wredną sukę? - Sylwia, daj spokój, to nie ma sensu.

- Marcyśka, ja musiałam ci to powiedzieć... Bynajmniej, nie mogłam inaczej.

- Nie mogłaś się bardziej postawić? - wrywa mi się.

- Nie mogłam z nią za bardzo się kłócić, bo... bo jestem w ciąży. Jak jej powiedzieliśmy, no, Zenek się w złości wygadał to ta cholera go spytała, czy ma pewność, że to będzie jego dzieciak...

To już nie barwna egzotyka, to ciemne średniowiecze.

- Sylwia, nie płacz. Myśl o sobie, Zenku, dziecku. Nie o mnie, który to miesiąc?

- Szósty tydzień.

- Jak się czujesz?

- Rano nie najlepiej. Nawet mi się cera poprawiła, ale jakoś tak mi smutno.

- Będzie dobrze.

- Gniewasz się?

- Nie. Trzymaj się. Zadzwoń w przyszłym tygodniu.

- Wyślę ci zaproszenie, przyjeźdź, proszę... - zaczyna na nowo.

- Zastanowię się. Obiecuję. Cmoka do telefonu i rozłącza się. Nie jestem godna być druhną na weselu grubej Sylwki.

*9 marca, wtorek*

Za mną kolejna nieprzespana noc. Najpierw myślałam, że to nerwy. Teraz jestem pewna - raczej chodzi o to, że jestem w mieszkaniu sama. Obolała zwlekam się z łóżka. Żółta miseczka jest pusta, gazeta leżąca na tapczanie poszarpana na tysiące kawałeczków. Karolka zadomowiła się.

Szybki prysznic, jeszcze szybsza kawa. Kotka daje się głaskać, ale bardziej od pieszczot interesuje ją woda kapiąca z kranu. Siedzi w zlewie i hipnotycznie wpatruje się w krople.

- Po powrocie pokażę ci prysznic - obiecuję.

Nakładam do miski parę łyżek karmy. Sztruksy, top i polarową bluzę, kurtkę, no, czapkę to sobie chyba dziś daruję. Rzut oka do lodówki. Świeci pustkami. Zakupy są konieczne.

Do budy spóźniam się tylko dziesięć minut. Wpadam na polski. Wychowawca - polonista nawet nie mruga okiem na mój widok. Jestem mu za to wdzięczna. Siadam w swojej ławce, ostatniej w środkowym rzędzie. Stąd mam widok na wszystkich.

Dwudziestu sześciu uczniów. Obecnie trzy pary, jeden Debeściak, dwóch zaciekle wrogów, kilku chamów, dwie barbie, cztery anorektyczki, dwie durne papużki - nierozłączki, sympatyk kleju, kilkunastu miłośników piwa, jedna, o której szkolna plotka głosi, że robi te rzeczy za płyty CD i karty do komórek, jedna świadkowa Jehowy, jeden, kilka miesięcy w roku spędzający na stypendium naukowym w Kalifornii, dwóch hodowców marihuany w doniczkach, trzech matołów o wiecznie kosmatych myślach.

Wszyscy z Krakowa.

Tylko ja mam w dowodzie, jako miejsce urodzenia, wpisane „Mięsowa”.

\* \* \*

Po lekcjach ruszam do empiku. Przeglądam gazety, gdy] niespodziewanie ktoś zasłania mi oczy.

- Anka - mówię spokojnie.

- Skąd wiedziałaś? - śmieje się Bebeś. - Czyżbyś była posiadaczką trzeciego oka? Z tyłu?

- Musiała nas widzieć - mówi Uz i zabiera mi gazetę. W chwili gdy mnie dotyka, czuję w dłoni podskórne iskierki.

Kręcę przecząco głową. Anka używa dezodorantu tak mdłego, że trudno się pomylić.

- Idziesz dziś z nami do kina? - woła Anka.

- Na co? - pytam bez większej ciekawości.

- Na coś. - Uz wzrusza ramionami. - Ustalimy w tak zwanym międzyczasie.

Rano zadzwoniła pani Beata, odwołała dzisiejszy angielski Kuba znowu chory. Przede mną perspektywa kolejnego samotnego wieczoru w zatęchłym mieszkaniu.

- Na którą? - podejmuję decyzję.

- Najpierw coś zjedzmy - mówi stanowczo Bebeś. - Od rana jestem tylko na kawie.

- Muszę na chwilę do domu. Za czterdzieści minut będę z powrotem - przypominam sobie o Karolce.

- Mamusia czeka z obiadem? - pyta Uz.

Mamusia? Mamusia zadzwoniła wczoraj wieczorem. Zaraz po telefonie Sylwki. Prosiła, żebym się opamiętała. I będzie się modliła, żeby Pan Bóg mi wybaczył moją hardość.

\* \* \*

Karolka wybiega z sypialni. Szczodłą ręką nasypuję suchej karmy, oprócz tego nakładam kopiastą porcję z puszki, wymieniam wodę. Jeśli nadal będzie jadła w tym tempie, to za miesiąc będę mieć kotkę wielkości dorodnej krowy.

- Co ciekawego w zlewie? - Drapię ją za uchem. - O przyszlicu pamiętam, ale przekładamy to na później. Muszę znowu wyjść.

I zastanawiam się, co zmieni się w moim życiu od takiego jednorazowego wyjścia do kina ze znajomymi - nieznajomymi. Dochodzę do wniosku, że nic. To dobrze. Bo ostatnio zbyt wiele się w nim zmieniło.

Wyjmuję z szafy nową indyjską bluzkę. Tak naprawdę nową. Błękitną. Od bardzo dawna nie miałam niczego takiego. Kupiłam też nową bieliznę, sweter, dwie modne bluzeczki, Pierwszy raz w życiu tak poszalałam. Po prostu nie mogłam się powstrzymać... To musi być cudowne uczucie, gdy się ma kasy, ile dusza zapagnie. W łazience znajduję jeszcze odrobinę Perfum, takiej reklamówki, którą dostałam kiedyś od pani Kamykowej. Wystarcza ich tylko na skropienie skóry za jednym uchem. Zerkam w lustro. Rozciągam usta w uśmiechu. Gdzie kurtka? Jest. Jeszcze książka.

Pod kinem zjawiam się dziesięć minut przed czasem. Z tego wszystkiego zapomniałam o obiedzie. Kupuję precla, stoję przy wejściu i otwieram książkę.

- Wzorcowy przykład młodej osoby. A gazety trąbią, że Polacy nie czytają! - woła Bebeś.

- Jak obiadek? - pyta Anka. Bez słowa wskazuję na precel.

- Trzeba jednak było iść z nami. Pizza z owocami morza - mówi Uz z tym swoim drwiącym uśmiechem, który mnie maksymalnie wkurza. - Smaczna, ale cholernie droga.

- Następnym razem - obiecuję.

- Teraz po bilety - zarządza Anka.

Film mnie nudzi. Rozterki głównej bohaterki - młodej kobiety - czy wybrać miłość kochanka (mężczyzna jej życia), czy związek z nudnym mężem dla dobra dzieci (dwa rozwidrzona bachory). Rozterki jej matki, czy powiedzieć córce, że musi iść na operację (nic poważnego, ale po co niepokoić bliskich). Rozterki nudnego męża, czy pozwolić się gnoić szefowi w pracy (dobra pensja), czy może poszukać nowej posady. Gdy w połowie filmu pojawia się dawno zaginiony ojciec głównej bohaterki, a wraz z nim rozterki, czy córka zrozumie, że przez trzydzieści lat nie dawał znaku życia, nie wytrzymuję, wymijam całujących się Ankę i Bebesia i wychodzę z sali.

Rozterki, wątpliwości... Mam tyle tego w życiu i jeszcze niepotrzebnie wywaliłam kasę na bilet. Wracam do Karolki.

- Zawsze tak oglądasz filmy? - podchodzi do mnie Uz.

- Ten był wyjątkowo głupi - odpowiadam zdecydowanie. -

Tobie się podobał?

- Skoro tu jestem, to raczej nie. Bebesiom jest wszystko jedno, co idzie - rechocze.

Wychodzimy z kina.

- Kawa? - pyta.

- Głodna jestem.

- Mamusia nie przygotowała dokładki? To chodźmy do „Vegana”. Mają tam dobre sałatki.

Rozdzwania się komórka Uza.

- No? Nie, nie. Nie wydołę. U mnie centralnie rzeźnia.

Może jutro... nara... - Chowa telefon do kieszeni. - Idziemy?

- pyta.

- Czemu ci się film nie podobał?

Niespodziewanie uśmiecha się szeroko.

- Podobał. To pocieszające, że nie tylko ja mam przesrane w życiu. - A masz?

- A kto nie ma? - Patrzy na mnie uważnie. - Znasz takich? Ja w ogóle znam mało ludzi.

- Jakie masz problemy? - pytam niespodziewanie sama dla siebie.

Uz przystaje.

- I tak nie zrozumiesz. To nie sprawy dla dobrze ułożonej panienki z dobrego domu, na którą mamusia czeka z obiadem - odpowiada ostro.

To on tak mnie widzi? Ja z dobrego domu? Wybucham śmiechem.

- O Bosz, ty jesteś zwariowana. Twoje reakcje są nieprzewidywalne.

- To z głodu - odpowiadam z przekonaniem i znowu wybucham śmiechem. Bo przypomina mi się kojec z kwoką i kurczakami, które parę lat temu mama władowała do kuchni.

Uz kręci głową z niedowierzaniem. Potem chce mnie złapać za łokieć. Znowu iskrzenie. Wykręcam się. Wzrusza ramionami i ruszamy do „Vegana”.

A ja jestem tak zdenerwowana, jakbyśmy szli rozbrajać



bombę, a nie na obiecaną sałatkę.

*10 marca, środa*

W szatni natykam się na wściekłą Ankę.

- Przepraszam - mówię od razu.

- Za co? - patrzy na mnie zdumiona. - Cholera, dlaczego ja mam taką starą? Ze starym jeszcze idzie się dogadać, tyle że go ponad sześćset dni w roku nie ma w domu. Ale stara... za jakie grzechy...

- Coś się stało?

- Nic. Wczoraj wróciłam do domu po dwudziestej drugiej i rzeźnia. I szlaban na miesiąc. Na wyjścia, na kasę. Jakbym była jakąś nierozumną smarkulą. - Takiej Anki nie znam. - Nie wytrzymam dłużej w tym domu.

- To się zmieni...

- Ale na gorsze - mówi z przekonaniem. Przez ponad rok nigdy nie powiedziała tyle o sobie, co przez ostatnie minuty. - Nie mam siły na budę. Zrywam się. Idziesz ze mną?

- Mhm.

Jesteśmy już niedaleko przystanku, gdy Anka naraz przystaje.

- A jak jest u ciebie w domu?

- Normalnie.

- Ty to masz szczęście!

Rozmowa przybiera niebezpieczny dla mnie obrót, więc szybko zmieniam temat.

- Co robimy? - pytam szybko.

- Odwiedzimy chłopaków.

- Chłopaków?

- No, Bebesia i Iza.

Anka znowu przystaje.

- Wczoraj zrywasz się z chłopakiem, a dziś nie wiesz, jak ma na imię? Moja stara nazwałaby cię ladacznicą - krzywi się.

- Iz. Iz. Mam ci powtórzyć wielkimi literami?

- Nie trzeba. A od czego jest to Iz?

- Nie wiem - prycha. - Albo od Izostara albo od Izobara. -

Uśmiecham się. - Coście wczoraj robili?

- Nic, byliśmy coś zjeść - mówię szybko.

I to prawda. Bar, sałatka, kilka zdawkowych uwag na temat filmu, milczenie, potem rozdzwoniła się jego komórka i poleciał na jakieś spotkanie. Smaku sałatki nie pamiętam, ale doskonale za to pamiętam te niesamowite iskry, gdy przez wypadek dotknął mnie ramieniem. Anka patrzy na mnie długo, ale wytrzymuję jej spojrzenie. Nie mam sobie nic do zarzucenia.

- Kupimy im jakieś żarcie, jak znam życie, nic nie mają. - Popycha mnie w stronę marketu.

- To Iz studiuje razem z Bebesiem?

- Razem mieszkują. Ale nie studiują. Tak nawet to dokładnie nie wiem, co ten Izabel robi. Kiedyś grał w jakiejś kapeli, sprzedawał piraty. A co, podoba ci się?

- Nie - mówię z przekonaniem.

- I dobrze, bo to nie jest chłopak dla ciebie.

- Dobrze, mam - mówię z powagą.

Anka zaczyna chichotać, a potem sięga po razowiec.

- Poszukaj kefiru - chichocze. - I jogurtów owocowych. I alka - zelcerów. Tego im nigdy za wiele.

\* \* \*

Kamienica wygląda tak, jakby miała się za pięć minut zawalić. Na wysokim piętrze, po prawej stronie, odrapane drzwi ozdobione mosiężną tabliczką z napisem „Nurkowa”. Anka stuka w nie nogą.

Słysząc kroki, szczeka zamek. W progu staje zarośnięty i ziewający Bebeś. W zielonych bokserkach i żółtej koszulce.

- Wkładaj spodnie. Damy przyszły - zarządza Anka. - Wchodź, Marcyśka. Od razu na prawo do kuchni, a ty, Bebeś, się ogarnij.

Kuchnia jest duża i wysoka, kiedyś niebieska, teraz przykurzona. Odrapany zlew, stół przykryty szaroburą folią, dwa taborety, każdy innego kształtu i koloru. Dwie brązowe szafki stojące bezpośrednio na brudnej podłodze. Na jednej z nich

płytką, na drugiej czajnik elektryczny. W rogu mała lodówka, Anka kładzie reklamówkę z zakupami na stole, a potem nastawia czajnik. Boże, jaki tu chlew. Kartony po soku, puszki po piwie, zeschnięte kromki chleba, zapleśniałe skrawki czegoś, co kiedyś było chyba wędliną. Wszędzie brudne talerze, kubki, garnki.

- Zostaw! Nawet nie myśl o tym! - burczy Anka, bo odruchowo zaczynam sprzątać. - Zrobimy im śniadanie i niech się cieszą. Deska powinna być w szufladzie.

Zaglądam. W szufladzie są dwie paczki prezerwatyw, jakiś notatnik i kilka zardzewiałych noży.

- Ej! Gdzie deska? - ryczy Anka w stronę pokoju. - Wyrzuciliście? Brawo.

- Pokroję na talerzu - mówię.

- O ile znajdziesz czysty.

- Oni tak tu mają zawsze? - Walczę z żółtym serem. Nóż jest nieprzyzwoicie tępy.

- Nawet gorzej. Kiedyś im ogarnęłam ten chlew, przyszłam po paru dniach i było jak zawsze. Co pijesz?

- Kawę. Ale kubki to chyba muszę umyć. - Podwijam rękawy i staję przy zlewie.

- Tylko nic więcej. Może jeszcze ze dwie łyżeczki. Kubki umyte. Szukam ścierki, by je przetrzeć. Anka podaje mi coś ścierkopodobnego.

Do kuchni wchodzi Iz. Ubrany, ale nieogolony.

- Heja. - Siada na krześle obok okna. - Urwaliście się ze szkółki?

- Nie, oddelegowała nas tu dyrektorka. W ramach pomocy poszkodowanym na umyśle - wyrywa mi się głupio.

- No, no, cięty jęczyczek u panienki z dobrego domu, kto by przypuszczał - cmoka. - Jak mówiłem, masz specyficzne poczucie humoru.

- Ty też - wtrąca Anka. - I na tym koniec waszego podobieństwa. Marcyśka, nakładaj więcej kielbasy.

- Dla mnie kawa - ziewa Iz, nie ruszając się z miejsca.

- To sobie zrób - warczy Anka. - A najlepiej dla wszystkich.

W dzbanku. Czekamy w pokoju. - Wręcza mi półmisek z kanapkami i wypycha z kuchni. - Cholera, ale z niego sakramencki dupek!!!

- Słyszałem - odpowiada drwiąco Iz.

Pokój robi większe wrażenie niż kuchnia. Dwa materace leżące bezpośrednio na brudnej podłodze, dwa fotele, chyba ze śmietnika. Rozchwierutany stół i kartony z ubraniami, gazetami, książkami. Stawiam półmisek na stole, a potem przeglądam gazety.

Przychodzi Bebeś. Niby uczesany, ale nadal wygląda, jakby nie spał od tygodnia. Potem Iz z tacą.

- Burdel tu macie totalny, ale i tak wam zazdroszczę - wzdycha nagle Anka wtulona w Bebesia. Gniotą się w jednym fotelu. Drugi ja zajmuję, Iz siedzi na podłodze.

- Znowu hajer w domciu? - pyta Iz znudzonym tonem. - Powiem ci na pocieszenie, że za dwa, trzy tygodnie mamy stąd wylot.

- Albo wcześniej - dodaje Bebeś.

- Jak to?! - wrzeszczy Anka.

- Właściciel nam wymówił - wyjaśnia Bebeś. - Po naszej ostatniej imprezie doszedł do takiego zdania.

- Nasze szczęście, że facet i tak należy do wolnomyślących - śmieje się Iz.

Bebeś rechocze.

- Ty, głupku! Co w tym takiego śmiesznego? Co teraz będzie? - krzyczy Anka. - Przecież ty nigdy nie masz forsy, a tu było niesamowicie tanio!

- Kumpel z akademika mnie przyjmie - wyjaśnia z niefrasobliwym uśmiechem Bebeś.

- A jak nie? Znam tych twoich, pożał się Boże, kumpli!

- Ten jest w porzo - mówi z przekonaniem Bebeś.

- Razem z Izem cię przyjmie?

- Mnie pytaj. Nie jego - burczy Iz i sięga po ostatnią kanapkę. Skroiliśmy cały bochen chleba i cztery bułki.

- Więc pytam. Ten w porzo kumpel ciebie też przyjmie? -

Anka pochyla się w stronę Iza.

- Mnie nie. Coś wymyślę - odpowiada z pełnymi ustami.

- Nie wątpię. - Anka wyplątuje się z ramion Bebesia i przechodzi do kuchni.

Strzela szafką, stuka talerzami. Wraca z miską pełną połamanych paluszków. Z rozmachem stawia ją na środku stołu.

- Nawet nie wiecie, jak mi się nie chce wracać do tego pieprzonego domu. Cholera, ile bym dała, żeby choć na tydzień wyrwać się stamtąd - wybucha. - Stara powiedziała, że jak dla niej, to mogę się wyrwać i na sto lat...

- Zawsze podziwiałem twoją matkę za szczątkowe poczucie rodzicielstwa - mówi Iz.

Zapada cisza przerywana denerwującym chrupaniem paluszków.

- Marcyśka, czemu nic nie mówisz? - Bebeś patrzy na mnie. Wiem, że to pytanie ma przerwać skisłą atmosferę.

- A co mam powiedzieć? - wzruszam ramionami.

- Pewnie. Co ty możesz nam powiedzieć - mówi Iz. Tak ironicznie i z takim przekonaniem, jakbym była od niego gorsza - O co ci chodzi? - wściekam się.

- Jak się posiada mamusię z obiadami, to inne życie, inne problemy. Byt kształtuje świadomość.

- Tę złotą myśl można ująć jeszcze inaczej. Punkt widzenia zależy od punktu siedzenia. - Głos mam spokojny, ale w środku jestem całkowicie roztrzęsiona.

- No, to się rozumiemy. - Iz chrupie paluszki.

- Gówno się rozumiemy! - wybucham. - Nic o mnie nie wiesz, a oceniasz mnie, moje życie, moje problemy...

- Oj, przestańcie - wtrąca Anka, a ja podnoszę się z fotela i szukam plecaka. - Ty cholerny Izobarze! Jak zwykle coś wywalisz. Marcyśka, daj spokój, on tak zawsze...

- To wam współczuję... Muszę się zbierać.

Anka szepcze coś Bebesiowi do ucha, całuje go, a potem podchodzi do mnie.

- Razem przyszliśmy, razem wyjdziemy - mówi patetycznie.

Parskam śmiechem. Kątem oka widzę, jak Iz patrzy na mnie z niesmakiem.

- Mam was dość, głupki! - woła Anka. Jedną ręką łapie nasze kurtki, drugą wypycha mnie na klatkę schodową. Jesteśmy już na ulicy, gdy wybucha: - Cholera!

- O co chodzi?

- Wszystko mnie wkurza! A te dwa dupki? Moja stara ma rację w jednej kwestii. Chłopy są naprawdę jak z innej planety. Masz chłopaka?

- Nie.

- I tak trzymaj. Umrzesz szczęśliwsza i spokojniejsza. Bre-dzę, co?

- Mhm.

- Nie chcę wracać do domu - mówi cicho. - Nie chcę. - Przymyka na moment oczy. Wygląda jak mała dziewczynka. Smutna dziewczynka.

- Jeśli chcesz, to możesz trochę ze mną pomieszkać.

Otwiera oczy. Nie ma smutnej dziewczynki. Jest buńczuczna, jak zwykle, Anka.

- Z tobą? I z twoją mamusią od obiadków? Naćpałaś się czegoś od Iza?

- Mówię poważnie.

- Mam zamieszkać z tobą i z twoją mamusią od obiadków?

- Tylko ze mną - powtarzam twardo. Patrzy na mnie uważnie.

- Iz miał rację. Rzeczywiście jesteś lekko pogięta.

- Tak czy nie?

- Tak. Tak! Tak! Od kiedy?

- Od kiedy chcesz.

- To od zaraz.

Anka jest bardzo szczęśliwa.

Ja natomiast już bardzo żałuję impulsywnie podjętej decyzji o pomocy koleżance, z którą po raz pierwszy od prawie dwóch lat rozmawiałam o czymś innym, niż tylko o tym, czy mam matkę.

\* \* \*

Dwie pękate torby Anki, jej plecak i podzwaniająca reklamówka zalegają w rogu dużego pokoju, a Anka i ja siedzimy w kuchni przy stole. Karolka tkwi w zlewku i ogląda krople kapiące z kranu. Zrobiłam herbatę, pokroiłam resztkę placka. Nie podoba mi się cała ta sytuacja. Denerwuję się, że wpuściłam Ankę w obszar swej prywatności.

- Nie mam cukru - zaglądam do szafki nad lodówką. - Skończył się, a zapomniałam kupić.

- Wypiję gorzką. Dobrze mi to zrobi. Nie wchodzę w dzinsy. - Opiera się plecami o ścianę. - Jaki spokój...

- Poczekaj aż sąsiad z dołu wróci z pracy. Robi remont. Do dwudziestej drugiej mamy zapewnione stukanie, pukanie oraz wiercenie.

- Wolę to niż jazgot matki.

Na końcu języka mam, że niedługo i tak będzie musiała wrócić do tego jazgotu, ale nic nie mówię. Po co psuć jej humor.

Anka wstaje i zaczyna wędrówkę wzdłuż półki. Stoją tu filiżanki, dwa dzbanuszki ze szkła i stary moździerz. Potem zatrzymuje się przy stole, nad którym wisi korkowa tablica z widokówkami. Większość czarno - białych.

Znalazłam je w pudle jędzy. Tym spod jej łóżka. Wszystkimi z widokiem Wenecji, podpisane przez „zawsze Twojego Józia”. „Zawsze Twój Józio” kaligrafował, że niebawem ucałuje rączki swej Franusi, ale kiedy to nastąpi, nie potrafi szczegółowo określić. Na razie pozostaje przy niej wszystkimi myślami i całym sercem. Dwadzieścia cztery widokówki. Pisane przeciętnie po pięć na rok. Pod koniec kolorowe. Ostatnia z datą 23 lutego 1944.

- Zawsze byłam ciekawa, jak mieszkasz. - Już siedzi przy stole i macza kawałki ciasta w kawie. - Ale myślałam, że inaczej...

- To znaczy jak?

- Z rodziną, upierdliwym młodszym rodzeństwem. Jak wszyscy.

- Tak się złożyło - wzruszam ramionami.

Anka opiera się plecami o ścianę i kładzie nogi na brzeżku! stołu.



- Z ciebie to jednak tajemnicza istota. Nigdy nie zbliżyłaś się do nikogo z klasy... Faktem jest, że zestaw matolów trafił się nam niebywały... Nic o sobie nie mówiłaś. Na żadne imprezy nie dałaś się zaciągnąć, do siebie nie zapraszałaś. Marcyśka? Czegoś nie czaję. Jak to jest, że mieszkasz sama?

To pytanie musiało paść. Trudno się dziwić. Co powiedzieć? Zanim coś wymyślę, gram na czas. Z szafki koło okna wydaję tabliczkę mlecznej czekolady. Anka zapomina, że nie wchodzi w dzinsy i rzuca się na nią. Za jednym zamachem zjada osiem kostek.

- O kurczę! - mityguje się naraz. - Teraz to przegięłam. - - Gdzieś mam czerwoną herbatę. Zaparzę, patrzy na mnie z niedowierzaniem.

- Ty i czerwona herbata? Po co ci to, dziecino? Jesteś chuda jak szczypiorek.

- Bo pije czerwoną - mówię głosem z reklamy.

- Dla mnie zaparz ze trzy. - Znowu sięga po czekoladę. - No, czemu mieszkasz sama?

- Chyba nie ma chleba na kolację. I wędliny - mówię szybko. - Nie zmieniaj tematu.

- Nie zmieniam, ale naprawdę nie ma o czym gadać.

- Już, już - pogania mnie. OK, miejmy to już za sobą.

- Nie jestem z Krakowa... - zaczynam swobodnym tonem.

- To akurat wiem. Skąd?

- Ze świętokrzyskiego. - Woda się zagotowała, zalewam herbatę. Ale nie w kubkach, tylko w dzbanku.

- A dokładnie?

- Wiesz, gdzie jest zalew Chańcza?

- Byłam tam raz ze starymi. Mieszkaliśmy w takim hotelu... Jak się nazywał? „Pory”.

„Cztery pory”. Chłopcy biegali tam oglądać samochody, my dziewczynki popatrzeć po prostu na ludzi. Starsi chodzili na dyskotekę, pod parasole. Średni syn ciotki Toski dostawał resztki z restauracyjnej kuchni dla swoich świń.

- No, to te rejony.

- Tam jest ładnie - mówi z przekonaniem.

Ładnie jest, to fakt. Ale sam urok lasów i pól nie wystarcza do życia.

Stawiam na stole dzbanek, Anka wącha herbatę. Krzywi się przy tym niemiłosiernie. Karolka siedzi w zlewku i patrzy na kran. Odkręcam zimną wodę, tak żeby wolniutko kapała.

- I co? Wynajmujesz to mieszkanie? Ona jest odjazdowa! - śmieje się z kotki, która próbuje łapać krople. - Nie, jest moje. - Cholera! Starzy ci kupili?

- Ktoś z rodziny sprzedawał.

Małe kłamstwo nie zaszkodzi w tej sytuacji. Nikomu krzywdy nim nie robię.

- To masz super. Słuchaj, oni by nie chcieli mnie może zaadoptować? Grzeczna jestem, dobrze się uczę. - Przygładza rozwichrzony włos i rozciąga usta w szerokim uśmiechu.

- Mam młodsze rodzeństwo.

Miałabym więcej, ale mama ostatnie dwie ciąży poroniła.

- Czyli nie?

- Nie. Ale jak się coś zmieni, dam znać.

- Powiesz mi coś? - Pochyliła się w moją stronę.

- Ale co?

- Jak to jest mieszkać samej?

- Ma to swoje plusy - odpowiadam i przed oczami staje mi brudna muszla po ciotce. - Niewątpliwie.

- Dziwnie tu. Najbardziej podobają mi się te stare drobiazgi... To rodzinne pamiątki, tak?

- Mhm.

- Kurczę, musisz kiedyś zobaczyć mój pokój. Zostawia niezatarte wrażenie - śmieje się i podrywa z taboretu. Wraca z podzwaniającą reklamówką. - Tu mam trochę rzeczy do jedzenia. Trzeba je schować.

Podchodzę do Karolki i drapię ją za uchem. Anka upycha w lodówce słoiki, jogurty i wędlinę.

- Iz ma rację, jesteś dziwaczka - woła wesolutko.

Iz. W ciągu ostatnich dni kilka razy myślałam o nim, chociaż

nie chciałam.

- Iz mnie wkurza - odpowiadam podobnym tonem.

- Witaj w klubie!

- A coś jeszcze mówi? - pytam, ale bez zbytnej ciekawości.

- Że masz ładne nogi.

- Ja? - próbuję pokryć zmieszanie. - Nie wysilił się za bardzo.

- Co chcesz?! Mnie Bebeś powiedział na drugiej randce, że jestem podobna do jego pierwszej dziewczyny... A potem długo nie mógł zrozumieć, dlaczego się obraziłam! - chichocze zaraźliwie.

- Ile jesteście razem?

- Prawie cztery lata. Z trzymiesięczną przerwą, bo rok temu mój głupek sobie wymyślił, że nie jest dla mnie.

- I co?

- Ja rozpaczałam, stara mi truła dupę, bo myślała, że jestem w ciąży, a Bebeś zawałił dwa egzaminy... To już stara historia...

Prawie cztery lata. Aż trudno mi sobie to wyobrazić. Cztery lata uczucia. Moje najdłuższe trwało sześć tygodni. Platoniczne. Do przystojnego ojca Justynki, mojej uczennicy. Uczucie i dobrze płatne korepetycje angielskiego skończyły się z chwilą, gdy przystojny ojciec Justynki złapał mnie od tyłu za piersi.

- Długo.

- Długo. Chwilami mam wrażenie, że całe życie... Nie narobię ci kłopotu. Odpocznę od matki, porozmyślam...

- Nie ma sprawy...

- Tylko nie mów, że jestem dobra, bo poświęciłam pobyt na łonie rodzinnym, żeby tu pomieszkać z dziwaczką i z jej wodolubnym kotem. A gdzie będę spała? Może na tym zajebistym tapczanie?

- Mhm.

- Zakupy finansujemy razem, OK?

- OK. Ale ja mam... ograniczenia finansowe - mówię, a Anka kiwa ze zrozumieniem głową. - A co powiedzieli w domu na twoją przeprowadzkę?

- Szkoda, że tak późno i na tak krótko.

\* \* \*

Parę minut po północy jestem już w łóżku. Przygotowałam Ance żółtą pościel, pożyczyłam T - shirt do spania, bo się okazało, że zapomniała swojego. W łazience obok mojego zielonego ręcznika wisi czerwony dla niej. Jędza miała całe szafki kolorowych ręczników. Tylko część z nich oddałam.

Karolka już śpi. Na mojej poduszce. Przez uchylone drzwi sączy się światło z dużego pokoju. Słyszę, jak Anka chodzi.

Pewnie nie może zasnąć na nowym miejscu. Próbuję czytać, ale nie potrafię się skupić. Wstaję. Kotka otwiera jedno ślepie. Zeskakuje na podłogę. Podchodzi do krzesła i zaczyna bawić się rajstopami, zwisającymi z poręczy. Muszę kupić nowe. I nauczyć się chować ubrania do szafy.

- Potrzeba ci czegoś? - pytam, stając w drzwiach. Anka, w niebieskim T - shircie, siedzi na parapecie. Skubie bluszcz.

- Wszystko w porzo.

- Będiesz nieprzytomna w budzie - stwierdzam i raptem coś mi przychodzi do głowy: - Nie mów nikomu nic o mnie, że mieszkam sama...

- Jasne. Ale Bebesiowi powiem. Mogę pobuszować w książkach?

- Pewnie... Zaraz, umówmy się na jutro. O szesnastej muszę gdzieś być.

- Randka z tajemniczym wielbicielem?

- Proza życia. Zarabiam...

- Przy rurze? Sorki, głupi żart.

- Jednego malucha od pół roku staram się nauczyć dni tygodnia. Po angielsku - dodaję na widok jej zdumionej miny.

- Cholera! Taki matolek to kura znosząca złote jajka. Masz zarobek do końca swoich dni! Pory roku, miesiące... Żyć niej umierać!

- Dam ci jeden komplet kluczy. Będę w domu koło dziewiętnastej. Korki mam na drugim końcu miasta.

- OK. Na szyi mam nosić? - ziewa.

- Jak chcesz.

Klucze są w górnej szufladce kredensu. Podaję je Ance.

- Dziękuję.

- Idę spać.

- Miłej nocy - życzy mi i podchodzi do okna. Za szybą sypie i sypie.

Tutaj jej nie ma. Myślami jest na innej planecie.

*11 marca, czwartek*

Karolka budzi mnie przed siódmą. Budzik zadzwoni za dziesięć minut. Nie wyspałam się. Przedtem mi przeszkadzało że jestem tutaj sama, teraz mi przeszkadza, że za ścianą śpi ktoś obcy. Można oszaleć!

Z głębi mieszkania dobiegają jakieś denerwujące odgłosy. W paskudnym nastroju wchodzę do kuchni.

Anka w bluzie i dżinsach, na stole świeże bułki. Karolka bawi się reklamówką związaną w kulkę. Raz po raz na coś wpada.

- Cześć! - Anka uśmiecha się. Ma podkrążone oczy. - Byłam w sklepie. - Wskazuje na bułki. - Ale masz masakryczną sąsiadkę! Tę z parteru. Wyglądała, jakby wracała spod latarni.

- I tak pewno było. Ona mieszka z taką drugą... Zresztą musisz sama zobaczyć.

Anka chichocze.

- Idziemy dziś do budy?

- Chyba tak. - Jedną ręką skubię makowego ślimaczka, drugą głaszczę Karolkę. - Zawsze możemy spróbować. O której wstałaś?

- Obudziłam się przed szóstą. - Nalewa wodę do czajnika. - Ale grzecznie leżałam, żeby cię nie obudzić.

- Brawo. - Z szafki wyjmuję czerwoną puszkę z kawą. - Jest tylko rozpuszczalna.

- Dla mnie herbata. Z cytryną. Kupiłam. - Przeciąga się. - Boże, jaki spokój! Normalnie bym już usłyszała od matki, że znowu kolejny dzień, a ona nie wie, jak go przeżyje, i żebym się cieszyła, póki jestem młoda i życie jeszcze nie dało mi kość! Aha, jeszcze by jęczała, że się strasznie grzebię.

- Bo to prawda. - Woda się zagotowała, zalewam kawę w swoim ulubionym kubku. - Herbata z lewej strony, w takim okrągłym pudełku. Idę się myć. - Biorę kubek i suchą bułkę.

- Ja po tobie. Bo nie chciałam się tłuc po łazience i cię budzić.

- Przed szóstą.

- Po piątej - prostuje poważnie. - Cholera, nie mogłam wcale spać... I to ma być bezstresowe życie młodych ludzi? Ale dziś odeśpię. Kupię sobie coś w aptece na sen... No, leć.

Znikam w łazience. Słyszę, jak kłóci się z kotem. Na półce stoją jej kosmetyki. Nigdy takich nie miałam. Na pralce leży jej kosmetyczka. Gdy zawinięta w ręcznik wracam do sypialni, Anka siedzi na podłodze i grzebie w swojej torbie.

- Chyba nie wzięłam bojówek. No nic. Poświęcę się. Będę paradować w brudnych dzinsach. W domu nie pojawię się bez potrzeby.

- Za siedemnaście minut mamy tramwaj. - Zerkam na zegarek. - Kolejny za trzydzieści siedem.

- Zdamy na ten pierwszy. Za pięć minut przy drzwiach! - woła. - Który mój ręcznik? Ten czerwony?

- Mhm.

Z szafy wydaję ubranie. Karolka biega jak szalona. Jest wyraźnie w dobrym nastroju. Ja już chyba też. Od wielu tygodni tak się nie czułam.

\* \* \*

Maciuś uśmiecha się szeroko na mój widok.

- Cześć, Marcyśka.

- Pani Marcyśka - poprawia go jego mama, pani Dorota. Niska, drobna, elegancka. Zawsze poważna.

- Wystarczy Marcyśka. - Wieszam kurtkę. Przerabiamy to ze trzy razy w miesiącu.

- Herbata? Kawa? - proponuje pani Dorota, podczas gdy Maciuś już ciągnie mnie za rękę do swojego pokoju.

- Dziękuję, nie trzeba.

- No, to zaczynajcie już.

Maciuś ma duże biurko, którego górną nadstawkę zdobią przeróżne figurki żółwi. Kościany, rogowy, kilka szklanych i cały tłum plastikowych, z kinder - jajek. Cały pokój jest kolorowy, pełny śmiesznych przedmiotów. Najbardziej podoba mi miękkie krzesło - leżanka w kształcie banana i futrzane połączenie węża i

latarki. To Mandi. Ulubieniec. - Co tam ciekawego? - pytam.

Chłopiec już siedzi przy biurku, przed nim zeszyt do angielskiego. Na kolanach Mandi.

- Zrobiłem zadanie - chwali się.

- Dawaj, sprawdzę.

Tak jak przypuszczałam. Jak zawsze krzywo i jak zawsze z błędami. „Matolek, matolek”, dźwięczy mi w głowie. Poprawiam, tłumaczę. Maciuś żarliwie przytakuje, że rozumie. Ja udaję, że mu wierzę. Mówię proste zdania, opisuję jego pokój, każę powtarzać, namawiam do zadawania pytań. Po długim namyśle pyta, czy jestem krzesłem. A jest przy tym tak dumny z siebie, że nie potrafię się na niego złościć.

Po godzinie wychodzę bogatsza o piętnaście złotych i rysunek żółwia.

\* \* \*

Byłabym wcześniej w domu, ale jeden tramwaj mi uciekł, a drugi się zepsuł. Marzę o czymś ciepłym do jedzenia. Drzwi otwiera mi Anka. Płakała.

- Co się dzieje?

- Nie gniewaj się, ale jest tu Bebeś - szepcze.

- Nie ma sprawy. - Macham Bebesiowi, który dziwnie bez humoru rozmawia przez komórkę. Słyszę o hardkorze do kwadratu. Rzucam plecak i przechodzę do kuchni.

- Jest zupa. Pieczarkowa. - Anka włącza mikrofalę. - I zrobiłam sałatkę z kukurydzy i ryżu.

Witam się z Karolką, potem idę do łazienki. Bebeś nadal z telefonem. Teraz klnie. Gdy moszczę się przy stole, Anka stawia przede mną talerz z zupą. Odchylam się na taborecie i sięgam do szuflady po łyżkę. Dawno nikt tak o mnie nie dbał.

- Co się stało? - pytam z pełnymi ustami. Jestem zbyt głodna, żeby bawić się w damę.

Zamyka drzwi. Przysuwa taboret i siada naprzeciwko mnie.

- Cholera! Ten głupek - macha ręką w kierunku pokoju - pokłócił się z właścicielem!



- Co?

- To, co słyszałaś. A wiesz, o co poszło? Facet przyszedł po czynsz i nakazał bezzwłocznie uporządkować ten burdel. Bo się robaki zalegną. Bebeś się uniósł honorem, że posprząta, jak będzie chciał. No i mają, nasze mózgi, wylot.

- Kiedy mają się wyprowadzić? - Odkładam łyżkę.

- Już się wyprowadzili. Rano.

Pomału dociera do mnie wszystko, co się wiąże z tą informacją. Bebeś jest bezdomny, Iz jest bezdomny, ja mam mieszkanie.

- A ten kumpel z akademika? - pytam w popłochu.

- Ten w porzo? - parska wściekła. - Wyjechał z Krakowa. Podejrzone interesy w Monachium. Będzie za parę dni. Cholera jasna! To, że matkę mam do wymiany, to wiedziałam od zawsze, ale żeby i chłopaka?

Podchodzi do lodówki. Otwiera ją z wściekłością i wyjmuje miskę. Nogą popycha drzwi. Jak tak dalej pójdzie, będę musiała kupić nową. Sałatka wygląda kusząco. Anka hojną ręką nakłada ją na talerzyk.

- Bułka?

- Nie. - Już nie jestem głodna. Talerz z zupą, prawie nie-  
tkniętą, stoi przede mną. - Co będzie? - pytam.

Wzrusza ramionami.

- Opieprzyłam Bebesia z góry na dół. Mnie ulżyło, on uważa, że go nie rozumiem. Teraz wydzwania do jakiegoś nieuchwytnego kumpla. Do południa wstępnie rozmawiali. Przyjmie go na parę dni. Dopóki głupek sobie czegoś nie znajdzie.

- A Iz?

- Ten dupek? - wykrzywia się. - On zawsze spada na cztery łapy, jak kot. Już gdzieś się zaczepił. A tak w ogóle, to pokłócił się z Bebesiem. Że zachowuje się szczeniacko i robi innym przypały. Czaisz? Dożyłam takich czasów, że Izydor puszcza takie teksty.

Siedzimy w milczeniu. Przyjęłam Ankę, ale to nie znaczy, że razem z całym dobrodziejstwem inwentarza. Ją jeszcze przeżyję,

przy Bebesiu będę czuła się niepewnie.

Głupio jednak nie pomóc, jeśli można. Anka siedzi bez ruchu i tępym wzrokiem wpatruje się w kran.

Nie, nie będę martwiła się na zapas, może ten kumpel jednak przyjmie Bebesia... chyba jednak coś zjem, potem wymienię żwirek w kuwecie i biorę się do lekcji, na pojutrze mam przygotować referat, czyli muszę go skończyć już dziś, bo jutro korki u rozwydrzonej Kasi, zdolna bestia, ale potwornie leniwa ale o Kasi jej rodzice nie mówią nigdy inaczej, jak o cudownym dziecku...

Stukają drzwi. Do kuchni wchodzi zaaferowany Bebeś.

- Heja, Marcyśka. Anka, słuchaj...

Nie musi więcej mówić. Wszystko wiadomo.

\*\* \*

W mieszkaniu panuje rejwach, że hej!

Anka płacze, wymyśla Bebesiowi od najgorszych, jednocześnie szaleje w kuchni, przyrządzając coś wysokokalorycznego, bo „przecież ten głupek od rana nic nie jadł”. Raz po raz Bebeś dopada komórkę i łapie kolejnego kumpla. Ma kumpele, która mieszka sama, bo rodzice wyjechali na dwa miesiące, ale Anka zdecydowanie nie zgadza się na nocowanie u niej.

Zamykam się w łazience. Muszę mieć chwilę spokoju. Życie z jędzą świętej pamięci, choć trudne, było raczej przewidywalne. Anka w ciągu niecałych dwóch dni weszła z impetem w moje życie. I w moje mieszkanie. Poukładała po swoim talerze, przyprawy, a ścierki przeniosła do innej szuflady.

A teraz jej chwilowo bezdomny chłopak.

Staję przed lustrem. Nie widzę swojej twarzy, tylko twarz ciotki. Zawsze ponurą, złą. I przypomina mi się jej wieczny, zaraźliwy pesymizm i to, że najmniejsze problemy urastały dla niej do rangi końca świata.

- Ciociu, chyba się zepsuła pralka...

- Jak to zepsuła? Tyle lat działała bez problemu. Musiałaś coś źle zrobić... No tak, już sobie wyobrażam, co będzie. Przyjdzie jakiś majster i zedrze ze mnie skórę za naprawę. A jeszcze ile

będzie zamieszania z tym, żeby znalazł czas na przyjście.

A jak będzie już w domu, to trzeba go pilnować, żeby czegoś nie ukradł. Taki jeden, co znajomej kran naprawiał, to kazał jej trzymać prysznic nad wanną, a sam poszedł do kuchni, niby sprawdzać ciśnienie w kranach, i ona lała i lała tę wodę w łazience, a on jej wyniósł telewizor, torebkę i kryształowy wazon. A jak potem będziesz tak postępowała z innym sprzętem, jak z pralką...”

Przecież to jeszcze nie koniec świata. Pomieszka tu Bebeś| jeden, dwa dni. Nic się nie dzieje.

- Marcyśka! Telefon! - Anka dobija się do łazienki.

Z rozmachem otwieram drzwi. Podaje mi słuchawkę. Ciekawe kto? Boże, może mama znowu z awanturą?

- Słucham? - Z powrotem znikam w łazience.

- Cześć. Tu Olaf Roztockki...

Z ulgą wypuszczam powietrze. Nie mama!

- To chyba jakaś pomyłka - mówię swobodnie.

- Poznaliśmy się w schronisku. Szukałem Tobiasza. Rudy! Nie przypomina, że mnie odwiózł na drugi koniec miasta. A kot z nerwów zarzygał mu pół samochodu.

- Cześć. I znalazłeś? - Siadam na brzegu wanny.

- Tak. Od tego czasu zdążył już zagryźć dwa buty. Każdy z innej pary. Czyli dobrze. Jak kot?

- Zniszczyła mi rajstopy i parę gazet. Czyli też dobrze. Na moment zalega cisza.

- Dasz się zaprosić do kina? Na jutro? Ja z rudzielcem w kinie? Nigdy w życiu.

- No, nie wiem...

- Nie daj się prosić. Niech będzie. Rozerwę się.

- OK. - Już nie siedzę, tylko stoję przed lustrem. Chyba trzeba zainwestować w jakąś maseczkę. Cera szara i zmęczona.

- Filmy akcji raczej odpadają, tak? - śmieje się Olaf.

- Raczej tak - odpowiadam pogodnie.

- To sama coś zaproponuj.

Mam w głowie pustkę. Nie mogę przypomnieć sobie ani

jednego tytułu filmu, który chciałam zobaczyć. Już wiem.

- „Dziewczyna z perłą” - mówię. - Ale nie wiem, czy gdzieś jeszcze grają - dodaję po chwili.

Sprawdzę i oddzwonię do godziny, może być?

- Pewnie.

- To na razie.

- Na razie. Olaf, poczekaj, poczekaj! - wołam.

- Tak?

- Skąd masz mój numer?

- Od pani Krysi. Tej ze schroniska. A co?

- Nic. Hej.

- Hej.

Rudy do mnie zadzwonił! Idziemy do kina! Wolałabym, żeby to był Iz. Boże, co za idiotyzmy! Iz i ja na randce. Czas wracać do rzeczywistości. Karolka! Z tego całego Bebesiowego zamieszania zapomniałam o niej. Powinna być jeszcze jedna puszka żarcia. O ile nie zjadł jej Bebeś. Wychodzę. W kuchni Anka z ponurą miną tkwi na parapecie.

- Gdzie Bebeś? - pytam z głową w lodówce.

- Wygoniłam go na zakupy!

- Po co? - Lodówka jeszcze nigdy nie była tak dobrze zaopatrzona.

- Bo nie mogę na niego patrzeć! Kazałam mu kupić wykałaczki, powinno mu to zająć trochę czasu. - Zeskakuje z parapetu i podchodzi do mnie. - Zachowuje się tak, jakby nic nie docierało do jego zakutego łba.

- Ale co ma dotrzeć?

- Jak to, co? Zwaliliśmy się tobie na głowę. A on, ten dupek, pyta, czy jest tu kablówka. I gdzie trzymamy bronksy!

- Nie ma kablówki.

- Cholera, przynajmniej ty mnie nie denerwuj!

- Przecież to tylko dwa dni. Przeżyjemy - mówię uspokajająco.

Anka patrzy na mnie uważnie.

- Wiesz co? Myślałam, że te parę dni spędzimy na plotkach,

łażeniu po sklepach. Taki babski miły czas. A tu co? Mój dupek z nami mieszka. A wraz z nim jego problemy.

- To nic, poradzimy sobie - powtarzam z przekonaniem. I mam nadzieję, że sama w to uwierzę.

\* \* \*

Jest po północy, a nam się wcale nie chce spać. Chyba nigdy jeszcze nie spędziłam z nikim tak miłego wieczoru. Anka i Bebeś przytuleni do siebie, świece, kanapki i muzyka, Karolka tkwiąca w zlewie.

- Idziemy spać? - ziewa Anka.

- Ja na pewno. - Przeciąga się Bebeś. Potem patrzy na Ankę, a ona zaczyna do niego mrugać. - Co znowu? Aha. Już wiem. Marcyśka, dzięks...

- Za co? - śmieję się.

- Wiesz, za co. - Bebeś jest niezdrowo poważny.

- Nie wygłupiaj się - mówię, chyba trochę ostrzej niż zamierzałam. Nastrój pryska. - Dobra, zbieramy się do spania.

Gasimy świece, biorę się za mycie naczyń, ale Anka tłumaczy, że do jutra talerzom nic się nie stanie. Ma rację, ale nie zasnęłabym ze świadomością, że w kuchni jest bałagan. Potem szukam dla Bebesia ręcznika, później ustalamy kolejkę do łazienki i wychodzi na to, że ja mam pierwsza iść się myć. To idę, ale wcześniej odnajduję w szafie szlafrok.

Ostatnio miałam go na sobie rok temu. W szpitalu, gdy mi wycinali wyrostek robaczkowy. Rodzice nie odwiedzili mnie wtedy ani razu. Bo Angelika była chora, Patryk skaleczył się w rękę, a tu przecież robota w polu... Parę razy zadzwonili, przez jakąś kuzynkę sąsiadki przesłali mi siatkę pomarańczy, dwa soki i blachę drożdżowca. Wtedy mi to nie przeszkadzało. Teraz, im dłużej się nad tym zastanawiam, tym bardziej jest mi przykro.

Gdy wychodzę, Bebeś chrapie na tapczanie, a Anka z wściekłością grzebie w swojej torbie.

- Spakowałam się jak ostatni matoł. Teraz okazuje się, że zapomniałam ulubionej bluzki. No, nic.

- Potrzebujecie jeszcze czegoś?

- Nie. Mogę do łazienki? - Tak.  
podchodzi do mnie.

- Wiesz co? Szkoda, że przez ten cały czas tak trzymałaś się na uboczu... Ale lepiej późno niż wcale.

Nie wiem, co odpowiedzieć. To miłe słowa. Uśmiecham się i znikam w sypialni.

A co będzie, jak mi się zachce siku w nocy? Co wtedy? Jak wyjdę, to mogę ich obudzić, a jak mnie zobaczą, to pomyślą, że sprawdzam.

Zaczynają się schody.

*12 marca, piątek*

Gnamy na tramwaj o 7.40. Dziś pierwsza lekcja z Sigmą. Gdyby prawo zezwalało, strzelałaby do spóźnialskich. Bebeś został w domu. Chrapiący, rozwalony w poprzek tapczanu. No, jest dwójka. Zdążymy.

- Jak dobrze, że jutro wolne! Już bym nie wytrzymała! - Anka rozdzierająco ziewa. - Marzę, o tym, żeby odespać... Co? Nie, nic z bebesienia, ale słyszałaś, jak on chrapał? Już się chciałam przeprowadzić do ciebie.

- Trzeba było. Łóżko jest nawet duże.

- To brzmi zachęcająco - mruczy Anka, a stojąca obok kobieta sztywnieje z oburzenia. - No, ale to, co robili Jarek z Magdą w nocy, to przechodzi wszelkie pojęcie. I wiesz, co? Potem Maciek do nich przyszedł. Mój Boże! I po co oni jeszcze tego biednego psa wzięli? I chomika? Ja się chyba z tej komuny wypisuję. A Jolka znowu w ciąży. I znowu nie wie, z kim. Sodoma i gomora! - Zerka na kobietę, która ma wyraźnie trudności z oddychaniem. - Podlałaś marychę, czy jak zwykle zapomniałaś?

- Zapomniałam - krztuszę się ze śmiechu.

- No nic, zasiejemy nową. W większych doniczkach. Wysiadamy. Anka aż kwiczy z radości.

- Kocham takie paniusie. Przez następne tygodnie będzie o nas opowiadać wszystkim znajomym. To będzie jej wielkie pięć minut. Ooo, Debeściak! Zaraz błysnie swym wątpliwym intelektem.

Debeściak, z małpią miną, otwiera przed nami drzwi szkoły.

- Szanowne panie tu po raz pierwszy? Chętnie zaprowadzę do szatni.

- Odpieprz się - odburkuje Anka.

- Chciałem być miły.

- Więc bądź miły i odchrzań się.

Jesteśmy już w szatni. Jarek i Maciek coś przepisują, Julka

piłuje długie paznokcie, Krzysiek słucha discmana, kiwa się.

- Ej, Anka i Marcyśka, co wy tak ostatnio razem? - pyta Debeściak i głupio rechocze. - Może wy lesby?

Zanim Anka zdąży coś Odpyskować, obejmuję ją w pasie.

- Ale szczęśliwe - mówię.

Debeściak baranieje, a Anka patrzy na mnie z lekkimi uśmiezkami.

- Ty rzeczywiście jesteś wariatka - stwierdza półgłosem. - Nieźle się maskowałaś.

Chyba tak. Nawet przed samą sobą.

\* \*\*

Od dwóch godzin, raz po raz, błogosławię panią Krysię która dała rudzielcowi mój numer telefonu.

W domu jest nie do wytrzymania! Gdy weszliśmy do mieszkania objuczone reklamówkami, Bebeś nadal tkwił w łóżku z pilotem, papierosem i piwem. Wesolutki. Zarośnięty. Spytaj czy może dostać śniadanko. Spóźnione. I wtedy Ance zrobiło się potwornie głupio. Zaczęła mnie przeproszać, wrzeszczeć na Bebesia, wietrzyć pokój.

Udawałam, że nic się nie stało, ale było mi przykro. Jakby przyszedł pomieszkać do jakiegoś taniego hotelu. Odgrzałyśmy w mikrofali piętnaście kapuśniaczków i Anka zawołała Beebesia na obiad. Ponowna awantura wybuchła, gdy Bebeś zapytał, czy jest cytryna do herbaty.

Czmychnęłam do łazienki, w której siedzę do tej pory. Umyłam włosy, dwa razy zęby, posegregowałam rzeczy do prania. A z mieszkania nadal dobiegają krzyki. Przemykam do swojego pokoju. Bebesie zamknęły się w kuchni. W pośpiechu przebieram się, bazgrołę na kartce, że wrócę koło dwudziestej drugiej. Zostawiam ją na stole w dużym pokoju i wychodzę z mieszkania.

Będę wcześniej pod kinem. Nie mam siły tu siedzieć.

Rudy czeka przed wejściem. Na mój widok lekko potrząsa głową. Jak żrebak wujka Jaśka.

- Cześć. Jak Karolka?

- W porządku. A Tobiasz?



- Też. Mamy jeszcze ponad dziesięć minut. Przejdziemy się?

- Tu obok jest sklep z porcelaną Rosenthala, może tam? - proponuję i w duchu skręca mnie, gdy pomyślę, jakie nudy czekają mnie dziś z rudzielcem.

Idziemy. Wchodzimy. Boże, jakie to wszystko piękne i jakie drogie. Najbardziej podoba mi się biała, wysoka filiżanka. Ale jak jej używać? Jak z niej pić? Jak myć, ze świadomością, że może rozbić się w każdej chwili?

- Matka miała podobny - rudzielec wskazuje na czajnik z ciemnym szlaczkiem.

- Miała?

- Rozbiłem kiedyś. Straszna była awantura... - krzywi się. No, ja myślę. I tak ma matkę - anioła, że go nie zabiła. - Potem dostałem szlaban na telewizję i kieszonkowe. Ale najgorsze było to, że nie dostałem na urodziny obiecaney gitary...

- Nie dało się skleić? - przerywam.

- Dało. Matka do dziś hoduje w nim zioła. Chyba... melisę albo miętę. Przez długie lata stało to u mnie na parapecie w pokoju. Co wynosiłem skorupę, matka przynosiła ją z powrotem.

- Dlaczego?

- Na pamiątkę - uśmiecha się. - Musimy wracać - dodaje, patrząc na zegarek.

- Żebyś pamiętał, że byłeś niezdara? - pytam, gdy jesteśmy już na ulicy.

- Żebym pamiętał, że nie wolno kłamać - odpowiada poważnie.

Nie rozumiem. Przystaję. Olaf też. Patrzy na mnie, lekko przekrzywiając głowę.

- Zrzuciłem czajnik i zwałem to na kota. Mieliśmy wtedy takiego wielkiego Dionizego. Przysięgałem na rany Chrystusa, że to Dionizy. Nawet spazmowałem, bo mi nie chcieli uwierzyć.

- Dionizy cię zdradził?

- Raczej jogo nieobecność. Od dwóch dni był u ciotki na wsi. Zapomniałem o tym - uśmiecha się lekko.

Rosenthal, Dionizy, a nie Mruczek. Inny świat.

- I już nie kłamiesz? - pytam.

- Paradoks kłamcy! Oczywiście, że nie! - śmieje się.

W holu natykam się na Iza. Obok dziewczyna w bojówkach, krótkiej kurtce, z gołym brzuchem, kolczykiem w pępku i w nosie. Białe włosy, ostry makijaż, papieros.

Iz mnie nie zauważa.

Czyli tak wygląda jego foczka.

W mieszkaniu cisza. Nie ma ani Anki, ani Bebesia. Pewnie się pogodzili i gdzieś poszli. Uff... Jak miło! Jak cicho. Siadam z Karolką w fotelu, który przesiąkł zapachem Bebesia. W poniedziałek kupię jakiś odświeżacz. I kadzidełka.

- Pamiętasz rudzielca? Kazał cię pozdrowić. Nawet jest miły.

Na stoliku podłużna niebieska koperta. Sięgam po nią. Pochyłe pismo Sylwki. Zawsze pisała najładniej w klasie. Zaproszenie. Białe - błękitne, ciemne litery i dwa złote gołąbki w otoczeniu chmary złotych serduszek. Trzeba wykombinować jakiś prezent.

Słyszę przekręcanie klucza w zamku.

- Tu jestem! - wołam, tak na wszelki wypadek, gdyby zachciało im się, na przykład, kochać w przedpokoju.

Wchodzi Anka. Od razu widać, że płakała.

- Co jest? Gdzie Bebeś?

- Odesłałam go do wszystkich diabłów - odpowiada cicho i rzuca się na jeden z foteli.

- Jak to?

- Zerwaliśmy ze sobą.

Anka, Bebeś, ich problemy, jego zapach... Po co mi to było?

- Dlaczego?

- Bo z niego jest niedorosły gówniarz. Niby starszy, a tak naprawdę młodszy. - Siąka nosem. - Cholera, jestem już nim zmęczona.

- To co będzie?

- Nie wiem - wzrusza ramionami. - Od dłuższego czasu już mnie wkurzał... A od wczoraj, to miałam szczerą ochotę go zamordować. Masz jakieś wódzitsu?

- Co?  
- Wódkę.  
- Tylko ajerkoniak - odpowiadam po chwili.  
- Chybabym się porzygała. Idę do sklepu, tego na rogu. -  
Ciężko podnosi się z fotela. - A ty gdzie byłaś?  
- W kinie.  
- Aha. Kupić coś?  
- Chyba nie. Anka? To teraz tak strasznie wygląda. Za parę dni się pogodzicie...  
- Na pewno nie. To już koniec. Zmarnowałam cztery lata na takiego dupka! Pogadamy, jak wrócę.

Wychodzi. Zamykam za nią drzwi. Nie pogadamy, bo ja nie potrafię rozmawiać na tak osobiste tematy. Nie wiem, co się mówi w takich sytuacjach. Nie wiem, bo nigdy nic podobnego nie przeżywałam, bo nie znam nikogo, kto miałby przeżycia podobne do przeżyć Anki i Bebesia i mogłabym je tu przywołać. Mogę jedynie posiłkować się wiedzą z książek albo filmów. A to wiedza psu na buty.

W kuchni totalny bałagan. Na podłodze rozbity zielony talerzyk i kubek w grochy. W zlewie puszki po piwie, w doniczce ze szczypiorkiem tkwi kilka petów. To nie moja kuchnia! Jak długo jeszcze będę się źle czuć we własnym mieszkaniu? Rozdrażniona przeganiem Karolkę ze zlewu i zamykam w łazience. W całym domu otwieram okna. Niech chociaż zniknie ten duszny zapach dezodorantu Anki. Zapalam ostatnie kadzidełko. Myję naczynia, do worka na śmieci wrzucam skorupy z podłogi. OK. Koniec wietrzenia, bo zamarznę. Teraz po Karolkę.

Wraca Anka. Z siatki wyjmuję butelkę czerwonego wina, oliwki i serek feta. Jutro jej przypomnę, że nie możemy tak szastać pieniędzmi.

- Zrobię sałatkę. Jednak nie kupiłam wody.  
- Widzę. To nie ma sensu.  
- Życie nie ma sensu - prycha. - Masz jakąś dużą miskę? Gdzieś widziałam resztę ogórka. Są pomidory.

Przypomina mi się ciotka Tosia. Gdy dowiedziała się, że wujek Marek umarł w szpitalu, zajęła się układaniem w szafach i sprzątaniami na podwórku. Nie chciała rozmawiać ani z mamą, ani z nikim. Tylko sprzątała.

Zamykam okna. Anka pracowicie obiera pomidory ze skórki. Obok butelka wina. Brakuje jednej czwartej. No, narzuciła sobie niezłe tempo.

- Miałyśmy rozmawiać - zaczynam banalnie i siadam przy stole.

- Wszystko już wiesz. - Przytyka butelkę do ust. - Cztery lata straciłam na tego dupka.

- Skoro z nim wytrzymałaś tak długo, to może nie jest z niego aż taki dupek.

- Jeszcze większy niż myślałam.

- Jesteś zdenerwowana, wszystko się poukłada... - Czuję, że gadam jak bohaterka jednego z tych ukochanych seriali jędzy.

- Już nie. Za dużo przykrych rzeczy sobie powiedzieliśmy.

- Wszystko można sobie wytłumaczyć. Na spokojnie. - W to przestałam już wierzyć na bank. - Przestań. To nie ma sensu - krzywię się, bo Anka już nie zajmuje się sałatką, tylko ciągnie wino jak smok.

- Nie mam siły na żadne sensy. Na żadne myślenia.

- To zwijamy się i chodźmy spać.

- Cholera, dlaczego ja mam tak przerabane w życiu? Dlaczego?

Patrzę na nią zdumiona. Co w takim razie mam powiedzieć sobie?! Awantura z chłopakiem to ma być to, co powoduje, że życie jest przerabane?

- Przesadzasz - mówię twardo i stukam palcami w blat stołu.

- Cholera! Nie!

- Tak!

- Izabel miał rację... - Obrzuca mnie wściekłym wzrokiem. - Miał rację.

- Proszę?

- Izabel miał rację - powtarza.

- Że co? Że mam ładne nogi? - pytam ostro.

- Że nie znasz normalnego życia. Jesteś taka córeczka mamusi z obiadkiem. Co? Nie rozumiesz? - Z rozmachem odstawia butelkę na stół. - Masz starych, którzy kupują ci mieszkanie, żebyś mogła uczyć się w Krakowie. Pewno dostajesz pensję na przeżycie. A jak cię odwiedzają, to mamusia przywozi świeże jajeczka, świeżą kiełbasę i owoce z własnego sadu? Mam rację, co? Co ty możesz wiedzieć o normalnym życiu? Nic! Nic!

Kolejna osoba, która mnie ocenia! Która lepiej ode mnie wie, jak wygląda moje życie! Nie mam obowiązku tego słuchać. Bez słowa wychodzę z kuchni. Anka zostaje z winem, swoim smutkiem i wściekłością.

W sypialni na szczęście nic się nie zmieniło. Mój zapach, mój pokój. Karolka leży w fotelu. Zamykam za sobą drzwi. Zdejmuję dzinsy i kładę się do łóżka. Karolka leży już obok, na poduszce. Nie idę do łazienki, nie mam ochoty na oglądanie Anki. Włączam walkmana, wkładam słuchawki w uszy. „Hair”. Mogę tego słuchać na okrągło.

Duże światło zgaszone, pali się tylko boczna lampka. Sypialnię w nowym mieszkaniu pomaluję na błękitno. I nikogo nie będę zapraszała... Niech się kitwaszą ze swoimi problemami. Raptem przypominam sobie, że chyba nie zamknęłam drzwi wejściowych na drugi zamek. Wyłączam CD i wychodzę z sypialni. Wszędzie jasno, ale nigdzie nie widzę Anki.

Zaglądam do toalety. Jest. Siedzi na podłodze, obok muszli. Zielona.

- Rzygałaś czy dopiero będziesz?

- Rzygałam - burczy.

- Myj się. I przebierz - zarządzam.

- Mhm.

Pomagam jej dojść do łazienki i stawiam na wprost umywalki.

- Zęby też. Słyszysz?

- Mhm.

Znikam w kuchni. Zaparzę herbatę. Teraz do łazienki. Anka

stoi jak stała. Zdejmuję z niej bluzę, nalewam wodę do umywalki.

- Myj się.

W pokoju rozdzwania się komórka Anki.

- Odbierz, co? - chrypi. - Jak stara, to śpię, a jak Bebe... - nie kończy, tylko biegnie do toalety. Znowu wymiotuje. Mam tylko nadzieję, że do muszli.

- Halo? - warczę. Kto dzwoni o tej porze? - Anka?

- Nie. Marcyśka. Kto mówi? - pytam, ale właściwie znam już odpowiedź.

- Iz.

- Aaa... Anka nie może w tej chwili rozmawiać... Kąpiel się. Przekazać coś?

- Chwila... Czemu odbierasz jej komorę? Gdzie jesteście? U niej?

- U mnie, a co?

- U ciebie? Mam nadzieję, że nie obudziłem mamusi. Cholera jasna! A to uparty dupek.

- Nie obudziłeś - cedzę przez zęby. - Coś przekazać?

- Mamusi ukłony, a Ance, że przygarnąłem Bebesia. - OK.

- Nara - rozłącza się. Zmaltretowana Anka staje obok mnie. - Kto?

- Iz. Że przygarnął Bebesia.

- Niech się wypcha.

Nie wiem, czy chodzi jej o Iza czy Bebesia. Wszystko jedno. Dotoczyła się już do tapczanu. Próbuje wbić się w T - shirt. Nie pomagam jej. To moja zemsta za te docinki. Z kuchni przynoszę herbatę.

- Jak się czujesz? - Stawiam kubek na stoliku.

- Do dupy - Włazi pod kołdrę. - I psychicznie, i fizycznie.

Zapalam boczne światło, gaszę duże.

- Jutro będzie lepiej. Wypij, a potem spróbuj zasnąć...

- Mhm. Dobrze, że ten głupek nie śpi w parku. Przecież by zamarzał... - mruczy niewyraźnie w poduszkę. - Głupek, dupek, palant.

Zmarznięta wracam do siebie. „Czy nie obudziłem mamusi?”

Nie, nie będę się denerwować. Kurczę, przecież nie zamknęłam drzwi!

Idę do przedpokoju. Anka już śpi. Zamykam drzwi, sprawdzam kuchenkę i domykam lodówkę. Do łóżka.

„Czy nie obudziłem mamusi!”

*13 marca, sobota*

10.25. No, nieźle dziś zasnęłam. Boli mnie gardło, głowa, mięśnie, kości. Wszystko... Musiałam się przeziębic.

W Mięsowej już dawno wstali, mama pewno zaczyna gotować obiad i piec ciasto na jutro. Albo babkę ucieraną, albo drożdżówkę. Zwlekam się do łazienki. Letni prysznic zmywa ze mnie resztki snu, ale nic nie pomaga na zwarzony humor. Przypomniała mi się moja ostatnia wizyta w domu.

- Mogę? - puka Anka.

- Nie!!!

Za drzwiami cisza. Może się obraziła? Wszystko mi jedno.

- Dzwonił Bebeś - mówi płaczliwie. - Chce się spotkać. Jadę teraz do dupka, jest gdzieś w chacie na drugim końcu miasta. Iz akurat pojechał, to spokojnie pogadamy. - OK.

- Marcyśka? Wszystko w porządku?

- Mhm.

- Może pogadajmy, co?

- Nie dziś. Idź już.

- Kanapki w lodówce. Trzymaj za mnie.

Słyszę, jak stuka drzwiami wejściowymi, jak przekręca zamek.

Z wilgotnymi włosami człapię do kuchni. Kawa, jogurt, szklanka mineralnej, dwa gripeksy. Nie mogę usiedzieć w jednym miejscu. Nosi mnie po mieszkaniu, w którym, co rusz natrafiam na nie swoje rzeczy. Wkurza mnie to. Błyskawicznie ubieram się i wychodzę. Coś sobie kupię. Dla zabicia czasu. I na pocieszenie. Ponoć to dobry sposób na polepszenie humoru.

Trafiam na likwidację jednego ze sklepów z młodzieżowymi ciuchami. Znowu ogarnia mnie zakupowe szaleństwo. Biorę rudy top, czarne bojówki i czarny sweter na zamek. Z ubraniami i ze spóźnioną świadomością, że za te pieniądze miałabym cały stos rzeczy z tandety albo z ciucholandu na rondzie, skwaszoną wracam do domu.



Jogurt i musli na obiad, kolejna kawa. I znowu gripeks.

Odrabiam lekcje, ale nie mogę się wcale nad nimi skupić. Miałam zrobić zaległe prasowanie, ale po prostu nie mam na to ani siły, ani ochoty. Myślę o ojcu, o jędzy. I Izie.

I o tym, że chętnie bym się komuś wyżałiła.

Już grubo po dwudziestej trzeciej, a Anka nie daje znaku życia. Dzwonić do niej? Nie. Ani nie jestem jej babką, ani matką. Coś się nieźle zagadała. Jestem padnięta. Kąpiel i spać. Bolać mnie kości i głowa. Może jeszcze poczytam.

Naraz ktoś puka.

Zgubiła klucze! Patrę przez judasza. Iz!

- Coś z Anką? - Z rozmachem otwieram drzwi.

- Nie. Mam sprawę. Mogę wejść?

- Wytrzymaj dokładnie buty.

Przesadnie długo wygłupia się na wycieraczce. Wyciera, ogląda, znowu wyciera. Nie odzywam się. Nie dam się sprowokować. W końcu wchodzi i od razu ładuje się do dużego pokoju. Siada w fotelu przy oknie. Ja w drugim. Z kuchni wybiega Karolka i wskakuje mi na kolana.

- No? - pytam mało zachęcającym tonem.

- Anka i Bebeś. Siedzą w mieszkaniu mojego kumpla, robią wielkie rachunki sumienia i... - przerywa.

- Co?

- Nie jestem tam potrzebny.

- A mnie co do tego?

- Nie jestem tam potrzebny - powtarza. - Muszą być sami. Więc przekimam u ciebie - wyjaśnia i wyciąga przed siebie długie nogi.

- Wybij sobie to z głowy - odpowiadam z bladym uśmiechem.

- A czemu? Mamusia by się zgorszyła? - Krzywi się pogardliwie.

- Właśnie. I babcia, i ciocia.

Podnoszę się z fotela. Karolka wskakuje na kolana Iza. On drapie ją po szyi, a na mnie popatruje z tym swoim durnym

uśmieżkiem.

- Adres mam od Bebesia, wczoraj się wygadał. Nie wiedzą, że tu jestem. To mój pomysł. Po prostu Anka i Bebeś muszą sobie coś wyjaśnić.

To akurat rozumiem. Ale przecież nie mam wywieszki przed mieszkaniem: *Wolne pokoje. Bezpłatnie. Dla znajomych i obcych.*

- To super, że tak potrafisz zrozumieć ważność chwili Anki i Bebesia, ale ja cię tu nie przenocuję.

- Dlaczego?

- Bo nie. I już!

Nie wiem, co mnie bardziej wkurza. Zuchwałość jego propozycji czy bezczelny uśmieszek.

Ciężka cisza przerywana mrużeniem Karolki.

- Boisz się, że będę się do ciebie dobierał? Więc nie będę. - Opuszczam głowę, żeby nie zobaczył moich rumieńców. - Bo jestem centralnie zmechacony. Przyjaciółce pomożesz, jej chłopakowi pomożesz...

Z powrotem zapadam w fotel. Też się czuję potwornie zmechacona. I tak naprawdę, jest mi już wszystko jedno, czy on tutaj zostanie, czy nie. Przecież to zdarzenie z gatunku tych, które tak naprawdę nic nie zmieniają w moim życiu.

- Idź do tej swojej foczki - wyrywa mi się naraz.

- Której? - pyta z zainteresowaniem.

- Tej z kolczykiem w nosie.

Patrzy na mnie drwiąco. Odwzajemniam się podobnym spojrzeniem.

- Gdzieś nas widziała?

- Gdzieś.

- Aha. Do tej foczki niestety nie mogę pójść. Tu zostaję. - Przygląda mi się badawczo.

- Co znowu? - pytam.

- Nieszczęśliwie dziś wyglądasz.

W odpowiedzi wstaję i podchodzę do komody. Niebieska poszwa i białe prześcieradło.

- Samoobsługa. - Rzucam w niego pościelę. - Śpisz tam. -

Wskazuję na tapczan. - Poduszki zapasowej nie mam. Ręcznik ci przygotuję. Kuchnię znajdziesz.

- Zadzwoń do Bebesia, że mają wolną chatę - mówi.

Idę do kuchni po jogurt, a potem do łazienki. Dyżurny szlafrok wisi na drzwiach.

Koleżanki, ich chłopaki, kumple chłopaków.

Jednego jestem pewna. Kumple chłopaków, przynajmniej na moment, przestali się durnowato uśmiechać.

*14 marca, niedziela*

Parę minut po drugiej, po wielokrotnych próbach liczenia baranów i próbach przekonywania samej siebie, że Iz już dawno chrapnie, a nie myśli o mnie, przemknęłam się do kuchni po tabletki Anki. Zażylam dwie i zasnęłam. Jak kamień.

Teraz owinięta szczelnie szlafrokiem wychodzę z sypialni.

Iz śpi - Na brzuchu, z rozrzuconymi rękami. Wygląda zupełnie inaczej niż Iz, którego znam. Bez durnowatego uśmieszku sprawia sympatyczne wrażenie.

Długo patrzę na niego.

Jest parę minut po dwunastej. W życiu tak długo nie spałam. Instaluję się w kuchni. Zamykam drzwi. Kotka już siedzi na swoim posterunku w zlewie. Trzeba sprawdzić, czy nie ma płetw albo łusek na ogonie. Robię kawę, z lodówki wydaję mleko, z szafki płatki. Kawa mi nie smakuje, mleko z płatkami też nie. Denerwują mnie mokre ślady Karolki na stole, nadal boli mnie głowa. No, nieźle dzień się zaczął.

Wylewam kawę do zlewu i na suszarce zauważam niebieski fajansowy talerzyk. Jędza lubiła go bardzo, ja też. Zanim zdążę zastanowić się nad tym, co robię, łapię talerzyk i rzucam nim o ścianę nad stołem. To przez jędzę! Gdyby żyła, wszystko byłoby po staremu!

Talerzyk tłucze się na drobne kawałki, Karolka ze strachu wyskakuje ze zlewu i strąca z blatu szafki dwie filiżanki i wysoką szklanę. Strzelają drzwi. W progu stoi rozczochrany i zarośnięty Iz.

- Nic nie mów - warczę.

Mijam go w biegu i wpadam do łazienki. Siadam na brzegu wanny.

- Marcyśka? - Puka w drzwi. - Hej?

- Daj mi spokój. Wszyscy dajcie mi święty spokój.

- Pogadamy.

Jasne. Jest pierwszą osobą, której mam ochotę się pozwie-

dzać. Wybucham śmiechem.

- Hej! Co się dzieje?

- Przegryzam sobie żyły, a mam łaskotki. - Wyłaź!

Siadam w kątku między wanną a umywalką.

- Otwórz - dobija się wytrwale. - Nie.

- Wyważę.

- Proszę bardzo - mówię uprzejmie.

I rzeczywiście ten cholerny Izobar wyważa moje drzwi niszcząc przy tym futrynę!

- Coś ty zrobił! - z wściekłości ledwo mogę wydobyć głos. - Coś ty zrobił!

- Pozwoliłaś - odpowiada spokojnie i jakby nic się nie stało, siada na brzegu wanny. - Testosteron! - dorzuca pogodnie.

- Wynoś się stąd w tej chwili! Ale to już! Won z mojego domu! Już cię tu nie ma! - krzyczę i rzucam się na niego z pięściami. Boże, jaka jestem zła! Jak chyba jeszcze nigdy w życiu!  
- Won! Won!

Iz łapie mnie za nadgarstki i unieruchamia mi ręce. Pomimo bólu, czuję iskry. Próbuję go kopnąć między nogi, ale on się uchyla.

- Cholera! Ty wariatko! - Won!

- Najpierw się uspokój! - Kilkakrotnie potrząsa mną jak workiem ziemniaków.

- Puść... I won!

- Uspokoilaś się?

- Nie!!! Nie chcę cię widzieć!

Znowu mną potrząsa, ale zdecydowanie delikatniej, a potem puszcza. Powoli ruszam do sypialni. Jestem potwornie zmęczona. Tak jakby uszła ze mnie cała energia. Iz idzie za mną, krok w krok.

- Od dawna masz żółte papiery? - pyta, gdy kokoszę się w łóżku.

- Jak to żółte?

- No, wariackie.

Nawet nie mam siły wzruszyć ramionami. Jestem rozbita na

tysiąc kawałeczków. Na pewno już mi się nie uda poskładać do kupy.

- Daj mi spokój - mruczę i nakrywam się kołdrą. Wszystko mnie boli... Chcę zostać sama. O niczym nie myśleć. Nie wstydzić się.

Materac się ugina. To Iz siada. Odsuwa kołdrę.

- Fokus na mnie - mówi twardo. Posłusznie otwieram oczy i wlepiam w niego wzrok. - Co teraz, wariatko?

- Nie wiem - burczę. Widzę jak przez mgłę, słyszę jak przez ścianę. Ja to nie ja. - Chcę spać. - OK.

- Idź sobie. - OK. Wychodzi z sypialni. W końcu zasypiam.

\* \* \*

Nie wiem, jak się tu znalazłam. Ponure blokowisko, z którego nie mogę się wydostać, korytarze ciągnące się bez końca, pełne starych mebli, wszędzie ludzie w szarych strojach, z ustami zszytymi czarnymi niciami. Coś bełkoczą, gestykują. Ich niepokój i strach zaczynają mi się udzielać. Boję się. Przychodzi Gwiazdor, ma fosforyzujące czerwone ślepia i zaszytą mordkę. Chce mi wydrapać oczy za to, że kiedyś go uderzyłam. Ludzie zaczynają biegać... pukam do drzwi, ale nikt mi nie otwiera... nie wiem, gdzie jest wyjście, narasta panika, coraz trudniej mi oddychać, szczypią oczy, piecze skóra. To przez dym, bo blok się pali. Jeśli nie znajdę wyjścia, to spalę się tu żywcem... znowu jakieś drzwi, pukam w nie, kopię. Otwiera stara kobieta. Ma w ręku wielką igłę nawleczoną czarną nitką. Krzyczę, krzyczę z całych sił...

- Marcyśka! Obudź się! Otwieram oczy.

Iz, błękitne ściany, mój pokój i ciągle tamten paniczny strach.

- Już dobrze, dobrze, to był tylko zły sen - uspokaja mnie. - Koniec beczenia... No, wariatko, jak tam? - Dotyka mojego czoła. - Masz chyba gorączkę.

Na pewno. Jest mi potwornie gorąco, kręci mi się w głowie.

- Długo spałam?

- Mhm. Co ci się śniło? - Patrzy na mnie uważnie. - Nic - mówię stanowczo.

- Jasne. Twarda sztuka z ciebie - dodaje po chwili. Dopiero teraz zauważam, że kurczowo trzymam go za lewą rękę. Zmieszana puszczam ją. - Gdzie masz lekarstwa? Tradycyjnie w łazience?

- Nie, w kuchni. W szafce koło zlewu. Zostaję sama. Odrzucam kołdrę. Piżama jest cała wilgotna. Wraca Iz. Podaje mi szklanekę wody i dwie tabletki.

- Masz. Próbuję wstać.

- Dokąd?

- Tam. - Pokazuję na duży pokój.

- Majaczysz?

- Po piżamę.

- Przyniosę. Podchodzi do komody. Otwiera górną szufladę.

- Fiu, fiu, jakie ty masz seksowne skarpetki - rechocze. - Nigdy bym nie przypuszczał.

Wściekła zwlekam się i podchodzę do niego. W rogu leży żółta piżama. Obok skarpetki w serduszka. I nagle robi mi się potwornie słabo. Gdzieś spadam... Czuję, jak Iz łapie mnie pod pachy, potem gdzieś niesie i kładzie.

Przytomnieję w swoim łóżku. Z zimnym kompresem na czole i nogami na zrolowanej kołdrze i poduszce.

- Już mi lepiej - mówię.

- Dzwonić na pogotowie?

- Nie, ja czasem mdleję.

- Spokojniej bym się wyspał na ławce w parku. - Podchodzi do mnie i zdejmuje mi kompres. - Ej, wariatka, planujesz jeszcze jakieś atrakcje? - Odstawia butelkę na stolik i siada w nogach łóżka. Przybiega Karolka i znika pod szafą.

- Nie.

Chce mi się pić, muszę się wykapać, przebrać. Boże, czemu to wszystko dzieje się właśnie przy Izie! Zalewa mnie fala wstydu.

- Zaczyna się kolejny atak szału? Co znowu? - pyta.

- Nic. Która godzina?

- Nie wiem, zostawiłem zegarek w łazience. - Ziewa. Siadam na łóżku z podkurczonymi nogami.

Scena jak z romansów pani Jadzi, które czytałam, będąc w szpitalu. Przystojny młody bohater, piękna bohaterka. Tyle że ten przystojny bohater ma wieczną drwinę w oczach, lekceważący i chłodny stosunek do dziewczyny, która jest cała spocona i w obecnej chwili odznacza się urodą raczej radiotą.

Ale iskrzenie czuję.

- Miałem zapytać wcześniej... - znowu ziewa. - Gdzie mamusia?

- Bebeś ci nie mówił?

- Jakoś zapomniał.

- Wyjechała do wód - odpowiadam z wściekłością. - A służbie na ten czas dała wychodne. Jakies pytania jeszcze?

- Skądże.

Raptem coś przychodzi mi do głowy.

- Co mówiłam?

Przekrzywia głowę, a na usta wpełza mu ten durnowaty uśmiezek.

- Dużo różnych rzeczy. Nigdy bym nie przypuszczał, że masz takie ciekawe życie... - Sztywnieję. - Żartowałem. Bredziłaś, ale bez ładu i składu. Nic nie pamiętam.

Z tonu jego głosu wiem, że kłamie.

- Co bredziłam?

- O jakiejś jędzy... Nie patrz tak na mnie! Naprawdę nic więcej! - podnosi głos.

- Idę do łazienki - mówię cicho.

- Nie zemdlejesz?

- Nie. Zostań tu, dobrze? No, bo tam drzwi się nie domykają - wyjaśniam, widząc jego zdziwioną minę.

- OK. Wezmę sobie tylko jeszcze jedno piwo.

Zabieram piżamę i znikam w łazience. Działa tylko klamka, zamek jest na pewno do wymiany. Dopiero wtedy wchodzę do wanny, gdy słyszę, że Iz strzela za sobą drzwiami do sypialni. Jednak jestem jeszcze słaba. Mycie i przebieranie męczą mnie. Nie mam siły na suszenie włosów, wycieram je ręcznikiem, przepłukuję usta.



Iz śpi na brzegu łóżka. Obok niego Karolka. Nakrywam go tą połówką kołdry, na której nie leży. Nawet nie poczuł. Z fotela zabieram koc i kładę się na tapczanie. Nie myśleć, nie myśleć.

*15 marca, poniedziałek*

Siedzimy w kuchni przy stole. Ja nad pierwszą kawą, Iz nad drugą. Spaliśmy do siódmej. Obudził nas telefon. Jakiś facet zaspanym głosem tłumaczył, że nie przyjedzie, bo nie znalazł odpowiedniej pompy. Obiecał być wieczorem. Zanim mu zdążyłam powiedzieć, że to pomyłka, dowiedziałam się jeszcze, jakie miał kłopoty z kupnem uszczelek. Czuję się lepiej, gorączka minęła. Tyle, że jestem spięta.

Iza bardziej interesuje Karolka starająca się wyjąć spod szafki papierek, który tam jej wpadł, niż ja. Nie ma sprawy. Dzisiaj zamieniliśmy ze sobą ze cztery zdania. Pierwsze dotyczyło porannego telefonu, drugie kwestii kawy - czy może być rozpuszczalna, trzecie - SMS - a od Anki, który przyszedł na moją komórkę, że u niej wszystko w porzo i odezwie się wieczorem, czwarte - że żadne z nas nie ma ochoty na śniadanie o tak wczesnej porze.

Sięgam do lodówki po jarzyny. Będzie surówka. Przyda mi się do tostów. To mój dzisiejszy obiad. Po południu angielski u Maciusia. Jutro do budy. Na pewno. Przede wszystkim szkoła, potem studia.

- Co robimy? - Iz drapie się po nieogolonej brodzie. - Ja obiad, a ty...

- Spadówa.

Właściwie to dlaczego nie. Trzeba jak najszybciej przerwać tę absurdalną sytuację. Jesteśmy kwita. On mnie niańczył, ja go przenocowałam. Aha, jeszcze mi zniszczył drzwi.

Iz spokojnie pije kawę.

- Co? - warczę. - Nic.

Zaczynam obierać marchewkę. Czuję na plecach jego spojrzenie. Nie wytrzymuję. Rzucani nóż do zlewu i podchodzę do Iza.

- O co ci chodzi? Powiedz.

- Wyluzuj, za dziesięć minut już mnie nie ma.

Wracam do jarzyn. Szukam tarki, gdy stukają drzwi od mieszkania.

Zostaję sama, w parszywym humorze.

A potem okazuje się, że zostawił w dużym pokoju swój discman. Choć wiem, że to idiotyczne, mam ochotę wyrzucić go przez okno.

\* \* \*

Z moich planów nici. Nie zrobiłam surówki, nawet nie popatrzyłam na zeszyty, odwołałam angielski. Byłam za to w naszym osiedlowym sklepie i przytaszczyłam kilka pustych kartonów. Zrobiłam dwie rundy. Dodatkowo kupiłam ogromne czarne worki na śmieci. Teraz ładuję do nich resztę rzeczy jędzy. Po ostatnim koszmarze nie mam ochoty na otaczanie się jej przedmiotami. Resztki pościeli, ścierek, ręczników. Tych jest mi chyba najbardziej szkoda.

Drobiazgi do kartonów. Na szczęście jędzka nie miała ich dużo. Nie to, co pani Kamykowa. Tam by chyba potrzebny był pociąg towarowy. Pakuję flakoniki, dzbanuszki, sztucce, talerze, kubeczki, szklanki, stare formy do ciast, grafiki, obrazy. Amebie? Też. Pozbędę się ich! Ale to w przyszłości. Została w nich zła energia. Jak mogłam tego wcześniej nie zauważyć?!

Wiem, że to pokrętna logika, ale pieniądze jędzy mi nie przeszkadzają. Tak samo jak lodówka, pralka, telewizor, mikrofalówka i żelazko. Ale do nowego mieszkania na pewno ich nie zabiorę.

Pustoszeją półki z bibelotami, szafki w kuchni.

Karolka drze pazurami jeden z worków. Wyraźnie podoba jej się ten bałagan.

Wszystkie kartony i worki przeciągam na korytarz. Prawdziwa graciarnia. Co z nimi zrobić? Wynieść do piwnicy. Ale wcześniej muszę odpocząć. Która godzina? Zerkam na ścianę, tuż nad telewizorem. No, tak. Zegar ozdobiony dębowymi liśćmi wylądował w kartonie. Zegarek mam w kuchni, ale nie chce mi się ruszać.

Brzęczy domofon. Niechętnie sięgam po słuchawkę.

- Proszę?

- Wpuścisz mnie?

Wciskam guzik, a potem przesuwam worek, tarasujący drzwi.

Wchodzi Olaf.

- Wiem, że się nie wpada bez uprzedzenia, ale byłem w pobliżu...

- Nie ma sprawy. A na to nie patrz - kiwam ręką na prawo i lewo.

- Będzie malowanie?

- Coś w tym rodzaju - burczę.

- Trafiłaś na fachowca! Z doświadczeniem. Machnąłem kiedyś trzy pokoje. U ciotki w domu. Nawet nie było wielkich strat. Aha, a potem psią budę. Dach na bordowo, ściany na zielono.

Uśmiecham się pod nosem i prowadzę go do kuchni. Witają nas wybebeszone szafki i makaron - kolanka rozsypany na stole. Siadam i bawię się makaronem, a Olaf głaszcze Karolkę.

- Urosła. Widać, że jest stuprocentowo zadowolona z życia | - mówi.

- Przynajmniej ona - wyrywa mi się.

Z kolanek powstała morda z szeroko otwartymi ustami i kilka zębami.

- Ktoś konkretny? - wskazuje na makaronowego potwora. - Nie.

- To co? - Przekrzywia głowę. - Wybierzemy się gdzieś?

- Teraz? - pytam z przestachem.

- Możemy teraz, możemy kiedy indziej. Gdzie chcesz i kiedy chcesz.

Podchodzę do lodówki. Wyjmuję sok, z szafki dwa kubki i paczkę precelków. Stawiam to wszystko obok potwora.

- W weekend.

- OK. Zadzwoń i ustalimy szczegóły... - Patrzy na mnie z dziwnym uśmiechem.

- Co? - peszę się.

- Tu nie ma mowy o żadnym malowaniu. O co chodzi? Przeprowadzasz się?

- Nie - odpowiadam szybko.

- Generalne porządki? Widziałem, że jedne drzwi są do naprawy.

- Olaf, czy ty...

- Czy co ja? - pyta spokojnie.

- Zrobiłeś kiedyś coś takiego, czego teraz żałujesz? przejeżdża ręką po włosach. Patrzy na mnie badawczo.

- Tak. I nie wspominam tego mile.

Chyba się zagalopowałam. Cóż to on mógł takiego zrobić, że teraz żałuje? I czego to on może mile nie wspominać? Kupił superkomputer, a potem okazało się, że nie pasuje do antycznego biurka, bo za małe i trzeba było kupić nowe? Albo zrezygnował z wczasów na Karaibach, bo wolał pojechać z kumplami w polskie góry i tam obtarł sobie pięty?

- Na początku liceum miałem dziewczynę, poznałem jej kumpli, zainwestowałem w przyjaźń z nimi. Zamieniłem prawdziwego przyjaciela na kumpli dziewczyny.

- A jak ona miała na imię? - przerywam mu.

- Zuza - uśmiecha się lekko. - Wiele osób mówiło mi, że głupio robię, ale ich nie słuchałem. Przyjaciela odstawiłem na bocznicy. A potem moja dziewczyna z moimi kumplami okradli dom moich rodziców.

- I co?

- Dostali po pół roku w zawiasach, a starzy nie odzyskali paru rodzinnych pamiątek, co wypominają mi przy każdej okazji.

- Przykro mi...

- Mnie jeszcze bardziej - mówi poważnie. - Dobra, koniec tematu.

- A ten przyjaciel? Ten z bocznicy?

- Wyjechał na stałe do Kanady. Siedzi na jakimś lodowcu i uczy jeździć początkujących narciarzy. Teraz ty...

Kręcę przecząco głową.

- Może kiedyś... Teraz przygotowuję parę kanapek - proponuję.

- Nie trzeba. Idę. Już późno...

Nie poradzę sobie sama z tym wszystkim, bo jestem już zmęczona. Podejmuję decyzję. Wykorzystam rudzielca.

- Pomożesz mi?

- Pewnie. Mów.

- Trzeba to wszystko zanieść do piwnicy. Rzuca kurtkę na krzesło i podchodzi do kartonów.

- Weź klucz od piwnicy i zastanów się, czy jednak nie chcesz pogadać.

On jest wyraźnie zmartwiony! Z mojego powodu. Gdyby się tak głębiej zastanowić, wcale tego nie potrzebuję, ale to miłe.

- Potem jednak zrobię coś do jedzenia. - Uśmiecham się.

Całą wieczność trwa przenoszenie rupieci do piwnicy. Rozwala się dno jednego kartonu i na schodach lądują dzbanki i filiżanki - te, które tak podobały się Ance. Olaf nadal nosi, ja sprzątam skorupy. Przez chwilę towarzyszy mi pan Spalony - sąsiad z parteru. Zamiast chrapać snem sprawiedliwego, stoi w progu swojego mieszkania i zabawia mnie rozmową o zdrowotnych właściwościach kiwi i o tym, jak strasznie jest windowana ich cena w pobliskim sklepie.

Rzeczy zajmują przeszło połowę piwnicy.

- Koniec - mówi Olaf i wyciera dłonie o swoje dzinsy. Koniec? I co? Będą tutaj stały i stały? To nie ma sensu.

Chwytam jeden z kartonów.

- Marcyśka! Teraz z powrotem na górę?

- Nie. Do śmietnika.

- Rozmowa jest konieczna - mówi stanowczo. Podchodzi do mnie i zabiera karton, który przyciskam do brzucha. - Rozmowa, nie mój monolog, słyszysz?

- Mhm - odwracam głowę.

- Co to za przedmioty?

- Moje.

- Taką mam nadzieję. - Wybuchają krótkim śmiechem. - Chodziło mi o to, co w nich jest takiego, że chcesz się ich pozbyć...

Tam jest kilka pięknych rzeczy.

- Wiem. Porcelanowa tancerka w błękitnej spódnicy, filiżanki, fajansowe spodeczki, dwie grafiki i szklana kula z czerwonym kwiatem. Tylko tej żałuję. Zawsze najbardziej podobała mi się z tych wszystkich drobiazgów jędzy.

- Więc czemu? - pyta spokojnie.

Podnoszę głowę.

- Należały do osoby, z którą się nie lubiliśmy - mówię twardo. - Ujmując delikatnie. Mają złą energię.

Otwiera karton. Wyciąga z niego starą książkę w oliwkowej skórzanej oprawie, ze złożonym brzegiem.

- I dlatego to ma wylądować na śmietniku? *Pisma* Krasieńskiego. .. - przerzuca kartki. - Z 1875 roku?

- Więc co mam zrobić? Co?! - wybucham. - Nie chcę tego w domu! I w piwnicy też nie.

- Daj mi to wszystko - proponuje szybko. - Co się da, to wywożę dla biednych, a resztę zaproponuję kumplowi, który ma taki mały sklep ze starociami. Weźmie wszystko hurtem. Będiesz mieć z tego trochę kasy. Co ty na to? - Uśmiecham się. - Rozumiem, że to oznacza zgodę.

- A meble? Czy ten kumpel wzięłby je?

- Myślę, że tak. Zapytam... Najpierw wezmę worki, jutro przyjadę po kartony. Co? O czym myślisz?

- Te pieniądze od twojego kumpla powinnam chyba oddać biednym. Skoro chcę być konsekwentna...

- Bądź realistką - mówi twardo. - Rozumiesz? Wszystko ma swoje granice. Teraz bierz ten worek, nie jest ciężki... i na parking.

Gdy siadamy ponownie w kuchni, mija już północ. Jestem wykończona. Nawet nie mam siły udawać dobrej gospodyni.

- Dzwonię jutro. Kładź się od razu spać. - Mhm.

- Śpij dobrze.

Dobrze, to znaczy bez koszmarów. Mam nadzieję, że teraz mi się uda.

*16 marca, wtorek*

Anka pojawia się w budzie dopiero na przerwie, po polskim i biologii. Wygląda promiennie, tryska humorem.

- Heja, pamiętasz mnie jeszcze? - Siada obok mnie na parapecie. Z plecaka wyjmuję paczkę gum i częstuje mnie jedną.

Nie mam ochoty ani na gumę, ani na jej dobry nastrój.

- Jak przez mgłę - odburkuję.

- Musimy pogadać. Co teraz będzie? Fizyka? - Mhm.

- Zerwijmy się. Wrócimy na matkę.

- Do „Ogrodu”? - proponuję. Może dowiem się, co Iz o mnie po wygadywał.

- Może być - przeciąga się. - Na wielgachną kawę.

W knajpce rozpoznaję paru chłopaków z naszej szkoły. Zajmuję stolik, z blatem pomalowanym w czerwone róże. Obok, przy niezapominajkach, siedzi para. On ma dużo dłuższe od niej włosy, ona ma od niego więcej lat. Rozmawiają. Sprawiają wrażenie, jakby wokół nich nie było innych ludzi.

Anka poszła zamawiać kawę, widzę, że dosiadła się z nią do chłopaków. Macha do mnie, że to tylko na chwilę.

Wodzę palcem po różach i słucham rozmowy przy sąsiednim stoliku.

- Nie mam siły na tę twoją wrodzoną beztroskę. - Dziewczyna ma bardzo miły głos. Tyle że smutny. - I ta rozmowa też nie ma sensu. Nie po raz pierwszy o tym rozmawiamy...

- To był twój pomysł - odpowiada niefrasobliwie chłopak. Cisza. Obrysowuję teraz liście. Anka nadal tkwi nie przy naszym stoliku.

- I żałuję go - mówi dziewczyna.

- Wracamy? Mam dziś obciachowy dzień. - Prycha długowłosa.

- Za chwilę. Najpierw coś ci jednak powiem. - No?

Znowu cisza. Odwracam się w ich stronę.

- Skończmy to - mówi dziewczyna. - Co?



- Ten nasz popieprzony związek. Jestem nim zmęczona... -  
OK.

- Tylko tyle masz mi do powiedzenia? - wybucha.

- Mhm. Idziemy?

Dziewczyna przeklina, a potem z płaszczem w jednej ręce, a torebką w drugiej wypada z „Ogrodu”. Pobiegnie za nią? Będzie ją przeproszał? Chłopak pali papierosa. Spokojnie, bez żadnych nerwowych ruchów.

I to już? Był związek, dwie bliskie sobie osoby, wystarczyło parę zdań i koniec?

Długowłosa podnosi filiżankę do ust. Nad jej brzegiem puszcza do mnie oko. Udaję, że nie widzę. Anka skończyła pogaduchy i nareszcie idzie w moim kierunku.

- Sorry. O kurczę, kawa jakby lekko zimnawa.

- Nie ma sprawy. Co z Bebesiem? - pytam prosto z mostu, zanim zdąży jeszcze usiąść.

- W porzo.

- To znaczy, że się pogodziliście?

- Chyba tak. Cholera! Na pewno tak! Mieszka u takich kumpli z roku. Jeden współspacz im odpadł i przygarnęli Bebesia.

- To dobrze. Jedna para się rozstała, druga pogodziła. Równowaga w przyrodzie została jako taka zachowana. - Ej, nie słuchasz mnie. O czym myślisz?

Pochylam się w jej stronę i pokazuję gestem, żeby zrobiła to samo.

- Ten, tam za mną, nie ten, ten na prawo... Długowłosa...  
Przed chwilą rozstał się ze swoją dziewczyną - szepczę.

Zaciekawiona zerka nad moim ramieniem.

- Trudno jej się dziwić. Na kilometr pachnie dupkiem do Kwadratu - odpowiada. - Mogę już mówić?

- Mhm.

- Kłóciliśmy się i bebesiliśmy na przemian. - Jestem trochę zażenowana tymi wynurzeniami. - Ja w przerwach płakałam. Spędziłam najdziwniejsze dni i noce z Bebesiem. Sam na sam. Nawet nie wiesz, jak nam to było potrzebne.

- Pewnie, że nie wiem, bo i skąd - wzruszam ramionami.
- Tajemnicza i złośliwa.
- Przepraszam. Sam na sam? - Mieszam w filiżance.
- Mhm. Mamy dług wdzięczności w stosunku do Iza, który taktownie zmył się na ten czas... Dostanie za to parę piw.
- Skoro to było takie ważne, kup sześciopak - mówię ostro.
- Masz rację. Należy mu się. - Przytyka do ust filiżankę. - Eee, paskudna ta lura. Jak rano szłam do budy, jeszcze go nie było... Pewno przekimał u którejś ze swoich foczek.

Raczej u wariatki, która rano go przegoniła. Długowłosa wychodzi z kafejki. Na luzie, z uśmiechem. Z całego serca życzę, żeby spadła mu na łeb cegłówka.

- Musimy się zbierać. - Zerkam na zegarek.
  - Jeszcze chwilkę. - Odchyła się na krześle i przymyka oczy.
  - A ty co robiłaś przez ten czas?
  - Nic ciekawego - odpowiadam stanowczo.
  - Konkrety?
  - Zakupy i sprzątanie. Takie większe sprzątanie...
  - Przyjmiesz mnie jeszcze? - Składa ręce, jak do modlitwy.
  - Była umowa - wzdycham.
  - Po budzie do domu?
  - Mam jeszcze coś do załatwienia.
  - Ooo!! Randka? Wybucham śmiechem.
  - Muszę kupić prezent.
  - Poszłabym z tobą - przeciąga się - ale wolę pobyczyć się w pustym mieszkaniu.
  - Nie ma sprawy.
- Ja też wolę być sama.

\* \* \*

W domu byłam już po osiemnastej. Resztką sałatki z lodówki dla mnie i kawa, a potem do roboty. Najpierw napasałam Karolkę wątróbką, którą kupiłam w sklepie na osiedlu, potem umyłam podłogi, posprzątałam w łazience i w kuchni.

Teraz siedzę nad lekcjami. Ale zdecydowanie mniej myślę o

matmie czy chemii, a bardziej o plastikowych sztuccach, dwóch porcelitowych kubkach, paczce podpasek i butelce mineralnej, które dziś kupiłam. Przede wszystkim mam prezent dla Sylwki. Sześć różnej wielkości malowanych donic. I jedno drzewko bonsai. Do tej „orażerii”. Muszę jej to wysłać.

Niedługo powinien przyjść Olaf. Po pierwszą partię kartonów. Telefonował godzinę temu. Dzwoniła też Anka. Powiedzieć, że nie wie, kiedy będzie, bo są z Bebesiem w pubie.

Idę do kuchni. Na stole, w reklamówce leży jeden z kubeczków. Brązowo - rudy. Smukły. Drugi pękaty, niebieski. W pierwszym będę pić kawę, w drugim herbatę.

Domofon. Wciskam guzik. I otwieram drzwi wejściowe. Po chwili do mieszkania wpada nieogolony Iz.

- Co tu robisz? - Jestem zdenerwowana.

- Heja, wariatko, jak tam?

- W porządku - odpowiadam niemrawo.

Iz z niedowierzaniem rozgląda się po mieszkaniu.

- Miałaś nalot złodziei? Czy zmieniłaś gust i już nie jesteś za drobnomieszczańskim stylem?

- Zmieniłam gust. Teraz jestem za minimalistycznym wystrojem wewnątrz. Po co przyszedłeś?

- Spytać o twoje zdrowie - odpowiada bez zastanowienia. Może bym się i dała nabrać, gdyby nie ten drwiący uśmiezek. Odwzajemniam się podobnym.

- Jeszcze raz dzięki za wszystko, a teraz jestem zajęta i...

- Spadówa.

Kiwam głową i z półki zdejmuję discmana.

- Myślałem, że go gdzieś bezpowrotnie zadziałem! - Chowa go do kieszeni plecaka. Chyba chce coś powiedzieć. Wstrzykuję oddech. - Pozdrów mamusię - rechocze w końcu, a ja mam ochotę go uderzyć.

Nie wytrzymuję.

- Przestań wreszcie z tą mamusią! - krzyczę. - Mamusia, Mamusia, obiadki, mamusia! Myślisz, że i bez tych twoich tekstów mam mało problemów?

- Wielkie sorewicz. Temat mamusi uważam za wyczerpany. -  
Naraska.

Otwiera drzwi i wpada na Olafa stojącego na wycieraczce.

- Cześć - mówi swobodnie Olaf. - Przeszkadzam?

- Mnie nie. Już mnie nie ma. Nara...

Iz znika na schodach, a my wchodzimy do mieszkania.

- To znajomy. Daleki... - tłumaczę.

Durnowaty Iz z tym swoim durnowatym uśmieszkiem. Po co tu przylazł? Nie mam teraz siły na rudego.

- Wezmę dziś wszystkie kartony, obrócę kilka razy. A jutro pojedę z tym do kumpla - proponuje.

- Jak wolisz - odpowiadam niemrawo.

- Nie zmieniłaś zdania?

- Na pewno nie!

- I w tych wszystkich pudłach nie ma niczego, co chciałabyś sobie zostawić? Nic na pamiątkę?

Zastawiam się.

- Jest taka jedna rzecz - mówię powoli. - Szklana kula... Nie, zmieniam zdanie. Nic nie chcę. - Kręcę przecząco głową. - Przekaż wszystko temu kumplowi.

- Dobra, chciałem się tylko upewnić.

- Pójdę z tobą. - Biorę klucz z haczyka.

- A to co? Też brać? - Wskazuje na karton z doniczkami.

- To prezent. Koleżanka wychodzi za mąż.

- Kiedy jedziesz? Wzruszam ramionami.

- Nie jadę. Wysłałam pocztą.

- Daleko?

- Nie, koło Staszowa. Ale nie jadę.

- Mogę cię zawieźć. Żaden problem.

Przygryzam wargi. A gdyby tak pojechać tylko na chwilę? Wręczyć Sylwii prezent osobiście? Uśmiechnąć się do teściowej? Pokazać im wszystkim, że mam gdzieś to, co sobie o mnie myślą?

Ale z Olafem?

Rudym?

Ale przyjechałabym golfem. To na pewno zrobiłoby wrażenie.

- To takie zwykłe wiejskie wesele... Nic szczególnego - mówię.

- Nigdy nie byłem na zwykłym wiejskim weselu. To co? Jedziemy?

- Płacę za benzynę.

- Nie chrzań - mruga do mnie. - A do twojej wiadomości, to mam diesla.

W takim razie jutro kupuję sukienkę, którą dziś sobie upatrzyłam. I przymierzyłam.

Jutro? Która godzina? Butik zamykają za czterdzieści minut. Podejmuję decyzję.

- Olaf, podwieziesz mnie na Krakowską? To nie potrwa długo.

- OK.

Kupuję sukienkę. Ciemnogranatowa, półprzezroczysta, podszewka, rękawy trzy czwarte, asymetryczny dół. I cena taka, że musi mi ta kreacja wystarczyć do końca życia, a potem do trumny. Do tego mała torebka. I szaro - czarny szal. Z przeceny, bo ma oderwane prawie dwadzieścia centymetrów brzegu. Pewno będę go obszywać pół dnia. Rezygnuję z fryzjera. Kupiłam dwie saszetki szamponu koloryzującego. Kolor oberżyna.

Koniec wydawania pieniędzy. Dziś nieźle poszalałam.

- Udane zakupy? - śmieje się Olaf. Pijemy herbatę z nowych kubków, jemy skromne kanapki. W samochodzie załadowana jest już druga część kartonów i worków.

- Jasne - też się śmieję. - Jeszcze herbaty?

- Muszę się zbierać, mam coś jeszcze do zrobienia. Czemu masz taką minę?

- A nic, nic... Tak sobie coś pomyślałam... Już ja pokażę w Mięsowej, jak wygląda dziewczyna z Krakowa!

\* \* \*

Parę minut po dwudziestej przychodzi Anka. Wesola jak

skowronek, objuczona plecakiem, ogromnym pluszowym miśkiem w kolorze żółtym i bukietem czerwono - fioletowych frezji. - Chyba jest lekko wstawiona.

- Bebeś mi to dał. - Całuje pluszaka w ucho. - Słodki jest, Prawda?

- Prawda - przytakuję, choć nie wiem, czy ma na myśli Bebesia, czy miśka. - Wszystko w porządku?

- Pewnie. - Chwiejnym krokiem wchodzi do dużego pokoju. - Kurczę! Co tu się stało? - kręci się w kółko. - Okradli cię?

- Nie.

- A drzwi do łazienki?

- Do naprawy. Teraz tak tu będzie.

- Ale czemu? - Oczy ma jak talerzyki. - Było super!

- Będzie tak - powtarzam z uporem.

- Ale jest do dupy! Nic nie ma! Nic! - krzyczy.

- Poczekaj, aż meble też wyjadą. I dywany - mówię z krzywym uśmiechem.

Anka patrzy na mnie jak na wariatkę. Siada na podłodze, opierając się plecami o tapczan. Obok niej misiek.

- Całkiem ci odbiło, tak?

- Nie chcę o tym rozmawiać... I tak nie zrozumiesz. Z wściekłością uderza stopami w podłogę.

- Że ci szajba odbija? Że zachowujesz się paranoicznie? Co ci przeszkadzały te rzeczy?! No, co?! Może mi jednak wyjaśnisz!

- Nie.

- Bo nie skumam? Tak? - Jest agresywna. - Cholera! Na jakiej podstawie tak oceniasz ludzi? Bo się czujesz lepsza od innych?

Ja lepsza? Ona jest naprawdę pijana!

- Tak naprawdę, to tobie jest dokładnie wszystko jedno, z jakiego powodu pozbywam się tych rzeczy - mówię powoli. - Czy mam taką zachciankę, czy należały do dalekiego wujka, który mnie w dzieciństwie molestował.

- A molestował cię?

- Nie.

- Więc przestań pieprzyć! - wrzeszczy.

- To są moje sprawy! - też wrzeszczę.

- Co chwilę powtarzasz: „To moje sprawy, nie chcę o tym rozmawiać, nie zrozumiesz, to moje sprawy”. Nie wiedziałam, że z ciebie taka megalomanka! - Podnosi się i idzie do kuchni - słyszę, jak strzela szafkami. - Talerze i kubki też ci przeszkadzały?

- Jak widać.

Wraca z kubkiem kefiru. Siada obok miśka.

- Porobię chwilę za domowego psychoanalityka, akurat jestem w stanie takiego upojenia alkoholowego, że pewne sprawy widzę z wyjątkową jasnością. Jak tam twoje kontakty międzyludzkie? Co? Chyba do dupy, nie?

- A bo co?

- Bo ci mogę powiedzieć, czemu...

- Nie trzeba - wzruszam ramionami.

Anka odstawia na podłogę kubek z takim impetem, aż się trochę z niego wylewa.

- Ja mam problem tylko ze swoją starą, a ty z całym światem... - kiwa głową. - Prawie dwa lata cię obserwuję, zawsze jesteś od wszystkich daleko... A jak tam stosunki, niekoniecznie fizyczne, z płcią przeciwną? Też do dupy, prawda?

To jakiś obłąd. Zrywam się i pędzę do sypialni. Z rozmachem trzaskam drzwiami. Czemu słuchałam tych bzdur? Anka miota się po dużym pokoju i łazience. Mruczy, przeklina. Niech już idzie spać, nie mam ochoty jej ani widzieć, ani słuchać.

Raptem otwiera drzwi od sypialni. Głośno.

- Nic z siebie nikomu nie dajesz. Współczuję twoim bliskim i twojemu ewentualnemu chłopakowi. Taka z ciebie... zimna królowna. A teraz się obraż.

Zanim zdążę jej wykrzyknąć, że ma się nie wtrącać w nie swoje sprawy, obładowana wychodzi z mieszkania. Zostaję sama. Szkoda, że tak późno.

*18 marca, czwartek*

Wolę zostać rozstrzelana przez Sigmę, niż spotkać Ankę szatni, więc w budzie jestem parę minut po ósmej. A szatnia, jak nigdy dotąd, pełna ludzi! Gofa z nieodłączną komórką w rękę, Maciek, Kaspian, Marcin i Szymek z równoległej. Papierosy. Dobry humor. I niestety Anka. Udajemy, że się nie widzimy.

- Wchodzę w to - wzrusza ramionami Gofa. - Taki koncert za tak małe pieniądze to okazja.

- Dla kogo małe, dla tego małe - krzywi się Maciek.

- Dobra, chcecie te bilety czy nie? Mam trochę roboty - wścieka się Szymek.

Wchodzi Debeściak. Otoczony dusznym zapachem wody kolońskiej i bogatych starych.

- Interesiki? - mruga do Szymka.

- Gównno, nie interesiki. Mam bilety na *Massive Attack*, a u nich brak kasy.

- Gdzie ten koncert? W Kongresowej? - pyta Debeściak i robi do wszystkich miny w stylu „spoko, spoko. Zaraz tym się zajmę”.

- Spodek - burczy Szymek. - Ale nie dla tych zasranych biedaków. Tylko czas zmarnowałem.

- Cholera, Szymek! Wpadasz ot tak i chcesz, żeby każdy ci wyłożył od razu stówę na bilet? - wścieka się Anka. - Jutro ci przyniosę.

- Złotko, do wieczora je sprzedam.

- Ilu tu chętnych? - pyta Debeściak. Podnosi się osiem rąk.

- Nikt więcej? Jeszcze dwie.

W sumie zgłosili się wszyscy. Jeśli nie liczyć Szymka, mnie i Debeściaka. Ten wyjmując z kieszeni dzinsów portfel, z niego kartę.

- Chciałem sobie kupić nowe spodnie, jakąś kurtkę. Na wiosnę. A kupię dziesięć biletów - mówi pyszałkowato. - Dla moich przyjaciół. - Macha Szymkowi przed nosem kartą. - Święty Mikołaj do was przyszedł! - woła z głupim uśmiechem.



- Debeściak jest *the best* - mówi Maciek z przekonaniem w głosie.

- Nie może być inaczej - przytakuje Kaspian.

- Dobrze się z tobą robi interesy. To co, teraz do bankomatu?

- Szymek aż zaciera ręce z radości.

- Mhm.

- Jestem tu za moment, coś jeszcze muszę załatwić. - Szymek wychodzi z szatni.

Debeściak jaśniej, ludzie go wychwalają. Ci sami, którzy śmieją się z niego za jego plecami i nazywają go bogatym gównem. Obrzydliwość.

- Dla ciebie też jest bilet - mówi Debeściak do mnie. Zanim zdążę coś wymyślić, Anka głośno pryca.

- Zostaw królową. Ona ma inne sprawy na głowie. I inną hierarchię wartości. Lepszą.

Pulsuje mi w skroniach, serce wali jak oszalałe.

- Daj spokój - odzywa się pojednawczo Maciek.

- Wiem, co mówię - Anka ma ostry głos. - Nie dorastamy królowi do pięt.

- A co to za pięty z Mięsowej - rzuca ktoś półgłosem. - Małorolne.

Zduszony śmiech, który odczuwam jak policzek. Oni nigdy mnie nie lubili! Byłam, bo byłam, ale równie dobrze mogłoby mnie nie być. Jestem poza ludźmi z klasy. Ale tym razem nie jest to mój wybór.

\* \* \*

Nienawidzę jej bardziej niż kogokolwiek na świecie!

Nawet bardziej niż ojca!

Zemszczę się, ale na razie nie wiem, jak. Na razie ją obserwuję. Jak udaje, że słucha na lekcjach, jak wygłupia się na przerwach albo rozmawia przez telefon. Pewno z Bebesiem... I na historii doznaję olśnienia. Już wiem, co zrobić, żeby jej Uprzykrzyć życie. Jestem emocjonalnie niedojrzała? Zimna królowa? Proszę bardzo. To do czegoś zobowiązuje. Zimna

królewna z niedojrzałością emocjonalną tworzy mieszankę wybuchową.

Nie mogę doczekać się końca lekcji. Jak na skrzydłach biegnę do domu. Gdzieś w notesie mam numer do jej domu. Jest. Knapik Anka. Powoli wybieram cyfry i wyobrażam sobie starą Anki dostającą szału na informację, że córka jest w ciąży, i potem zatruwającą jej życie. Minuta po minucie. Pytaniami, gdzie była, kiedy wróci, awanturami, podejrzeniami...

To kłamstwo to moja zemsta.

Między usta a telefon kładę chusteczkę.

- Halo! Halo!

- Dzień dobry... - głos lekko mi drży.

- Halo! Proszę mówić głośniej!

Przełykam ślinę. Za moment zrealizuję swój plan.

- Dzień dobry - powtarzam i zbieram się w sobie.

- Tak. Słucham?

- Czy pani wie, czy pani wie, że pani córka... że ona jest w...

- W czym jest? I kto w ogóle mówi? W czym jest?

Rozłączam się.

Boże! Co ja chciałam zrobić!

*19 marca, piątek*

Względny spokój, jeśli nie liczyć mojego zniecierpliwienia faktem, że Iz nie dzwoni wcale, za to Olaf codziennie, udawania Anki, że nie istnieję, wizyty fachowca, który naprawił drzwi, i telefonu wuja z Jędrzejowa, że „zamiaruje obalić testament”. Wyśmiałam go. To był jedyny humorystyczny akcent tych dni.

Dziś chcę zaglądnąć do paru komisów meblowych - meble jędzy okropnie mi przeszkadzają.

Na razie siedzę na biologii. Genetyka. Geny dominujące i recesywne, mutacje, aberracje. Ja jestem taką aberracją - Takim mutantem. I w zeszycie rysuję siebie w kilku wersjach - z sześcioma rękami, z dwiema głowami, bez głowy, ze skrzydłami - *Marcjannus vulgaris nieudanus* podpisuję.

Dzwonek.

Łapię plecak i pędzę w stronę szatni. Ktoś chwyta mnie za ramię. Anka. Znowu wykład taniej psychologii?

- Czego? - warczę.

- Musimy porozmawiać - odzywa się ponuro.

Ten telefon! Wie, że to ja! Momentalnie zasycha mi w gardle. Nic mi nie udowodni.

- Nie - mówię stanowczo i powtarzam sobie w myślach, że mam się do niczego nie przyznawać.

- Cholera! Tak.

- Spieszę się.

- Tylko chwila. Ale nie tutaj.

W milczeniu idziemy do szatni i w milczeniu wychodzimy ze szkoły. Siadamy w parku na pierwszej napotkanej ławce. Już pachnie wiosną.

- Naprawdę się spieszę - powtarzam. Może jednak nie wie, że to ja?

- Pamiętam. OK. Zaczynam... - bierze głęboki wdech. - Przepraszam.

- Za co? - Jestem szczerze zdumiona. To jednak nie wykład, a

przede wszystkim nie awantura?

- Za to, co powiedziałam w szatni, za to, że wsadzałam nos tam, gdzie nie powinnam. - Nie patrzy na mnie, tylko w chmury. Ciemne, kłębiaste. Pewnie będzie padać. - OK. Masz rację, twoje życie, twoje sprawy. Zachowuję się jak moja stara... Co mnie obchodzi, co robisz ze swoimi rzeczami? Przyjęłaś Bebesia.

- Przestań! - Robi mi się głupio.

- Obrzygałam ci mieszkanie - mówi w natchnieniu, jakby mnie wcale nie słyszała. - A potem ci sadzę kazania. Sorry.

- Nie ma sprawy - odpowiadam po chwili. Bo rzeczywiście nie ma. Było, minęło. Teraz realizuję swój plan. Czyli szkoła, potem studia. To dla mnie najważniejsze.

Anka przestaje gapić się w chmury.

- Serio?

- Serio.

- Kurczę, nawet nie wiesz, jak mi ulżyło! - wzdycha. Mnie też, gdy okazało się, że to nie chodzi o ten nieszczęsny telefon Siada wygodniej i wyciąga nogi. - Słuchaj, a koncert? Załatwię bilet od Debeściaka, pojedziesz?

- Nie - kręcę przecząco głową.

- Czemu?

Bo małorolne nie chadzają na koncerty do Spodka. Ale tego jej nie powiem.

- Mam inne plany - mówię spokojnie.

- Zachowałam się wtedy jak świnia, wiem. - Ma wyraźnie potrzebę mieszania się z błotem. - Jedziesz? Będzie super.

- Nie - powtarzam zdecydowanie. - I skończmy ten temat.

- Co u ciebie? - pyta po chwili niezręcznej ciszy. - OK.

- No, jasne, jakżebym mogła spodziewać się innej odpowiedzi - parska. - A Karolka?

- Zaczyna drapać meble.

- A propos! Sprzedałaś je już, co? - mówi uprzejmym tonem.

- Właśnie idę do komisju - odpowiadam podobnie.

- Kurczę, to ja z tobą! - Podrywa się. - Może sobie coś wypatrzę i kupię.

- A co by cię interesowało szczególnie?

- Armata, car puszka. Wszystko jedno. Na moją starą - ' odpowiada bez zastanowienia. - Ale takich rzeczy chyba nie ma w meblarskich...

Uśmiecham się. Ale tylko kącikami ust. W sumie jest mi smutno.

Jedziemy na Kazimierz. Owszem, meble wezmą, ale muszę je sama dostarczyć. A wcześniej opłacić kogoś, kto przyjedzie do mnie na wycenę. Inaczej sobie to wyobrażałam. Ja podaję adres, oni przyjeżdżają, zabierają graty, płacą i w ten sam dzień ruszam do IKE - i. Zbieram adresy, numery telefonów i obiecuję, że się odezwę. Anka wytrwale myszkuje po półkach z drobiazgami. Już nie szuka armaty. Teraz potrzebny jest jej kufel do piwa. Dla Bebesia.

Koło siedemnastej docieramy na Rynek. Anka zarządza obiad i ustawia się w kolejce do kebabów.

- Dwa... - zwraca się do śniadego chłopaka. Nachyliłam się w jej stronę, by powiedzieć, że dla mnie wegetariański, ale zanim zdążę otworzyć usta, mówi: - Wegetariański i mięsny... podobny do Izobara, nie? - szepcze w moim kierunku.

- Czy ja wiem? - wzruszam ramionami. Nie, Iz nie jest taki chudy, ma inny kolor oczu. Nie, w ogóle jest inny.

- Sos ostry czy łagodny? - pyta chłopak.

- Średni. Żeby nam nie wypaliło podniebienia...

- Potem pójdziemy na kawę do „Daktyla” - proponuję, nie spuszczać wzroku z chłopaka. Iz na pewno tak miło się nie uśmiecha.

- Jednak podobny do tego cholernego Izostara - szepcze. - A ty wiesz, że jemu ostatnio całkiem odbiło? Dzięki - mruga do chłopaka. Siadamy przy stoliku pobliskiej pizzerii.

- Zrobił się miły? Goli się?

- Ostatnio jest nie do wytrzymania. Podejrzewamy z Bebesiem, że się ściał ze swoją foczką.

- Pytanie tylko, z którą - mruczę.

Anka chichocze, a potem zaczyna kłać, gdy połowa sałatki

upaprana sosem łąduje jej na kolanach.

- Koniec imprezy! - Wściekła wyciera spodnie serwetkami. - Czas do domu.

Idziemy na przystanek. Po drodze kupuję pieczywo, jogurty i żarcie dla Karolki.

- A co u ciebie? - pytam.

- OK. - Wzrusza ramionami. - Starej jeszcze nie zabiłam. Ale to już niedługo. Cholera! Wiesz, co? - Klepie się w czoło. - Zapomniałam jeszcze o jednym dzięki.

- Jakim znowu? - nie rozumiem.

- Że mogłam pomieszkać trochę u ciebie. Dobrze mi to zrobiło. Coś jedzie...

Mój tramwaj. Ruszam w jego kierunku. Tłok jest wielki, Anka dzielnie wpycha mnie do środka.

- Hej! - Macham do niej już ze schodków. Pod pachą mam wielką kartonową teczkę jakiejś dziewczyny, w plecach fragment wózka z płaczącym dzieckiem.

- Pozdrów Karolkę.

I wtedy moje usta mówią:

- Jak masz ochotę, to bierz rzeczy i przyjeżdżaj. Nie odmieszkałaś jeszcze tych swoich dni.

Z cichym sykiem zamykają się drzwi. Przez brudną szybę widzę twarz Anki. Zdumienie w oczach, usta rozciągnięte w szerokim uśmiechu. Miało być zgodnie z planem! Zero impulsów. Ależ jestem wściekła na samą siebie!

\* \* \*

Jak mogłam strzelić taką głupotę? Nie odmieszkałaś jeszcze swoich dni... Nie odmieszkałaś jeszcze swoich dni! Co to ja? Siostra miłosierdzia?

Nie tak się sama z sobą umawiałam!!!

Boże, jaka ze mnie idiotka! Musi być jakaś kara, dzisiaj zero jedzenia, może to mnie nauczy rozumu, bo widać, że zaczynam być wrogiem samej siebie.

W domu denerwuje mnie wszystko. Wesoła Karolka, skrzy-

piąca podłoga na korytarzu, odpadający tynk w dużym pokoju, dźwięki fortepianu dobiegające z mieszkania pani Kamykowej. Wypijam dwie szklanki wody i zamykam się w łazience. Muszę nałożyć sobie farbę na włosy.

Słabo mi to idzie, brudzę ręcznik, połowę szyi i kawałek czoła. Gdy włosy wysychają, sterczę przed lustrem i wmawiam sobie, że jest mi do twarzy w tym kolorze spranego swetra. Może oczy wydają się bardziej zielone niż szare, ale za to cera wygląda jak u nieboszczyka. Mam ochotę rozszarpać panią Kamykową, wycinającą teraz skoczne polki, oraz Karolkę, która przed chwilą rozrzuciła cały żwirek z kuwety.

Parę minut po dziewiętnastej zjawia się Anka. Z torbą, znajomym mi już żółtym miśkiem i plecakiem. Jakby tego wszystkiego było mało, trzyma bukiet żółtych frezji.

- Coś ty zrobiła z włosami? - woła od progu. - Bardzo źle?

- Bardzo super. Przedtem byłaś lekko wyblakła... Kurczę, nie to chciałam powiedzieć.

- Już nic nie mów - burczę, ale humor jakby lekko mi się poprawił. - Jadę jutro na wesele - wyjaśniam.

- A ja?

- A ty sobie zaprosisz tu Bebesia. Wieczorem wracam. Po co tu taszczyłaś tego pluszaka? - pytam.

- Bo to specjalny gościu - odpowiada ze śmiechem. - Dla ciebie - wręcza mi kwiaty.

- Zgłupiałaś?

- Bebeś ci kazał dać. Karolka, znowu utylaś? - woła na widok kotki, która z obrażoną miną wędruje do kuchni.

- Nie odzywaj się do niej. Ma karę.

- Ooo! Drzwi naprawione. - Mhm.

Biorę kwiaty, Anka zostawia bambetle i z miśkiem wchodzi do kuchni. No tak, nie ma wazonu. Nalewam wodę do rudego kubka i ustawiam w nim frezje. Za długie. Nieładnie to wygląda. Skracam łodyżki. A potem nastawiam czajnik. Herbatę mogę pić. Gorzką.

- Ładne frezje, co? - cieszy się Anka. - Od Bebesia dla ciebie

- przypomina.

- Od kiedy tak się z nim zgadzasz? - nie mogę odmówić sobie odrobiny złośliwości.

- Odkąd się zaręczyliśmy - chichocze i tuli miśka do siebie. - To zamiast pierścionka...

Zamieram z pudełkiem herbaty w rękę. - Co?

- Zaręczyliśmy się - pociąga nosem. Jak nic, będzie płakać.

- Tak... tak na poważnie?

- Pewnie, a jak można inaczej! - buczy z chusteczką przy oczach.

Powinnam chyba jej pogratulować. Zamiast tego pytam:

- Powiesz mamie?

Wybucha zjadliwym śmiechem. Oczy ma nadal wilgotne.

- Oszalałaś? Na pewno nie. Ja jej nawet nie powiem, jak będę za mąż wychodziła. Przecież ona by mi życie zatrula - przeciąga się. - Już teraz co rano wypomina mi, że się nie uczę, że nie jestem dobrą córką, że ją zawodzę na całej linii. A ona przecież tak się męczyła przy moim porodzie - dodaje zgryźliwie.

„Że nie jestem dobrą córką”.

Skądś to znam... Ale myślałam, że takie rzeczy to tylko ja wiecznie słyszę... coś nas łączy... Może nie jest jednak tak, że tylko ja jestem biedna, nieszczęśliwa, a wszyscy inni mają lekkie życie bez problemów, z rodzicami, którzy są w nich wpatrzeni, jak w obrazek...

- Ej, ty mnie w ogóle słuchasz? - wścieka się. Władowała miśka na stół. Zajmuje ponad połowę jego powierzchni.

- Słucham, słucham i myślę. Wtedy, gdy tu byłaś ostatnio, już byłaś zaręczona, co?

- Mhm. Robisz tę herbatę, czy nie?

- Robię.

„Zaręczyliśmy się”. Próbuję wyobrazić sobie Ankę i Bebesia jako małżeństwo. Niefrasobliwi, na luzie, z obowiązkowym piwem w lodówce. Bebeś do pracy, Anka do pracy. Potem jako rodziców, i tu padam na całej linii.

A ja?



- Totalna pustka, totalna - mruczy, zaglądając do lodówki.

- Znowu mnie nie słuchasz... Chyba się już zagotowała. O co chodzi?

- Próbuję wyobrazić sobie siebie jako żonę i matkę - odpowiadam powoli.

- I co? - Bierze czajnik i nalewa wodę do kubków. - Trójka dzieci czy czwórka? Bebeś chce trójkę. Powiedziałam, że owszem, ale pod warunkiem, że on bierze na siebie urodzenie dwójki. Co ja się od starej nasłuchałam, jaki to miała ciężki poród! Mam traumę. No, ile bachorów planujesz?

- Planuję?

Anka ryczy ze śmiechu. Nawet ślepy by zauważył, że jest szczęśliwa.

- Kolejny temat, na który nie chcesz rozmawiać? - Wesolutko szturcha mnie w plecy.

- Bo jest bez sensu.

Siadamy przy stole. Anka podrywa się i wraca z torebką kruchych ciastek.

- Jedz! - Podsuwa je w moją stronę. - Kupiłam w takiej małej cukierce na Starowiślniej. Mają tam superlody. Pójdziemy kiedyś. Oblejemy moje zaręczyny.

- Dziękuję. Na razie nie mam ochoty. - Jeszcze nie jestem głodna, więc mówię to szczerze. - A kiedy się pobierzecie?

Prycha, a potem bierze kilka herbatników.

- Może wcale? - Wzrusza ramionami i znowu sięga do torebki. Później będzie jęczeć, że jest gruba, i pić pod rząd dwie czerwone herbaty.

- Jak to?

- Skoro się kochamy, to papier nie jest potrzebny. - Znowu ruch ramion w górę i w dół.

- Tak na kartę rowerową? - Jestem autentycznie zgorszona. Anka wybucha śmiechem na widok mojej miny. Nic na to nie poradzę, że tak uważam.

- Wrzucam inny temat - chichocze. - Czy coś się zmieniło w twoim życiu, oprócz tego, że masz coraz bardziej puste miesz-

kanie? A jakieś zmiany w twoich sprawach sercowych?

- Nic. - Kręcę przecząco głową.

- Nic? Nic? - powtarza jak papuga.

- Nie mam żadnych spraw sercowych.

- Znajdę ci chłopaka! - woła radośnie. - Co? Bebeś ma tylu kumpli. Mów, jaki ma być. Blondyn czy szatyn?

Niech będzie, mogę poudawać, że mam świetny humor.

- Bardzo bogaty i bardzo stary - odpowiadam z powagą w głosie. Sięgam po herbatę. Jest już chłodna, nie przepadam za taką, ale nie zaparzę sobie nowej. Porządek musi być.

- A tak na poważnie? Jakiego chciałabyś chłopaka?

- Żadnego - odpowiadam ostro.

Anka bez słowa wznosi ręce i potrząsa głową. Robi przy tym straszne miny.

- Nie pieprz - mówi miękko.

- To prawda!

- Jesteś lesbą? - Nie...

- Więc nie pieprz. Musisz kogoś mieć.

- Wcale nie.

- Bebeś to kawał dupka, ale bez niego byłoby mi bardzo ciężko, rozumiesz? - patrzy na mnie uważnie.

- Chyba tak.

- To teraz opowiadaj o swoim ideale.

Siadam wygodniej i opieram się plecami o ścianę.

- Wszystko mi jedno, jak będzie wyglądał... - mówię naraz wbrew sobie. - Ale musi być opiekuńczy. Żebym czuła się przy nim bezpiecznie... I żeby było w nim odrobinę szaleństwa.

Boże, co ja wygaduję! Takie androny! Spokojny, ale szalony? Biały, ale czarny? Suchy, ale mokry?

- I bogaty - burczy Anka z pełnymi ustami. Wstawia pusty talerzyk do zlewu. - Więc Bebeś ma paru kumpli, którzy może by i spełnili te pierwsze warunki - mówi z namysłem - ale na pewno żaden z nich kasą nie śmierdzi. To ja dzwonię do Bebesia, urządzimy ci randkę w ciemno.

- Oj, co ty! Żartowałam.

- Marcyśka, nie dziwacz! - Grozi mi palcem.  
- Dobrze mi samej.  
- Jasne, ale na razie.  
- Bierzemy się za lekcje? - zdecydowanie mam ochotę już zmienić temat.  
- Przecież jutro wolne - wybucha śmiechem.  
- Wiem. Ale ja jadę... Nie wiem, kiedy wrócę.  
- Racja, przecież jutro robisz za gościa weselnego. Przywieź mi trochę ciasta, Ty, Marcyśka, jak to jest z tobą?  
- Co znowu?  
- Uczysz się tyle, co ja, albo niewiele więcej, i masz dobre oceny. Ja mogę sobie tylko o nich pomarzyć.  
- Zdolna jestem - uśmiecham się.  
- To rób te lekcje, tylko dokładnie. Potem spiszę od ciebie. Teraz jeszcze zadzwonię do swojego dupka...  
- Narzeczonego - poprawiam.  
- Na - rze - czo - ne - go - sylabizuje. Już ma mokre oczy i czerwony nos.

Idę do sypialni.

Nie mogę skoncentrować się na ciągach. Myślę o tej głupiej rozmowie, o tym, że jestem głodna, bo woda i herbata nie oszukają jednak żołądka. Opiekuńczy? Zdecydowanie tak. Jaki jeszcze? Mógłby być śniady. I żeby zabiegał o mnie i nie zrażał się moimi złymi humorami...

Ale idiotyzmy!

To na pewno z głodu!

*20 marca, sobota*

Może jednak nie jechać, po co mi spojrzenia, złośliwe uwagi wymieniane szeptem za moimi plecami... Pojechać i pokazać, że realizuję twardo swój plan, że żadna cudza teściowa nie będzie ingerowała w moje sprawy... na weselu na pewno nie spotkam ani matki, ani ojca, mogą być najwyżej w kościele, dlatego postanawiam opuścić mszę, niech się potem dowiedzą, jak to ich najstarsza córka wyglądała super, niczym modelka, że przyjechała zagranicznym samochodem z przystojnym kawalerem, może narzeczonym.

Za niecałą godzinę będzie Olaf, ja nadal tkwię w piżamie przy kuchennym stole i łamię paluszki leżące w drewnianej miseczce. Stukają drzwi od toalety, a po chwili Anka staje w drzwiach kuchni. Ma na sobie rozciągniętą bluzę sięgającą do kolan. Obok niej Karolka. Nadal obrażona. Nie spała dziś ze mną.

- Hej. Co się dzieje? - Anka ziewa od ucha do ucha.

- Nic. Możesz wracać na tapczan - burczę i odgarniam włosy za uszy.

Umyłam je dziś rano nowym szamponem, potem wtarłam w nie nowy balsam (wszystko z promocji - dwa w cenie jednego!) i efekt jest taki, że żyją teraz własnym życiem, co mnie doprowadza do szału.

Anka siada naprzeciwko. Przysuwa do siebie miskę z miazgą paluszkową i zaczyna chrupać, co większe kawałki.

- Myślałam, że jedziesz o dziesiątej, tak? - znowu ziewa. - Mhm.

- Cholera, przecież nie zdążysz na dworzec.

- Ktoś ma po mnie przyjechać - wyjaśniam nieco opryskliwie.

W jednej chwili przestaje być zaspana. Ożywiona uderza ręką w stół, aż podskakuje miseczka. Karolka też podskakuje na blacie obok zlewu.

- No, no, teraz to już wszystko rozumiem. - Robi zabawny

ryjek i kilkakrotnie cmoka.

- Niby, co?

- Włosy, ta sukienka w twoim pokoju. To żaden kuzyn, ciotka czy wujek. Tajemniczy wielbiciel... Kto to? Znam go?

- Daj mi spokój.

- Oj, nie bądź taka, powiedz coś.

- Nie ma o czym.

Anka odchyła się na krzesło, a na jej twarzy pojawia się diaboliczny uśmiech.

- Co? - mruczę.

- Nie chcesz mówić, twoja sprawa. Zaraz go sama zobaczę. Nie krzyw się, tylko leć się przebierać. Nie musisz się spieszyć, jakby przyszedł wcześniej, to się nim zajmę. Spoko, żadnej gleby nie narobię. Co robisz takie miny?

- Właściwie nie wiem, czy powinnam jechać - mówię powoli.

- Marcyśka! Teraz się nad tym zastanawiasz? - patrzy na mnie z niedowierzaniem.

- Nie mów do mnie „Marcyśka”! - wściekam się bezsensownie.

- Czemu? - jest autentycznie zdumiona.

- Bo nie cierpię tego imienia! - wybucham. - Nienawidzę.

- Mogę mówić „Pamela”, jak wolisz. OK. Koniec tematu. Ty, jak ci tam... Kupiłaś prezent, sukienkę, tajemniczy wielbiciel już jedzie, a ty się zastanawiasz?

- Waśnie. - Wstaję i zaczynam chować naczynia z suszarki do szafek. - Od przeszło tygodnia.

- Oczywiście nie przyszło ci do głowy pogadać o tym - krzywi się. - Zostaw te cholerne gary i zacznij mówić po ludzku! A wcześniej postaw wodę na kawę.

Z bordową miską w ręku siadam przy stole.

- Bo... - trudno to ująć w słowa. - Bo to nie taka łatwa sprawa.

- Postaram się zrozumieć... - uśmiecha się szeroko. - Empatia, kobieca intuicja oraz inteligencja emocjonalna to inne moje imiona.

- Na tym weselu będzie dużo ludzi... - zacinam się.  
- To raczej pewne. Koniec żartów. Jakie to osoby?  
- Takie, które wolałyby mnie tam nie widzieć - teraz się nie zacinam, tylko mówię zdecydowanie.

Już nie uśmiecha się.

- Ale będzie tam też ktoś, kto ucieszy się na twój widok, tak?  
- Tak.

- Kto?

- Sylwka, no... panna młoda... Kiedyś się przyjaźniłyśmy.

- To już znasz odpowiedź.

\* \* \*

Raz po raz zerkam w lustro, Olaf na mnie, Anka na Olafa. Siedzimy w kuchni. Anka, już w dżinsach i bluzie, ale nadal rozczochrana, zrobiła mu kawę. Doniczki zapakowane, drzewko też.

Oni zachowują się swobodnie, ja nadal kruszę paluszki. Z oberżyną, pomalowanymi paznokciami (pomysł i wykonanie Anki) i w obcisłej sukience, do której nie pasował żaden biustonosz, czuję się idiotycznie. Dobrze, że mam szal.

- Może już pojedziemy? - proponuję, a potem z wieszaka w przedpokoju przynoszę polarową bluzę.

- Zgłupiałaś? - śmieje się Anka. - Do takiej sukienki? Bierz ten czarny sweter. Chyba, że masz jakieś boa. Ewentualnie etolę...

Olaf parska w kawę, a ja znikam w sypialni. Słyszę, jak Anka mówi coś do Olafa, a on odpowiada jej cichym śmiechem. Jakoś ze mną nie jest taki zabawowy.

- O co chodzi? - pytam z kwaśną miną, wychodząc z pokoju. Próbuję domknąć torebkę, do której dodatkowo zapakowałam jeszcze chusteczki higieniczne i parę rajstop. Postanawiam wziąć jeszcze płaszcz.

- Jesteśmy umówieni do pubu - odpowiada Olaf. - Wy?

- I ty, i Bebeś. Teraz zastanówcie się, czy macie wszystko, i w drogę. - Anka popycha nas w kierunku drzwi. - Powoli i bez szaleństw - spogląda surowo na Olafa. - Ograniczenia szybkości,

znaki drogowe, rowerzyści, bezpańskie psy. Pamiętaj o tym!

- Rozkaz - staje przed nią na baczność. - A pasy zapniemy.

- To miłej zabawy. Marcyśka, słyszysz? Miłej zabawy.

- Słyszę - odpowiadam niechętnie. - Nie mam kwiatów! Nie mam! Zapomniałam!

- Kupimy. Naprawdę musimy już się zbierać. Hej - uśmiecha się do Anki.

A ja jestem zazdrosna o ten uśmiech.

\* \* \*

Dwie godziny niekrępującego milczenia, niegłośnej muzyki, krótkich uwag na różne tematy i jednostajnych widoków przez okno.

Spojrzenia Olafa, które kilkakrotnie czuję na sobie, zdenerwowanie, które staram się ukryć.

I wreszcie postój na parkingu w lesie. Lasy sosnowe bez żadnych krzaków czy chaszczy. Moje ulubione. Stąd do Mięsowej jest ze trzydzieści kilometrów.

Siedzimy na drewnianej ławeczce. Na stole upstrzonym napisami stoją dwa soki i paluszki. To Olaf zadbał o prowiant. Soki wieloowocowe, a napisy w większości obsceniczne. Wystawiam twarz do słońca. Na niebie ani jednej chmurki. Udała się Sylwii pogoda. Teraz pewnie wszyscy są w kościele. Proboszcz odprawia mszę, wszędzie kwiaty, każdy wystrojony.

- Dawno nie byłem w lesie - mówi leniwie Olaf i przeciąga się.

- Mhm. Ja też.

- Marcyśka, co się dzieje? - Nic.

- Czym się denerwujesz?

- Tym weselem - odpowiadam szybko i odgarniam włosy za ucho.

- A konkretniej?

Otwieram oczy i pochylam głowę. Kilka niedopałków, garść pestek słonecznika, czarne sandałki, czarne wielkie półbuty, moja granatowa sukienka, płaszcz, jego ciemny garnitur, szara koszula i

krawat o ton ciemniejszy. Moja oberżyna, jego kasztan. Moje wystraszone myśli i jego myśli, o których nic nie wiem.

Ja w ogóle niewiele wiem o rudzielcu!

- Olaf, a co ty właściwie robisz?

- Teraz to nie mogę oderwać wzroku od ciebie - mówi. - Jaki to kolor? Bordowy? - głos ma niepewny.

Bordo na głowie, a purpura na policzkach.

- Oberżyna - mówię niewyraźnie.

- Proszę?

- No, bordowy.

- Jest super.

- Nie żartuj.

- Nie żartuję.

Ponad popisanym stołem uśmiecha się do mnie. I wtedy pęka bańka mojego zdenerwowania.

- No, to co robisz? - Sięgam po sok.

- Studiuję - odpowiada ze wzrokiem utkwionym w mojej oberżynie.

- Wiem, ale co? - Jego spojrzenie cieszy mnie i jednocześnie peszy.

- Fizykę. A teraz powiedz, czemu się denerwujesz... Jednak nie zapomniał.

- No... weselem. Jak wyglądam, no... wiesz...

- Może jestem idiotą, ale nie aż takim - odpowiada spokojnie.

Coś powiedzieć muszę.

- Słyszałeś o konflikcie pokoleń? No to właśnie on istnieje w mojej rodzinie. Poprzykaliśmy się ostatnio. - Mam nadzieję, że brzmi to prawdopodobnie. - I już. To wszystko.

Milczy.

A potem odgarnia mi włosy za ucho i mówi cicho:

- Będzie dobrze, poradzisz sobie.

Błogosławię balsam, po którym moje włosy są takie nieposłuszne.

\* \* \*



Wręczyłam prezenty, złożyłam życzenia. Sylwia się cieszyła, teściowa udawała, że mnie nie widzi. Pies z nią tańcował.

Krepa Sylwia i chudy Zenek promienieli. Aż przyjemnie było na nich patrzeć. Mój niedoszły druhna wyglądał, jakby połknął kij. Za to druhna! W błękitnej sukience, błękitnym kapeluszu i z błękitnymi powiekami. Denerwująca. Cały czas się cienko śmiała. Sala na piętrze w remizie była pełna gości. Wielu znałam, ale z nikim właściwie nie rozmawiałam. Tylko uśmiechy i takie zdawkowe pytania, bez czekania na odpowiedź: dzień dobry, co u ciebie, dawno cię tu nie było, nie? Ktoś półgłosem powiedział; „to ta Mączkówna, ta, co rodzinie pieniądze ukradła”. Udawałam, że nie słyszę.

Po obiedzie Olaf zaproponował spacer. W pierwszej chwili spanikowałam. Nie miałam ochoty na żadne wędrowanie wzdłuż ulicy i ewentualne natknięcie się na kogoś z rodziny. Na szczęście przypomniałam sobie o ścieżce za remizą. Doprowadziła nas do brzozowego lasu sąsiadującego z polami mięsowego bogacza - Franka Kopca. Później wróciliśmy do remizy.

Olaf chłonał całym sobą barwną egzotykę tego miejsca. Grał zespół muzyczny, pod sufitem chwiały się pęki złotych balonów, wódka lała się strumieniami. Wjechały nowe półmiski ciast. Rozpoznałam sernik pani Róży, ciotki Sylwii. Olafowi najbardziej smakowały kruche ciasteczka. Przetańczyliśmy razem trzy kawałki, z tego dwa przytuleni, bo akurat leciała „pościelowa”.

Potem zrobiło mi się duszno i wyszliśmy przed remizę. Nie padało, ale na niebie pojawiły się ciemne chmury. Ochłodziło się i wiało. Dół sukienki tańczył na wietrze. Olaf poszedł do samochodu po mój płaszcz. Siedziałam na ławeczce, otulona swetrem, i przypatrywałam się zabudowaniom na prawo ode mnie. Za domem Wańtuchów ozdobionym wzorkiem z tłuczonych luster był sklep Tomysiaków, potem przystanek, chałupa Jaśkowej i mój dom.

Nawet mi przez myśl nie przeszło, żeby tam zajrzeć.

Mama, ojciec, Angelika, Patryk... niby bliscy, a wcale na myśl o nich nie robiło mi się ciepło na sercu.

Zaczełam szukać wzrokiem Olafa.

Stał przy samochodzie z komórką przy uchu. Machnął do mnie płaszczem, ja odmachnęłam i ruszyłam w jego stronę.

I nagle wyrósł przede mną ojciec.

Podpity.

Nieogolony.

Kierował się w stronę domu, z kieszeni spodni wystawała mu butelka taniego wina. Najpierw mnie nie poznał, a gdy poznał, to soczyście splunął mi pod nogi. Ktoś wybuchnął śmiechem, ktoś zaklął. Ruszyłam pędem przed siebie. Przewróciłam się, podbiegł do mnie Olaf, ja wychlipałam, że chcę stąd jechać, on mnie doprowadził do samochodu i z piskiem opon ruszył.

Znowu siedzę na parkingowej ławeczce w lesie. Już nie jestem supermodelką. Mam czerwoną, zapuchniętą od płaczu twarz, dziurawe rajstopy i poszarpany dół sukienki.

Nie chce mi się żyć.

Po co ja tu przyjechałam? Niby pokazać wszystkim, że jestem od nich lepsza? Ze im zagram na nosie? Ale ze mnie totalna kretynka!

To kara za moją pychę i próżność.

Olaf klęczy naprzeciwko. Podaje mi chusteczki, odgarnia włosy z twarzy. Nic nie mówi.

Nie mam siły płakać. Nie mam siły myśleć, ani nic tłumaczyć. Najchętniej bym tak siedziała i siedziała... Sama.

- Która godzina? - pytam idiotycznie.

Niebieszczęje tarcza Olafowego zegarka.

- 19.10. Jedziemy?

- Jeszcze nie.

- Marcyśka... - mówi cicho.

- No? - pytam ostro, może nawet za ostro.

- Nie chcę, żebyś mi tłumaczyła, co się dzieje, ale... - Ale co?

- Pamiętaj, że możesz na mnie liczyć. Buch! Jak obuchem w głowę.

Uśmiecham się krzywo. I wybucham paskudnym śmiechem.

- Liczyć? - powtarzam. I krztuszę się ze śmiechu. - Liczyć na

ciebie?

- Tak - podaje mi kolejną chusteczkę. Jestem bardziej wściekła na niego niż na ojca. Jak mógł powiedzieć coś takiego!

- Cholera, zrobiłem coś nie tak? - denerwuje się.

- Daj mi spokój.

- Marcyśka! - mówi ostro.

- Chcę już wracać.

- Marcyśka!

- Chcę wracać - powtarzam i idę w kierunku samochodu.

Olaf jeden!

*27 marca, sobota*

Mijają kolejne dni naszego wspólnego pomieszkiwania.

Przed Anką udaję, że nie denerwują mnie jej pytania, co u rudego, i wysłuchiwanie: „Olaf jest super, pasujecie do siebie, ma seksowny tyłek, gdyby nie było Bebesia, to by się nim zainteresowała na poważnie”. Słucham tego z kamienną twarzą, mówię, że między nami wszystko OK, tylko Olaf ma teraz jakieś tam swoje sprawy.

Przed sobą udaję, że wcale nie żałuję, że tak nawrzeszczałam na niego, a potem w samochodzie nie odezwałam się ani jednym słowem.

Szkoła, korki, Anki randki, kino, puby, ciucharnie, wieczorne odchudzające biegi, rozmowy o wszystkim i niczym, Anki pichcenie różnego typu sałatek.

Codziennie telefony od Olafa. Najpierw odmawiałam spotkań, bo niby horror w budzie, potem powiedziałam, że jadę do rodziny. A tam nie ma zasięgu, więc się odezwę po powrocie. Nic mi nie jest. On nawet nie udawał, że mi wierzy. Po jednej takiej rozmowie przyjechał do mnie, ale go nie wpuściłam do domu. Widziałam go przez okno.

Trzy grzeczne wizyty Bebesia, z tego jedna zakończona jego nocowaniem w pokoju Anki i moje spanie ze stoperami głęboko wciśniętymi w uszy.

Jedno krótkie mignięcie Iza na Rynku. Szedł z białowłosą dziewczyną. Z ręką na jej pośladkach.

Jeden wrzaskliwy monolog kuzyna z Nowej Soli przez telefon. Znajomy adwokat zapewnił go, iż testament wariatki da się obalić. I żebym zaczęła się już pakować.

Jeden dziwny sen. Byłam ja i ktoś - jakiś chłopak. Raz sądziłam, że to Iz, raz że Olaf. Ten chłopak spotykał się ze mną, a ja młodniałam, młodniałam. Aż stałam się niemowlakiem i jako pomarszczony niemowlak umarłam.

Dwa rysunki od Maciusia - zielona krowa i groźnie wyglą-

dający dziesięcioreki ufoludek.

Sześciuosobowy nowy komplet śniadaniowo - obiadowo - kawowy. Niebiesko - szary.

Dwa nowe koce.

Jedna nowa pościel z satyny. Kupiona z promocji. Czarna!

Tak jak ostatnio mój nastrój.

Jeszcze nigdy nie było mi tak czarno w sercu, duszy i głowie.

A tu od samego rana Anka namawia mnie, żebym wybrała się z nią i Bebesiem do paru pubów. Moje plany są inne, wieczorem chciałam pobyć trochę sama.

Koło szesnastej mam już dosyć kazań o tym, jak to Pan Bóg dał sobotę, aby ludzie mogli mieć niezły wypas. Postanawiam pójść z Anką na chwilę, a potem zmyć się do domu, wy. mawiając bólem głowy.

Na razie tkwię przed lustrem w przedpokoju i przymierzam nowe spodnie, które kupiłam sobie przedwczoraj. Jako towar uszkodzony, z powodu małej dziurki u dołu nogawki.

Anka obserwuje mnie z kuchni. Znowu poukładała w szafkach po swojemu, teraz przygotowuje sałatkę z kuskus.

- Wyglądasz w nich jak słonica w przeterminowanej ciąży - mówi bez ogródek.

- Daj mi spokój! - wściekam się.

- Powinnaś kupić sobie spódnice, ewentualnie spodnie, ale jakieś bardziej ludzkie.

- Daj mi spokój - powtarzam. - Sama sobie kupuj spódniczki.

- Kurczę! Nie mam warunków do spódnic. Ostatnią miałam na sobie w podstawówce.

Z szafy wyjmuję czarną rozpinaną bluzkę i czarny sweter.

- Kolory zawsze eleganckie - mruży.

- I odpowiednie do mojego nastroju - burczę.

Anka wyciera ręce w ściereczkę, którą ma przewieszoną przez ramię, i podchodzi do mnie.

- Jeśli myślisz, że spytam, co cię gryzie, albo coś podobnego, to jesteś w błędzie. Rozumiesz? Nie dam się sprowokować!

- podnosi głos. - Coś rzucisz, ja zapytam, a ty wtedy

zasuwasz to swoje „moja sprawa, nie chcę o tym rozmawiać”.

- O co ci chodzi?

- Ja ci mówię bardzo dużo, ty mnie nic... - Rzuca ścierkę do kuchni i znika w łazience. - Za godzinę wychodzimy, słyszysz?! - krzyczy.

- Ty wychodzisz! Ja jeszcze nie wiem.

- Ale ja wiem!

Zapadam się w fotel przed telewizorem. Trzeba się nasiedzieć, póki jest na czym. Meble wyjeżdżają w przyszłym tygodniu. I to nie do kumpla Olafa, który ruszył w Polskę i wróci dopiero za parę dni, tylko do komisju na Podgórzu. Wezmą, zapłacą i po sprawie.

Na ekranie teleturniej. Zaszuszy, łysy facet w obrzydliwym garniturze i niemodnych okularach zna odpowiedzi na wszystkie pytania. Na tle pozostałej szóstki graczy wygląda jak eksponat znaleziony w lamusie. Na kilometr pachnie geniuszem i samotnikiem. Takim, co to nie ma żony, nie miał dziewczyny, przyjaciół. Nigdzie nie chodzi, nie potrafi się bawić, cieszyć życiem, tylko czyta, czyta, czyta... Pochłania tysiące stron i zapomniał o samym sobie.

Wyłączam telewizor. Potem ruszam do sypialni po dezodorant.

I postanawiam do swojego planu życiowego dopisać jeszcze jeden punkt. „Nie zdziczyć”.

\* \* \*

Bebeś, dwóch jego kumpli, Anka i ja jesteśmy w pubie na Kazimierzu. Przed nami bar, z lewej wyjście, z prawej inne stoliki. Głośno, wesoło, tłoczno. Żeby rozmawiać, trzeba krzyczeć. Anka kupuje już trzecią paczkę słonych paluszków, którą Bebeś i jego kumple pochłaniają w tempie ekspresowym, rozmawiając o kompach, oprogramowaniu, myszach optycznych i podkładkach pod myszki za dwie stówy. Obaj w markowych ciuchach, pachnący dobrymi wodami toaletowymi. Jeden wielki i łysy, drugi drobny, taki jakby skurczony.

Ponieważ są dla mnie całkowicie nieprzyswajalni, zafundowałam sobie dwa zielone drinki. Mają dziwny smak, ale, co najważniejsze, tworzą w głowie mgiełkę, dzięki której nieprzyswajalni znajomi robią się bardziej przyswajalni.

- Wam to musiało nieźle nawalić do czachy! - Anka śmieje się z nich całkiem jawnie. - Podkładki za tyle kasy! Za dwie stówy!

- No... - odpowiada łysy. - A co?

- Ja mam za dychę i nie narzekam!

- Nie narzekasz, bo nie masz porównania - mówi łysy znad piwa. - Przymierzam się do nowego monitora. Kumpel mi odsprzeda za tysiąc osiemset. Dziewiętnastkę.

- Przeniesiemy się jeszcze gdzieś, co? - proponuje Bebeś i całuje Ankę w szyję, a potem zaczyna lizać jej ucho. Anka piszczy, mnie jest głupio.

- OK. - Ziewa skurczony. - Obok ziomek ma chatę, urządzimy mu melanż.

To już beze mnie. Wystarczająco na dziś się „oddziczyłam” i wynudziłam. Anka rusza zamówić sobie jagermajstra, a ja korzystam z okazji, podnoszę się z krzesła i mówię:

- Muszę iść. Nara.

Zachęcają mnie, żebym jednak została, ale bez specjalnego entuzjazmu. Widocznie ja też dla nich nie jestem ciekawa. Bebeś mi kiwa, ja odkiwuję i wychodzę na ulicę. Brr. Chłodno. Teraz w prawo, nie w lewo. Zafunduję sobie spacer. Cała śmierdę papierosowym dymem. W domu obowiązkowo do wanny, a ciuchy do prania.

Ładnie tu. Mijam całującą się parę, dwóch objętych czule chłopaków, bezdomnego z psem, grzebiącego w koszu na śmieci, i dziewczynę - przypomina mi foczkę Iza. Stoi przed wejściem do „Lamusa” z komórką przy uchu. Bezwiednie zwalniam. Dziewczyna jest smukła, ma długie nogi, białe włosy, których nie można zapomnieć. Dzwony, obcisły top, superkurтка.

Podglądam. Nieźle. Odwracam się na pięcie. I wtedy wpadam na kogoś.

Iz.

Uśmiecham się do niego.

Patrzy na mnie bez słowa, a potem obejmuje i wciąga do pobliskiej bramy. Całujemy się gwałtownie... Czy ta dziewczyna w na wpół rozpiętej bluzce to ja? Ja. Ale rozpekłam się na dwie Marcyśki. Ta rozpalona nie ma krwi, mięśni, tylko iskierki. Są ich tysiące... Druga, chłodna, obserwuje tę pierwszą. Jest oburzona jej zachowaniem. Tak przecież nie można! Jego dłonie błądzą po moich włosach, szyi, plecach. Są na brzuchu... Co ja robię? W głowie mi szumi, pulsuje, jest mi lekko, dobrze... Opieram się mocniej o ścianę. Z ulicy dobiegają głosy, śmiechy, słychać skądś przejeżdżający tramwaj. Cała płonę.

- Cholera! Patrz, co tam się wyrabia - rechocze ktoś naraz.

- Kręcą pornola - odpowiada ktoś bełkotliwie.

I nagle ta chłodna myśli, że pierwszy raz nie może być w bramie śmierdzącej sikami kotów. Nie! Nie! Odpycham Iza od siebie, on traci równowagę, a ja z pałającymi policzkami uciekam z bramy.

Już nie ma iskierek.

Półdziwka.

Półdziewica.

Ale w całości zła dziewczyna.

\* \* \*

Siedzę w wannie od przeszło godziny, polewam się na przemian wodą gorącą i zimną, szoruję gąbką. Głowę umyłam już dwa razy. Wszędzie czuję dłonie Iza, jego usta, zapach.

Ostatnie szorowanie, splukiwanie. Zawinięta w szlafrok pakuję bojówki, sweter, bluzkę, majtki i stanik do reklamówki, a potem upycham ją w koszu na śmieci. Gdyby się dało, zrobiłabym to samo ze skórą. A co z brudem, który mam wewnątrz siebie, w środku? Co wypić? Kreta do czyszczenia rur? Co z szumem myśli, które bardziej bolą niż uderzenia ojca?

Wyszło na to, że nie znam samej siebie, nie wiem, do czego jestem zdolna, nie mogę przewidzieć swojego zachowania...



Jednym słowem, straszna ze mnie idiotka.

A idiotek nienawidzę.

Trzeba je tępić.

Bezwzględnie.

Albo karać.

Nie pić przez tydzień?... nie jeść przez miesiąc?... bez sensu, to musi być coś, co zapamiętam na całe życie, coś, co mi będzie przypominało mnie ze śmierdzącej bramy. Już wiem.

Rozbijam w zlewie ostatnią szklanę. Szklane drobiazgi i na szczęście jeden większy kawałek. Wymarzony. W kształcie trójkąta. Delikatnie ujmuję go palcami prawej ręki.

Zagryzam wargi i szkłem przeciągam, w poprzek, po zewnętrznej części przedramienia. Ból, krew, robi mi się słabo.

Blizna zostanie do końca życia. I dobrze.

Należało się.

Zła dziewczyna została ukarana.

*28 marca, niedziela*

Włączyłam Radiostację na full. Żeby zagłuszyć myśli. Pewno słyhać ją w całej kamienicy. Mało mnie to obchodzi. Leżę na łóżku i liczę pęknięcia na suficie. Karolka wydziera się nie-  
miłosiernie, pewno znowu chce jeść, zaraz się nią zajmę, teraz nie mam na nic siły.

- Hej! Jestem. Tęskniłaś?

Anka. Nie słyszałam, kiedy weszła. Uśmiechnięta. Ostatnio widziałyśmy się w pubie. Potem zadzwoniła, że jacyś tam znajomi Bebesia niespodziewanie wyjeżdżają i mają wolną chatę. Odpowiadała mi jej nieobecność.

- Cześć.

- Jezu, jak głośno. Przyciszę.

- Lepiej wyłącz.

Cisza. Anka siada w nogach łóżka. Karolka wskakuje i nadstawia się jej do pieścizot. Ostatnio nie zajmuję się nią zbyt-  
nio.

- Próbowałam dodzwonić się do ciebie. Bezskutecznie. Stacjonarny zajęty, komórki nie odbierasz.

Olaf też dzwonił. Parę razy dziennie na wyświetlaczu pojawiło się: OLAF. Nagrał się, ale nie odsłuchałam wiadomości. Iz nie dzwonił.

- Musiałam trochę pomyśleć - odpowiadam niechętnie.

- Nie zapytam, o czym, bo i tak mi nie powiesz. - Ziewa. - Upojny czas z Bebesiem. Wiesz, że ten jego kumpel miał w chacie parę setek piratów?

- Jakich piratów? - pytam leniwie. Boże, mnie to w ogóle nie interesuje.

- No, kompaktów. Handluje nimi, z tego żyje. Wrócił rano z nową dostawą. Proponował mi nawet pracę. Ale Bebeś powiedział, że to nie dla mnie. Coś robiła? Oprócz myślenia?

- Nic.

- Zawsze tak mówisz. Co u Olafa z seksownym zadeczkciem?

- Zapracowany, zaharowany.

- Kurczę, nie ma to jak życie studenckie, co? - Uśmiecha się ironicznie. - Mamusia do mnie dzwoniła wczoraj. Ale nie, żeby tam pogadać! Nawrzeszczała, że przyszło zawiadomienie z biblioteki, bo przetrzymuję jakieś pieprzone książki. Rozumiesz? - Kręcę przecząco głową. - No, przynoszę wstyd naszemu nazwisku. Teraz rozumiesz?

- Już bardziej.

- Poczekaj, Marcyska, poczekaj, co masz na ręce pod bluzą? Co to za buła?

Ta buła to nieudany opatrunek mojej produkcji. Bandaż cały czas mi się zsuwał, więc okleiłam go taśmą przezroczystą.

- Przewróciłam się i rozciąłam się szklanką. - Podwijam rękaw.

- Cholera! Byłaś z tym na pogotowiu? - Nie.

- Ty jesteś stuknięta! Sama się leczysz? Do dentysty też nie chodzisz, bo sama sobie wyrywasz zęby?

Ojciec potrafił sam sobie wyrwać trzonowca. Najpierw trzy kieliszki wódki, potem kombinerki w rękę, mocne szarpnięcie, znowu kilka kieliszków. I pławienie się w chwale bohatera.

- Do dentysty chodzę.

- Wkurzasz mnie - nadyma się. - A zastrzyk przeciwtężcowy?

- To nic poważnego. Mała ranka - mówię niedbale. I nie wspominam o garściach tabletek przeciwbólowych, które łykałam w nocy.

- Mała, nie mała, ale jednak - mruczy. - Jestem padnięta - ziewa.

- Odeśpisz dzisiaj.

- Pogięło cię? Dziś impreza u Debeściaka. Zapomniałaś? Tylko mi nie mów, że nie idziesz.

- Idę.

Anka przekrzywia głowę i wpatruje się we mnie, jak sroka w kość. Zaraz jej się kark złamie.

- No, no, a czemuż taka zmiana w podejściu do życia?

- Postanowiłam robić rzeczy, których nie lubię.

- Nowe motto życiowe? Pokuta.

\* \* \*

Za godzinę mamy wyjść. Żeby zdążyć na tramwaj o 17.50. Jak na razie paraduję jeszcze z wilgotnymi włosami. Anka pomogła mi je umyć. Po oberżynie nie ma już nawet śladu. Teraz pognęła do apteki po bandaże, a mnie poleciła zrobić parę kanapek z dietetycznego pieczywa.

Kromki się kruszą, masło jest twarde, ręka mnie boli. Wsadzam masło na moment do mikrofal. Po chwili okazuje się, że na zbyt długi, bo w maselnicy wszystko pływa. Wściekła klnę w głos.

Dzwoni domofon. Znowu zapomniała kluczy. Wciskam guzik, otwieram drzwi, wracam do kuchni walczyć z kanapkami. Będą bez masła.

- Hej - mówi Olaf. Podchodzi do mnie i podaje mi czerwoną różyczkę. Odruchowo wacham ją, a potem odkładam na stolik.

Na to spotkanie nie jestem przygotowana. Ani wyglądowno, ani psychicznie.

- Cześć - głos lekko mi drży.

- Cześć. Już wróciłaś? Jak było?

- Nic szczególnego. Normalka.

- Ja też wróciłem. Godzinę temu.

- A gdzie byłeś? - pytam zdziwiona. Patrzy na mnie bez cienia uśmiechu.

- Trzeba było odsłuchać wiadomości. Wiedziałybyś.

- Yyy, napijesz się herbaty?

- Marcyńska? - Mhm?

- Co jest grane?

- Nic. Nic - zapewniam. - Co z herbatą?

- Do cholery z nią! Co się stało tam, na parkingu? Przymykam oczy. A potem otwieram je i rozciągam usta w ironicznym uśmiechu.

- Na parkingu? Lepiej było nic nie mówić. Patrzy na mnie jak na wariatkę.

- A co ja takiego powiedziałem?

- Ze mogę na ciebie liczyć! - wybucham piskliwym głosem.

- To źle?

- Jak mam liczyć na obcą osobę, skoro nie mogę na najbliższych! - krzyczę. - Ten facet przed remizą to był mój ojciec. Na niego nie mogę liczyć, na matkę nie mogę liczyć, a na ciebie mogę? Obcego człowieka!!! Po co gadałeś takie bzdury? Po co?

Łapie mnie za przedramiona. Syczę i odskakuję krok do tyłu.

- Skaleczyłam się - wyjaśniam szybko. - Po co kłamałeś? - wybucham znowu.

- Spokojnie, spokojnie - mówi cicho.

- Jak mogę być spokojna? Jak?

- Bo powiedziałem prawdę - odpowiada i jednocześnie przyciąga mnie do siebie.

- Nie...

- Tak. - Słyszę bicie jego serca, czuję delikatne palce na karku.

- Tak?

- Tak... Unikasz mnie ostatnio... Mam ci dać spokój? Cisza. Ciężka. Niedobra. Jego wyczekiwanie, mój strach. Co mam powiedzieć, co myśleć? Nigdy nie byłam w takiej sytuacji.

- To nie tak... - mówię ledwo dosłyszalnie.

- Marcyśka...

- Ja nie panuję nad własnym życiem - odzywam się niespodziewanie sama dla siebie. Pękł mur, który tak pracowicie budowałam. Otaczający moje myśli, uczucia, samotność i przekonanie, że moje sprawy są tylko moimi i wara innym od nich! - A ostatnio zrobiłam coś... coś strasznego.

Mocniej przytula mnie i zamyka w swoich ramionach.

Nic nie mówi.

Na szczęście. Żadnych bredni: Jeśli tylko nikogo nie zabiłaś, to nic się nie stało” albo „teraz to coś wydaje ci się straszne, a za dziesięć lat będziesz się z tego się śmiała”.

Emanuje z niego tak wielki spokój, że prostują się moje stargane, poplątane nerwy. W głowie, nareszcie, przestaje szumieć. Nie wiem, jak długo tak stoimy. On mnie tylko przytula.

Żadnych pieszczot. I raptem przypominam sobie bramę.

Tamta to ja i teraz to ja?

Mam się wikłać z Olafem, skoro na razie zasupliłam się z Izem? On może nie, ja tak. Mam myśleć o jednym i drugim? Może Iz jeszcze się odezwie. Może on też ma szum w głowie. Odsuwam się o pół kroku. Patrzymy na siebie w milczeniu. Znowu ta ciężka cisza.

- Marcyśka?

On już wie, co powiem, a ja na powrót mam poplątane nerwy i szum w głowie.

- Olaf, nic z tego nie będzie...

\* \* \*

Letni domek Debeściaka jest tysiąc razy większy od mojego rodzinnego. Niektórzy próbują grillować na trawniku wielkości boiska szkolnego. Pod drzewami stoją Marta i Bartek. Zazarcie się kłóć. Ona ma jak zwykle do niego o coś pretensje. On na razie ma minę zbitego psa, ale za chwilę się obrazi i ona go będzie przeproszać. Ten scenariusz jest standardowy.

Inni obsiedli okrągły basen z podgrzewaną wodą i oświetlanym dnem, znajdujący się na parterze. Zaraz za oranżerią. Powinna ją zobaczyć Sylwka.

Kilkoro ludzi się tapla. Większość w kostiumach, reszta w bieliźnie. Ja siedzę na brzegu i bełtam nogami. Dżinsy mam już prawie całe mokre. Obok dwie szklanki po drinkach. W rękę kolejna. Najpierw mnie lekko szczypało w język, teraz zalała mnie fala spokoju. Już prawie nie pamiętam iskierek, szumu, ciepła, spokoju i palców na karku. Wszystko zaczyna mi się podobać. Najbardziej basen. Działa hipnotycznie.

Złapałam klimę.

- Komu jeszcze bronksy! - wydziera się Debeściak z piętra. - Komu?

- Zjadłbym coś! - odkrzykuje Maciek. - Kiełbaski spaliły się na węgiel.

- OK!!! - ryczy Debeściak. Siada na poręczu i wyjmuje ko-

mórkę. Wybiera numer. - Zamawiam dwadzieścia pizz. King size. Których? Najdroższych - rechocze głupio. - Najdroższe to znaczy najlepsze...

- I kondomy! - ktoś wykrzykuje. - Zapachowe. Też dużo!

- Artykuły pierwszej potrzeby mam zawsze. Zaraz cię poratuję - woła Debeściak. - Komuś coś jeszcze?

- Sałatkę! - wrzeszczy Anka. - Grecką.

- I sałatki - mówi Debeściak do telefonu. - Wszystkie. Tak, kiedy? Za godzinę? Nie ma mowy. Goście mi z głodu padną. Będzie stowa gratis, jak dostawa będzie za pół godziny. Teraz adres... Jodłowa 25. Tylko szybko - rozłącza się.

Debeściak zbiera brawa. Kłania się. Jest zadowolony z życia.

- Trzeba było błysnąć oryginalnością! - woła Anka. - Zamówić coś innego.

- No co? - Debeściak znowu ma komórkę przy uchu.

- Coś z Sheratona.

- OK, dawaj numer. Mają tam na wynos?

Znowu salwa śmiechu. Podchodzi do mnie Anka. Czarne bojówki, obcisły jaskrawożółty top, postrzępione włosy. Debeściak już mlaskał na jej widok.

- Jak mówi stare przysłowie, są ludzie i Debeściaki - siada obok szklanek. - Ooo, nadrabiasz zaległości.

- Impreza, nie? - bełtam nogami.

- Miałam nie pytać, cholera, ale jednak zapytam...

- To nie pytaj - wzruszam ramionami.

- Gdy wróciłam z apteki... co się przez ten czas działo? Jesteś jakaś inna. Co się stało?

- Nic - odpowiadam swobodnie.

- Gówno prawda - mówi uprzejmie. - Marcyśka, martwię się - dodaje miękko. - Nie znam cię zbyt długo, ale na kilometr mi pachnie, że coś jest nie tak. Szczególnie ostatnio.

- I tak ci nic nie powiem - prychem. Rozdzwania się komórka Anki.

- Kurczę! Kurczę! Znowu stara z hajerem? Że tym razem znalazła pod szafą moje brudne majtki? - Wyławia telefon z

bocznej kieszeni spodni. - Bebeś - mruga do mnie i frunie w kierunku ogrodu.

Wypijam resztkę drinka i przeciągam się. Z basenu wychyla się Maciek. Podpływa do mnie i łapie za nogi.

- Kąpiel? I tak już jesteś mokra. - Nagie ramiona ma pokryte ciemnymi włosami.

- Nie mam kostiumu.

- Większość też. To co, hop?

- Nie mogę.

- Czyżby jeden z tych trudnych dni w życiu kobiety?

- No nie... - jestem zażenowana. To nie są tematy do rozmów.

A na pewno nie damsko - męskich.

- Skoro nie, to...

I wciąga mnie do wody. Jest ciepła, jak zupa. Odgarniam mokre włosy z twarzy i wybucham śmiechem. Boże, jak dawno nie pływałam! Chyba z pięćset lat. Ostatnio w stawie u Grzelaków. Mokre dzinsy przeszkadzają w ruchu, ale i tak jest super. Kładę się na plecach. Nogi i ręce szeroko. Oczy wpatrzone w granatowy sufit usiany tysiącami małych lampek. Jak gwiazdy. Maciek zarykuje się ze śmiechu. Obejmuje mnie w pasie i przyciąga do siebie.

- I co? Dobry miałem pomysł, co?

- Niezły - odpowiadam szczerze.

- Mam jeszcze inne...

- Marcyśka! Marcyśka! Wyłaż w tej chwili! - rozwszeszcza się naraz Anka z marmurowego brzegu.

- Odczep się - śmieje się Maciek. - A ty, Marcyśka, nie słuchaj jej!

- No! - mówię z przekonaniem.

- Marcyśka! Ty idiotko. Zamoknie ci opatrunek! Maciek, ty ciężki debilu, pomóż jej wyjść.

Podpływam do drabinki. Wdrapuję się na nią. Anka wyklóca się z Maćkiem, potem bierze mnie za zdrową rękę i prowadzi w stronę schodów.

- Cholera! Cholera! - tupie ze złością.



- Spokojnie, nic nie boli!

- A o zarazkach kiedyś słyszałaś? Pędź na górę. Poszukam Debeściaka. Oby miał coś w apteczce poza viagrą. Zaraz przyjdę.

Pędzić w mokrych ciuchach i po kilku drinkach nie można. Można za to iść powolutku. Wolna łazienka jest na drugim piętrze. Ogromna, ciemnogramatowa, z plamami jasnozielonych roślin i dwoma obrazami. W łazience!!! W szafce znajduję pachnące ręczniki. Zdejmuję ciuchy i owijam się jednym.

- Hej! To ja! Wpuść mnie!

Otwieram drzwi. Anka ma w ręku puchaty czerwony sweter i szare spodnie treningowe.

- Zakładaj, zanim się rozchorujesz. Debeściak bełkotał, że tutaj gdzieś są lekarstwa. - Myszkuje po szafce. - OK. Są. Dawaj rękę. Nie byłaś na pogotowiu, teraz moczysz ranę. Super. Lepiej być nie może.

Odwija bandaż.

- A co z tym? - wskazuje na mokre gaziki na moim przedramieniu.

- Wszystko mi jedno. Zostaw,.. - w głowie brzęczy mi jak w ulu.

- Nie wkurzaj mnie! Trzeba zdjąć. Cholera. Przykleiły się. - Zagląda pod nie i krzywi się z obrzydzeniem. - Gołym okiem widać zarazki! Zaciskaj zęby, myśl o czymś przyjemnym... Poczekaj, poleję utlenioną. Może łatwiej odejdą.

Odrywa gaziki. Ukazuje się czerwona kreska cięcia. Blizna po nim będzie ze mną do końca mojego parszywego życia. Anka jest blada jak opłatek.

- Kurwa! Kto ci to zrobił?

- Nikt. Już ci mówiłam. Przewróciłam się - odpowiadam tępo.

- Dlatego nie chciałaś iść na pogotowie. Teraz czaję.

- Na pewno nie - wybucham krótkim śmiechem.

- To mi wyjaśnij! - wrzeszczy.

- Sama to zrobiłam - mówię powoli.

- Jesteś pijana...

- Teraz może tak, wtedy nie.

- Nadajesz się do czubków! Ty naprawdę jesteś nienormalna!

- Gwałtownie gestykuje. - Samookaleczenie? A żył sobie nie będziesz podcinać? Kaftan ci kupię na najbliższe urodziny. Może mi jednak coś powiesz? Tylko nie w stylu, że to twoje sprawy.

Wzruszam ramionami.

- Kiedyś ci powiem. Obiecuję.

- Z tobą jest coś nie tak. Gdzieś ci się robią spięcia. Czytałam kiedyś na temat szajbusów, którzy się samookaleczają...

Robi wielkie oczy. - Taka autoagresja jest formą kary...

- Skończ z tą tanią psychologią za trzy grosze! - Ze wściekłości ledwo mówię. - Najlepiej idź stąd.

- Ha! Mam cię! Chciałaś się ukarać... Ale za co?

- Bo zrobiłam coś złego!!! - wrzeszczę. Zapada cisza. Słychać okrzyki, nawoływania z ogródka i uderzenia Anki ręką o ścianę.

- Ale co to takiego może być, skoro człowiek tak się sam karze? Albo mu się wydaje, że zrobił coś złego... - Patrzy na mnie wyczekująco.

- To ty jesteś pani psycholog. Nie ja. - Mów. Przejeżdżam językiem po wargach. Podejmuję decyzję.

- O mało nie przespałam się z... chłopakiem.

- Z Olafem, tak?

- Nie, nie z Olafem... - głos mi drży. - I co?

- No... nie przespałam się.

- To wszystko? - Patrzy na mnie jak na wariatkę. Ktoś stuka do drzwi.

- Zajęte! - wrzeszczy Anka. - Na dół albo do ogrodu! Nie robisz sobie ze mnie jaj?

- Nie!

- To nasza klasowa Gofa, która śpi z chłopakami, bo ma takie hobby, to powinna też się ciąć? I z nią razem pół naszej budy? Cholera, i ja też!

- Ale ty to robisz z Bebesiem... A wy jesteście razem.

Anka uśmiecha się krzywo. Zdejmuje ręczniki z chromowego

wieszaka, rzuca je na podłogę i siada na nich. Gestem zaprasza, żebyśmy zrobiła to samo.

- Jesteście razem, jesteście razem - powtarza zjadliwie.

- Właśnie. - Wydaje mi się, że wszystko widzę w odpowiednich proporcjach, że nareszcie uzyskałam jasność widzenia wielu spraw.

- Ale pierwszy raz to zrobiłam z chłopakiem, który nawet nie znał mojego imienia. - Wykrzywia się w moim kierunku. - I co ty na to?

- Jak to?

- Na obozie harcerskim. Bo ja kiedyś za harcerkę robiłam. Podobał mi się taki jeden Ambroży. Głupie imię, co? No, wszystkim dziewczynom się podobał. Ostatni dzień obozu, ja w nerwach, że go już nigdy więcej nie spotkam, bo on był z Gdańska, że tracę taką szansę... Akurat wysłano mnie do kuchni po coś, on tam był i zrobiliśmy to w krzakach, za namiotem kuchennym... Nawet mnie nie pocałował... Potem się dowiedziałam, że na tym obozie rozdziewiczył jeszcze kilka innych idiotek. Ambroży jeden!

- A... a... Bebeś to wie?

- Może nie z takimi szczegółami jak ty, ale wie. - I co?

- I nic. Kiedyś mi wypominał, że nie poczekałam na niego - pociąga nosem. - Teraz tego tematu nie ma w ogóle. Ja Bebesiowi dziury w brzuchu nie robiłam, że nie pozwolił mi się rozprawiczyć. Wiesz, ile on dziewczyn przede mną zaliczył? Jakie to ma teraz znaczenie... Moja jedna kumpela mówi, że z każdym jest ten pierwszy raz... Coś w tym chyba jest.

Mam mętlik w głowie. Czas jasności i zrozumienia minął.

- To brzmi jak motto taniej dziwki!

- Głupoty gadasz!

Przełykam ślinę. Chcę powiedzieć. Muszę to z siebie wyrzucić.

- Taki był nastrój... Chwila.

- Zdarza się. Ale to nie powód do czegoś takiego - wskazuje na moje przedramię.

- Teraz będę pamiętać.

- Co będziesz pamiętać? Że po ślubie to można, a przed nie? Co ty Marcyśka, pogięło cię? Życia nie znasz?

Ostatnio dochodzę do wniosku, że nie. - Jednak są pewne zasady, wartości moralne...

- Przestań! - wybucha. - Wartości moralne - cedzi z obrzydzeniem. - Jasne! I dlatego stara najchętniej by się mnie z domu pozbyła, mój wujek lal swoją żonę, dopiero jak jej złamał nos, wyszło szydło z worka, co z niego za skurwiel. A przecież to taki miły człowiek! Zawsze uśmiechnięty, dla każdego miał miłe słowo. Podać ci może jeszcze jakieś przykłady? Ooo... proszę. Moja matka usunęła dwie cięższe. Bo już robiła karierę w firmie. I ty mi tu będziesz pieprzyć o wartościach moralnych? - Już nie chlipie, tylko otwarcie płacze. - Mnie by też usunęła, ale ojciec się postawił i zagroził rozwodem. Wtedy jeszcze nie był pod pantoflem i... - naraz urywa i wpatruje się we mnie badawczo.

- No co?

- Chyba już wiem, na czym polega twój problem...

- To mów...

Kręci przecząco głową. Sięga po buteleczkę z wodą utlenioną. '

- Jeszcze nie teraz... Lepiej by było, żebyś sama do tego doszła... ale...

- Ale co?

- Cholera! Obym się myliła.

*30 marca, wtorek*

Za czterdzieści minut angielski u Edytki. Kuzynka Maciusia. Miałam jej przygotować prościutką krzyżówkę, ale na śmierć zapomniałam. Przerobię dziś nazwy zwierząt. Anka idzie do biblioteki. Spotkamy się w domu. Jak na razie od samego ranka prześladowuje mnie pech. Najpierw Karolka zwymiotowała na środek dywanu, później zgubiłam srebrną bransoletkę, taki cieniutki łańcuszek, który parę dni temu znalazłam w promocyjnym opakowaniu kawy. Na całe szczęście pech omija sprawy szkolne. Dzisiaj okazało się, że ostatni sprawdzian z fizyki napisałam najlepiej z klasy.

Jestem głodna, kupuję dwa precle z sezamem. Mak nie jest wskazany, bo potem zostaje między zębami. Z preclem w dłoni siadam na ławce na Plantach. Dziesięć minut dla mnie. Do Edytki zdążę. Za mną fontanna, po prawej stronie starsza kobieta z kwiatami. Obok niej mężczyzna w spodniach w kratkę i fikuśnym kapeluszu. Razem mają ponad 130 lat, a kłócą się o to, że on poszedł do jakiejś Hani na noc. Ona wyciera nos chusteczką z niebieskim szydełkowym brzegiem, on się jej tłumaczy, że to nie ma żadnego znaczenia.

Stare, pomarszczone ciała, dłonie pokryte brązowymi plamami, w nocy zęby w szklance na stoliku, a emocje jak u nastolatków.

I raptem przy budzie z gotowaną kukurydzą i bladymi preclami dostrzegam Olafa. Musiał nadejść od strony Rynku, ale go nie zauważyłam, zajęta podsłuchiowaniem. Obok niego drobna dziewczyna. Króciutkie ciemne włosy, czarna sukienka, czarna kurtka, glany z zielonymi sznurówkami.

Nie widzą mnie.

Za to ja widzę. Wszystko.

I jej długie kolczyki i jego uśmiechnięte oczy.

Rzucam resztę precla w trawę. Od razu pojawiają się przy nim gołębie. Olaf i Czarna idą na przystanek tramwajowy. Ona

coś mówi, zawzięcie gestykulując. On ją łapie za łokieć, bo ona pcha się na ulicę na czerwonym świetle.

Idiotka!

\* \* \*

Nie mogę się pozbierać, odkąd zobaczyłam Olafa i tę idiotkę. Źle mi poszedł angielski, pokłóciłam się z jakąś kobietą w tramwaju, bo jej za późno ustąpiłam miejsca. Jakby tego było mało, odkąd wróciłam do domu, Anka nie spuszcza ze mnie wzroku i stara się uprawiać tę swoją podwórkową psychologię. Ze niby jak porozmawiamy, to będzie mi lepiej i w końcu zrozumie to, co ona rozumiała.

- Zejdź ze mnie! - wybucham. - Zajmij się sobą.

- Porozmawiajmy - zaczyna na nowo. - Wyrzuć to z siebie.

Nie odpowiadam. Sięgam po herbatę. Melisa. Dobrze mi robi. Dwie torebki do czerwonego kubka. A gdzie rudy? Zaglądam do szafki, potem na suszarkę. Nie ma.

- Gdzie jest ten brązowy? Z takim śmiesznym uchem?

- Rozbił mi się jakiś godzinę temu. - Macha niedbale ręką.

- Co robisz takie miny? Odkupię ci. Wszędzie ich pełno. Po trzy z groszami. No. Mów. Wyrzuć to z siebie.

Robię w tył zwrot i ruszam do sypialni. Anka za mną. Rzucam się na łóżko i zauważam, że gwóźdź, na którym wisiała zasuszona różyczka od Olafa jest pusty.

Wyrzuć to z siebie!

Moja różyczka! Z dobrą karmą.

- Ty se myślisz, że se na wszystko możesz pozwolić? - ze zdenerwowania mówię, jak w Mięsowej.

- Tyś chyba kompletnie ocipiała! Co ci teraz odbiło?

- Mam cię dość! Ciebie i twoich problemów.

- Moich problemów? Jakich problemów? - jest autentycznie zdumiona. - Coś ci powiem. Pamiętasz, jak ci wygarnęłam, że jesteś zimna królewna? Cholera, to ja się wtedy pomyliłam. Ty jesteś po prostu wredna suka. Wredna suka! - krzyczy. - Jeszcze ci coś powiem. Ja mam problemy? Ja? - śmieje się jadownicie. - A ty?

Popatrz na siebie. Wiesz, czemu masz takie problemy z ludźmi? Nie wiesz? To ci powiem! Bo jesteś emocjonalnie opóźniona. Zacošana! Może i masz seksualne potrzeby jak normalna dziewczyna, ale wewnątrznie jesteś całkowity niedorozwój. Tniesz się, wyrzucasz meble, przedmioty, ciuchy. Myślisz, że tak się załatwia sprawy?

- Jakie znowu ciuchy!

Bez słowa idzie do dużego pokoju. Wraca po chwili i przynosi porządnie złożone na kupkę spodnie, bluzkę, majtki i stanik.

- Znalazłam w koszu. Pewnie ci tam wpadły przez przypadek! - Rzuca ubraniami we mnie, a potem podchodzi do drzwi.

- Aha, jeszcze coś ci powiem. Bawisz się ludźmi. Zostań, spadaj, zostań. A poza tym jesteś miłą i dobrą dziewczuszką. No i cnotliwą. - Wychodzi.

Sięgam po koc leżący w nogach. I wtedy między ścianą a tapczanem dostrzegam różyczkę. Spadła! Po prostu spadła.

Odkładam ją na biurko i powoli idę w kierunku kuchni. Muszę przeprosić Ankę.

Siedzi na parapecie. Staję obok niej.

- Czego? - warczy. - Czego znowu?

- Przepraszam - mówię po prostu.

- Odpieprz się - nadal warczy.

- Mam koszmary dzień.

- Ja też.

Staję przy stole i zaczynam bawić się łyżeczką. Anka ostentacyjnie omiata mnie wzrokiem.

- Powiedziałam to wszystko w złości, nie myślałam tak.

- A ja owszem. - Już nie warczy. Teraz cedzi słowa przez zęby. - Jesteś niedorozwinięta.

- Widziałam dziś Olafa... - wyrywa mi się.

- I co? - ziewa.

- Z taką jedną.

- No to co? Może siostra, kumpela ze studiów albo koleżanka z przedszkola - ironizuje.

- Może, ale jakaś taka... namolna. Nie podobała mi się.

- To raczej normalne. A jemu?

- Jemu tak.

- Cholera. - Zgadzam się z nią w zupełności. - Marcyśka, czegoś nie rozumiem. Zerwałaś z Olafem? Zerwałaś z Seksownym Tyłeczkiem?

- Nie zerwałam, bo nigdy nie byliśmy razem. - Ze zdenerwowania zaraz złamię łyżeczkę.

- Jasne - prycha. - Ale chyba byliście jakoś bardziej niż teraz, nie?

- Chyba nie...

- To ja się teraz poprodukuje w charakterze pani psycholog i wszystko ci wyjaśnię. - Zeskakuje z parapetu. - Słuchaj, drogie dziecko...

Dla niej to zabawa!

Nie chcę jej słuchać, nie chcę teraz myśleć o Olafie. Odchylam głowę do tyłu i wpatruję się w sufit. Nad nim mieszkanie tych młodych, którzy pracują w jakimś tam banku. Zawsze elegancy, zawsze w biegu, zawsze zostaje po nich na klatce smuga zapachu drogich perfum. Ciekawe, czy są teraz w domu. Czy mają jakiejś problemy?

- Marcyśka, zaraz mnie tu trafi! - Anka szturcha mnie w kolano. - Nie słuchasz - piekli się. - Opowiadam ci o układzie rozrodczym obleńców, a ty nic!

Uśmiecham się krzywo.

- Seks obleńców jest naprawdę ciekawszy od mojego życia - mówię, a potem ruszam do siebie. Czuję na plecach jej ciężkie spojrzenie.

Jutro wyniosę spodnie, bluzkę i resztę do śmietnika. Już ich na pewno nigdy nie włożę.

\* \* \*

Postanawiam zadzwonić do Sylwii. Wybieram jej numer. Odbiera zdyszana.

- Cześć, to ja. Marcyśka.

- Super, że dzwonicz... Tyle o tobie myślałam.



- Jesteś zajęta?

- Nie... Wiesz, co teraz robimy? Bynajmniej nie zgadniesz.

- To mi bynajmniej powiedz.

- Kupiliśmy zmywarkę i Zenek teraz ją montuje! - woła radośnie.

- To super. A jak się w ogóle czujesz?

- Śpiąca jestem tylko bardziej... ale już mnie nie mgli. Marcysia, a ty co?

Wiem, że nie pyta o Kraków, tylko o to, co stało się przed remizą.

- Nienawidzę go! Nienawidzę! - wybucham. - Nie rozmawiajmy o tym więcej. A jak tam u moich? - mówię wbrew sobie.

- Chyba dobrze - odpowiada powoli. - Patryk jakoś tak ostatnio chyba nogę skręcił. Nie dzwonisz do nich?

- Nie. A w Mięsowej plotkują o mnie?

- Nie, może trochę na początku - trajkocze. - A wiesz, że Baśka Bocianowa to Jaśka zostawiła i do Radomia wyjechała? Do jakiegoś agroturysty. Jest z nim w ciąży...

- Żartujesz!

- Bynajmniej nie! Agroturysta ją odesłał, a Jasiek jej nie chce, więc u matki mieszka, a tam już jest jej siostra, ta Hanka z mężem, czwórką dzieci i piątym w drodze - wyrzuca z siebie szybko. Bez żadnych znaków przestankowych, na jednym oddechu. No, to jest dopiero supeł!

- Jak teściowa?

Milknie. Odpowiada dopiero po chwili:

- Cały czas nam się wtrąca. We wszystko. Ja chciałam pralkę, ale ona wymyśliła, żeby kupić zmywarkę. Bo będę prała u niej na dole...

- Jak to u niej na dole? Przecież mieliście się wyprowadzać.

- Ale się nie wyprowadzamy. Bynajmniej najwcześniej za dwa lata. Zenek ma jakieś problemy z pieniędzmi. Nie chce mi dokładniej powiedzieć, żebym się nie denerwowała...

- I tak się denerwujesz.

- Bo jak nie! Ja chciałam pralkę!

- A co na to wszystko Zenek?

- Słucha się jej! I teraz cały czas muszę wysłuchiwać, jaka mamusia dobra i mądra. Bo tak mam i zmywarke, i pralke. Tyle że na dole - pociąga nosem.

Już mam dosyć tej rozmowy. Za dużo tych Sylwkowych supelków.

- Będzie dobrze. - To mogę chyba powiedzieć. - Dogadacie się.

- A ta jędza mi jeszcze powiedziała, że Zenek jakiś taki ostatnio smutny chodzi... Że to niby moja wina!

- Nie słuchaj jej. Masz Zenka. Dogadacie się - powtarzam.

- Musimy... Marcysia, ten rudy, co był z tobą, to co? Chodzicie ze sobą, nie?

- Poczekaj... komórka dzwoni...

Dopadam komórkę, leżącą w drugim pokoju. Na wyświetlaczu „Iz”.

- To ty Marcyśka? Sorry, pomyliłem się. Miałem gdzie indziej tyrknać. Hej.

- Hej.

Wracam do Sylwki.

- I co? Tak krótko? - Tak. Pomyłka. Życiowa.

*3 kwietnia, sobota*

Jestem sama, jeśli nie liczyć szalejącej Karolki. Uganiam się po całym domu za cukierkiem w szeleszczącym papierku. Anka pognęła na imprezę do jakiegoś Kaczora. Od rana namawiała mnie, żebym z nią poszła. Wymówiłam się, że niby czekam na przyjazd mamy, a nie wiem dokładnie, o której będzie.

Mama!

Parę dni temu zadzwoniłam do ciotki Tosi.. Powiedziałam, że wykręcę jeszcze za piętnaście minut, a ona niech poprosi mamę do telefonu. Mama nie chciała ze mną rozmawiać. Przez ciotkę kazała mi przekazać, abym zgodziła się na propozycję ojca.

Propozycja ojca!

Anka przejęta tą niby - wizytą, jeszcze przed wyjściem zamiotła całe mieszkanie i umyła podłogę w kuchni.

Podrywa mnie dźwięk telefonu stacjonarnego.

Serce tłucze mi się jak szalone.

- Proszę? - mam nadzieję, że nie słyhać mojego potwornego zdenerwowania. A przede wszystkim oczekiwania i niepo- hamowanej radości.

- Cześć, to ja. Olaf.

Nie wiem, czy się cieszyć, że to on, czy żałować, że to nie Iz. Biorę głęboki wdech.

- Cześć...

- Przed chwilą dzwonił Jacek, ten kumpel od staroci. Nadal nie ma tej kasy dla ciebie... Znowu gdzieś wyjechał. Może za dwa tygodnie. Sorry.

- Nie ma sprawy - staram się, by mój głos brzmiał równie swobodnie jak jego.

- Odezwę się za parę dni. To cześć.

- Cześć...

A to wstrętny rudzielec!

Jeszcze chwila i eksploduję. Porywam torbę i wypadam z mieszkania. Ale ciepło! To już prawdziwa wiosna, powinnam

sobie kupić jakieś buty.

Gdzie teraz? Do kina? W żadnym wypadku. Będę udawała, że oglądam, a tak naprawdę zacznę rozmyślać o tym wszystkim.

Muszę iść do ludzi, tam, gdzie nigdy nie czuję się ani pewnie, ani dobrze. Będę zastanawiać się nad tym, czy nie popełniam jakiejś gafy, a nie nad tym, czemu Iz nie zadzwonił i czemu Olaf był taki wstrętnie obojętny.

Wybieram numer Anki.

- Marcyśka? Coś się stało? - dziwi się. W tle słyszę hip - - hopa i rozmowy.

- Gdzie ten cały Kaczor mieszka? - A co?

- Bo się wybieram.

- A mama?

- Co mama?

- Miała przyjechać.

- Zmieniła zdanie. Podawaj adres.

- Smoleńsk siedemnaście przez osiemnaście. Nie, osiemnaście przez siedemnaście. Pędź teraz do tramwaju.

Pędzę. Wsiadam przystanek przed kinem. Na Smoleńsk, okazuje się, nie ma ani numeru osiemnaście, ani siedemnaście. Kolejny telefon do Anki. Wesolutko oznajmia, że chyba się pomyliła, konsultuje z Bebesiem, mnie szlak trafia, gdy pomyślę o karcie telefonicznej, i w końcu podaje mi właściwy adres. Siedem przez sześć.

Szarokremowe kamienice, papierniczy, tania odzież, biblioteka, klatka. Wchodzę. Dudni muzyka. Docieram na trzecie Piętro. Jasnożółte drzwi. Chłopak z dreadami do ramion, dziewczyna z burzą rudych włosów, Anka, Bebeś, ze trzech chłopaków wyglądających tak samo. Anka ciągnie mnie do kuchni żebym coś zobaczyła, chłopak z dreadami wręcza mi puszkę piwa i znika w dużym pokoju.

- Słodki, prawda? - Anka wyjmuję z klatki białego szczurka.

- Hieronimek.

- Słodki.

- Wyglądasz nieszczególnie. Coś się stało? - Nie.

- Chyba sobie takiego kupię. - Głaszcze zwierzaka. - Wtedy albo stara przestanie wchodzić do mojego pokoju, albo padnie na zawał. Tak czy tak, korzyść. Poczekaj, pokażę go Bebesiowi. - Wychodzi.

Staję przy oknie. Opieram czoło o szybę. Szare, brzydkie podwórko. Ktoś wchodzi do kuchni. Odruchowo odwracam głowę.

Iz.

Spanikowana, z zaczerwienionymi policzkami ruszam w stronę drzwi.

- Hej, nie wiedziałem, że tu będziesz.

- Już mnie nie ma. Patrzy na mnie uważnie.

- Musimy pogadać.

- Nie ma o czym.

- Chyba jednak jest. - Łapie mnie za rękę. Moje ciało przesywa prąd.

- Puść.

- Najpierw musimy pogadać. Do kuchni wpada Bebeś.

- Dostałem tego idiotę - szurka do potrzymania, ale mi uciekł pod szafę. Anka panikuje, muszę go czymś stamtąd wywabić. Co jadają szczury? Dajcie kawałek kielbasy. - Zagłąda do lodówki. - Co z wami?

- Nic - Iz i ja odpowiadamy jednocześnie.

Bebeś bez słowa wychodzi. Czuję na sobie spojrzenie Iza. Ironiczne. I naraz wybucham. Mam ochotę go zabić. Tu i teraz. Żeby przestał się tak idiotycznie uśmiechać. Żeby przestała się czuć winna.

- Nienawidzę cię - wyrywa mi się. - Nienawidzę.

- Za to w bramie? Mam cię sorry? Ale to chyba powinnaś raczej traktować jako komplement - śmieje się.

Jak mógł coś takiego powiedzieć? Przypadam do niego z pięściami, ale on łapie mnie za ramiona. Boli mnie rana.

- Wtedy nie byłaś taka ostra... - rechocze. Śmierdzi piwskim.

Mam ochotę napluć mu w twarz. I raptem czuję łzy na

policzkach.

- Przepraszam. Głupoty gadam. - Już się nie śmieje. - Przepraszam. Nie wiem, co mi wtedy odbiło... Nigdy wcześniej nic takiego mi się nie przytrafiło - dodaje po chwili.

Mnie też.

- Puść - mówię cicho.

- A tamto... W bramie...? - Jego palce wędrujące już po moich ramionach wysyłają iskierki do całego ciała.

- Nie... nie wracajmy do tego.

- Mnie się podobało - szepcze wprost do mego ucha. Przymykam oczy. Na szyi czuję jego wargi. Na plecach jego dłonie. Wróciło uczucie, które ogarnęło mnie wtedy, w bramie. Znowu się w nim zanurzam. Jest ogromnie zniewalające.

- Puść. - Nie.

- Muszę wracać do domu...

- Pójdę z tobą.

\* \* \*

Taksówka już pojechała, całą drogę czułam na ciele jego gorące dłonie. Teraz leżymy na tapczanie. Oddaję pocałunki. Iskierki mam już wszędzie. Są zamiast krwi, kości, mięśni, skóry.

Znowu są dwie Marcyśki. Jedna nie wstydzi się swej nagości. Druga nie odczuwa niczego poza strachem.

Nasze ciała zlewają się w jedno. Już nie wiem, gdzie ja, gdzie on.

Czekam na to, co ma się za chwilę wydarzyć.

I wydarza się.

I jestem ja i nie - ja.

*4 kwietnia, niedziela*

Chłopak śpi na brzuchu. Obok niego dziewczyna w figach i koszulce. Na przedramieniu bandaż. Powiedziała, że się przewróciła i wpadła na szklanę. Teraz siedzi na brzegu tapczanu i tępo wpatruje się w swoje białe stopy. Na dywaniku porozrzucone ubrania. Dziewczyna podnosi się i idzie do łazienki. Staje przy umywalce i uporczywie wpatruje się w wiszące lustro.

To nie moje życie. Na którymś zakręcie wyrzuciło mnie z niego. Nie, raczej sama wyskoczyłam.

Zdejmuję szlafrok z haczyka, owijam się nim i ruszam do kuchni. 4.10. Idealna pora na kawę i na przemyślenia.

Nie - ja krąży po kuchni z kubkiem kawy w dłoniach - Słyszę skrzypienie tapczanu, potem człapanie. Do kuchni wchodzi Iz.

W bokserkach.

Nie - ja dostaje rumieńców.

A ja patrzę na Iza i nie potrafię zrozumieć tego, co widzę. Półgoły chłopak w mojej kuchni! O czwartej nad ranem. Straciłam dziewictwo z kimś, kogo tak naprawdę nie znam - Nawet nie znam jego prawdziwego imienia.

To jakaś kosmiczna pomyłka!

- Co teraz będzie? - nie - ja pyta bez zastanowienia. Chciałaby usłyszeć coś, co pomoże jej zebrać myśli. Coś, co będzie punktem wyjścia dla nowej ścieżki jej życia.

- A co ma być? - ziewa Iz.

No, to też jest odpowiedź. Nie - ja jest wstrząśnięta. A na co liczyła? Na wyznanie miłosne?

Z kawą siadam na taborecie obok lodówki. Iz uśmiecha się do mnie. Nie reaguję.

- Co teraz będzie? - nie - ja powtarza jak papuga. Zaczyna mnie denerwować.

- Nie planowałem tego, jeśli o to chodzi... Gdzie masz kawę? Bez słowa wskazuję na szafkę.

Nie - ja zawsze sobie wyobrażała, że gdy spędzi pierwszą noc

ze swoim ukochanym, to usłyszy od niego, że jest jego życiem, radością, promykiem, słońcem, gwiazdką, że on nie wyobraża sobie już ani chwili bez niej i nie wie, jak mógł żyć, zanim jej nie poznał. Oraz uwagi o tym, jak było cudownie i niezapomniane.

Iz kuca przede mną.

- Marcyśka?

- Nie wiem, co myśleć - żali się nie - ja. Chciałaby, żeby ją przytulił, pogłaskał, żeby zrobił coś, co znaczyłoby, że nie są dla siebie aż tacy obcy.

- Prosta sprawa. Zaczęliśmy trochę szybko, ale zaczęliśmy. Zobaczymy dokąd się poprowadzimy.

- Poprowadzimy?

- Mhm.

Nie - ja główkuje. Czy to znaczy, że nie jest foczką na jedną noc? Ale czemu nie ma w ogóle mowy o uczuciach? Pustka w jej głowie i sercu ma wielkość wszechświata.

- Masz mleko?

- W lodówce - głos nie - ja niebezpiecznie drży. Żeby idiotka tylko teraz nie zaczęła płakać!

- Będzie dobrze - mówi Iz, z ręką na moim udzie. Nie - ja czuje iskiereki. - Będzie dobrze - powtarza.

Nie - ja uśmiecha się leciutko. To chciała usłyszeć. Chyba.

\* \* \*

Już po wieczornym filmie. Siedzę w wannie pełnej piany. Rękę trzymam na brzegu w podwójnym kokonie z bandaży. Iza nie ma. Wyszedł koło południa. Trochę słuchaliśmy muzyki, dużo milczeliśmy, usmażyłam naleśniki. Przyjdzie wieczorem.

Metodycznie namydlam się raz, drugi i trzeci. Dolewam gorącej wody, z szafki wydaję maszynkę. Golę pachy, nogi. Chrobocze klucz w zamku.

- Jesteś?

- W łazience!

Wchodzi Anka. Spuszcza deskę i siada na muszli.

- Boże, jaka jestem wypluta. Najpierw siedzieliśmy u



Kaczora, potem zadzwonił jego kumpel i zwałiliśmy się do niego... Za dużo wypiałam, łeb mi pęka.

- Idź spać.

- Marzę o tym. Ej, słuchasz? Czemu masz taką minę? - pyta podejrzliwie. - Coś się stało?

Anka prycha i zaczyna się rozbierać.

- Jasne, innej odpowiedzi nie dajesz. Jezu, znowu utylam... Tyłek mam wielki jak stodoła. Wyłaź, co? Pysznic jest konieczny. Cała śmierdzą papierochami. U Kaczora była trawka... Paliliśmy z Bebesiem... - Zastyga ze spodniami w dłoniach.

- Co?

- Marcyśka? - No?

Spodnie w ką, Anka siada na brzegu wanny. Fu, rzeczywiście śmierdzi. .

- Bebeś gadał, że wczoraj widział cię z Izem... - zaczyna niepewnie.

Odkładam maszynkę i sięgam po gąbkę. Iz. Cały czas zastanawiam się, gdzie jest i co porabia.

- A co gadał?

- Że się całowaliście - mówi powoli. - To prawda?

- Nie - odpowiadam z przekonaniem, Całowaliśmy się dopiero tutaj, w domu. I w taksówce.

- To dobrze - oddycha z ulgą. - Coś się musiało temu mojemu dupkowi popieprzyć. Miałaś wyłażyć, rozpuścisz ranę - przypomina, bo ponownie kładę się w pianie.

- Czemu dobrze?

- Ojej, spłukuj się - niecierpliwi się. - Bo Izabel nie jest dla ciebie.

„Nie jest dla ciebie”.

Wyskakuję na stary ręcznik pełniący rolę dywanika i zawiąm się w szlafrok. Wyjmuję korek z wanny, z szafki biorę proszek i szczotkę.

- Jak to nie jest dla mnie? - do głosu dochodzi nie - ja. Jest zdenerwowana.

- Oj, normalnie. Cholera, już ci to kiedyś mówiłam.

- On dla mnie czy ja dla niego? - Nie - ja zapomina o brudnej wannie.

Wielkimi oczami wpatruję się w Ankę, która ziewa i beznamiętnie drapie się w gołą stopę. Skarpetki i top wrzuciła do kosza z brudami.

- On dla ciebie. Iz nie jest dla nikogo. To jest taki melanż nieogolonego playboya z wiecznym chłopcem. Melanż wybuchowy i centralnie beznadziejny.

- Chyba trochę przesadzasz. - To znowu nie - ja.

- A co? Pociągają cię nieodpowiedzialni faceci, tacy, co to nigdy nie dorastają? Dawaj szczotkę. Sama to zrobię.

- Nie o to chodzi...

- To o co?

- Może go po prostu nie znasz - mówi cicho nie - ja i ma nadzieję, że Anka przytaknie. Powie, że Iz pewnie tylko zgrywa takiego dupka, ale naprawdę to fajny z niego ziomek.

- A ty znasz? - Nie.

- To, po co ta cała rozmowa? - Anka jest wściekła.

- Ty mi powiedz. Nie ja ją zaczęłam. Wlepia we mnie oczy.

- Bo może jednak Bebesiowi się nie przywidziało.

- Może...

- Cholera! Marcyśka!

- Kazałaś mi kogoś sobie znaleźć... - przypominam.

- Ale nie Iza. Nie Iza! - krzyczy. - Nawet przez myśl mi nie przeszło, że coś może być między wami. - Jak nic zaraz eksploduje. Macha tak rękami, aż falują jej wielkie piersi w czarnym staniku. - Myślałam, że się pewne rzeczy... po prostu czuje. I wiem jeszcze... - zawiesza głos.

- No?

- Kiedyś, gdy byłam na lekkim haju, Izdelfons się do mnie dobierał. Do niczego nie doszło, ale pamiętam, że jak mnie dotykał, to... nigdy czegoś takiego nie czułam, przy żadnym chłopaku. Nawet przy Bebesiu. Rozumiesz?

- Nie rozumiem - odpowiada ostro nie - ja.

- On ma coś takiego w sobie, że się nie ma ochoty, żeby

przestał... Jakby prąd.

Iskry nie były tylko nasze? Taka jego uroda?

- Ale jednak między tobą a nim do niczego nie doszło, tak? -  
pyta bezsensownie nie - ja.

- No nie... Cholera! Marcyśka, coś ty zrobiła? Kulę ramiona.

- Nic - odpowiadam niemrawo i naraz zaczyna ciążyć mi to  
moje posuplone życie.

- Przespałaś się z nim, tak?

Kiwam głową. Anka z wściekłością kopie w kosz i wypada  
na korytarz. Ja za nią.

- Nic nie powiesz? - pytam.

- Cholera jasna! Naprawdę zrobiłaś to z tym dupkiem?! -  
wrzeszczy.

- Zrobiłam!

- Tylko tyle? A nic nie będzie o tym, że on cię kocha do  
szaleństwa, a ty jego? - krzywi się. - Zwykły seks?

Nie - ja czuję igłę w sercu.

- Przynajmniej wiedział, jak mam na imię - odcina się. To  
cios poniżej pasa. Anka klnie i znika w łazience. Idę do siebie.  
Żeby czymś zająć myśli, zaczynam układać szpargały na biurku.  
Uchylają się drzwi pokoju. Anka zawinięta w ręcznik.

- Ten mój przynajmniej się zabezpieczył - mówi z krzywym  
uśmiechem. - A jak twój? Pomyślał o tym?

- Tak - odpowiada nie - ja z zaczerwienionymi policzkami.  
Co innego robić, co innego o tym mówić.

- Przynajmniej tyle - odwraca się i kładzie rękę na klamce.  
Padam na łóżko.

Po co mi to wszystko było?

\* \* \*

Po dziewiętnastej przychodzi Iz. Anka ostentacyjnie na jego  
widok wychodzi z mieszkania.

- Co ją ugryzło? - śmieje się Iz.

- Nie wiem. Ma chyba zły dzień - odpowiadam trochę opry-  
skliwie.

- Ja wręcz przeciwnie.

Iz przyciąga mnie do siebie.

Nie - ja czuje iskiarki.

Nie - ja czuje, jak opadają z niej wszelkie wątpliwości, strach, smutki. Teraz jest jej dobrze.

Nie - ja czuje na pośladkach dłoń Iza.

A ja odskakuję od Iza.

Iz rechocze, a potem bierze mnie za rękę i prowadzi do dużego pokoju. Siadamy na tapczanie. On póżeży z poduszką na brzuchu, ja siedzę sztywno, niczym manekin. Karolka przybiega z kuchni i wskakuje mi na moment na kolana, po czym znika w sypialni.

- Co robimy? Zagłędniemy do kilku pubów?

- Jakoś nie mam specjalnej ochoty - odpowiadam po chwili. - Kino?

- Chyba też nie.

- O seksie nawet mam nie wspominać, co? OK, wyluzuj. Potraktuj to jako żart. Teraz ty coś zaproponuj...

- Kawa? Herbata?

Iz odrzuca poduszkę. Podkłada ręce pod głowę i patrzy na mnie z krzywym uśmieszkiem.

- Już kumam. Chodzi o wczoraj. OK. Włączam opcję romantyczność... Więc było wyjeździe.

„Wyjeździe”???

A nie „gwiazdko”, „słoneczko”, „promyczku”?

Mnie się to śni! To nie może chodzić o mnie, o moje życie...

- Iz - zaczyna niepewnie nie - ja. A ja trochę się denerwuję, bo nie wiem, co chce powiedzieć. - Iz...

- Aha, cieszę się, że to ja byłem tym pierwszym... Wystarczy?

Nie - ja ma ochotę się rozplakać. Nie pozwolę idiotce na to.

- Idź stąd... - podnoszę głos.

- Marcyśka, wyluzuj...

- Idź stąd! W tej chwili! - krzyczę i patrzę na niego z nienawiścią.

- Spadaj? - cedzi zimno.
- Spadaj.
- Już nie wrócę.
- Na to liczę - odpowiadam spokojnie.

Iz niespiesznie podnosi się z tapczanu i wychodzi na korytarz. Podnosi z podłogi swój plecak i strzela wejściowymi drzwiami.

Nie - ja wybucha krótkim śmiechem, który przechodzi w histeryczny szloch.

Pozwalam jej się wypłakać.

Straszna z niej jeszcze gówniara.

*5 kwietnia, poniedziałek*

Nie ma matematyki, Sigma zachorowała. Oby śmiertelnie. Jest zastępstwo z młodą geograficzką, która wymyśliła dyskusję o odpowiedzialności. Słucham jednym uchem, jednocześnie bazgrzę esy - floresy na brzegu zeszytu.

Ludzie produkują się aż miło. Zazarty bełkot o wartościach absolutnych, etyce, o wyborach, decyzjach, o tym, że każdy krok jest ważny w życiu, o nieprzewidzianych sytuacjach.

A nad tym wszystkim odpowiedzialność. Za siebie. Za innych. Za cały świat.

I mówią to osoby, które piją, palą, ćpają, puszczają się, głodzą, by mieć idealną sylwetkę, albo uczestniczą w nocnych wyścigach samochodowych. „Dla mocnych wrażeń”.

To nie dla mnie.

Podnoszę się z ławki i ruszam w stronę drzwi.

- Co z tobą? - pyta geograficzką.

- Niedobrze mi - odpowiadam zgodnie z prawdą. Wychodzę z klasy, a potem z budynku szkoły i siadam na murku obok sklepu. Między cegłami w zaprawie mrowisko. Czarne mrówki. Wszystkie w biegu. Do końca ich mrówczego życia. Po co im to? Czuję w sobie odpowiedzialność za losy innych i zduszam palcem kilka z nich. Uwolniłam je od ciężaru bezsensownego życia...

Ale zrobiłam to tylko w myślach.

Mrówki biegają nadal. Jedna jest już na moim udzie. Dzwonek. Nie chce mi się wracać.

Nie - ja histeryzuje. Na pewno by się dotarła z Izem, postąpiłam zbyt pochopnie, bo on nie należy do facetów, którzy gadają o uczuciach. Wszystko to moja wina, jestem emocjonalnie zapóźniona, nie znam życia i facetów.

Co z nią teraz będzie?

Od wczoraj próbuję ją przekonać, że zrobiłam dobrze, rozstając się z Izem. Roz - sta - jąc! Jak to brzmi. Tylko jedna wspólna noc. Nie było wcześniejszego trzymania się za ręce, nawet nie

wiem, jak ma naprawdę na imię.

Ona, z oślim uporem, powtarza, że gdybym ogólnie wyluzować, wyszłoby to nam na dobre.

Już nie mam do niej siły.

Od strony szkoły szybkim krokiem idzie Anka. Z rękami w kieszeniach, falującym biustem i wściekłą miną. Wczoraj rano wyprowadziła się ode mnie definitywnie. Uznała, że może będę chciała teraz pomieszkać z Izem. Bardzo dobrze. Muszę teraz mieć spokój, żeby zastanowić się nad wieloma sprawami.

Zauważa mnie i podchodzi.

- Cholera! Trzeba było wyjść z tobą. A tak dałam się wciągnąć w całą tę idiotyczną farsę - ledwo dyszy z gniewu. - Idiota Debeściak oświadczył, że jako dorosły i odpowiedzialny, zacznie unikać seksu z przygodnymi foczkami... Ludzie wyli, geograficzka o mało nie padła trupem. No i się zrobiła głędoła o odpowiedzialnym seksie, o odpowiedzialnym wyborze odpowiedzialnego partnera na całe życie... Najwięcej tokowała nasza główna anorektyczka i Gofa. A potem, na szczęście, był dzwonek...

- Co mówiłaś?

- Że chcę dojść do tej odpowiedzialności po swojemu. Bez rad, uwag, nauczania. Czyli sama! Nawet jeśli bym miała robić po drodze rzeczy nieodpowiedzialne.

- I co?

- Zakrzyczeli mnie - wzrusza ramionami. - Że niby albo się odpowiedzialnym jest, albo nie jest. Że tego się nie można nauczyć, jak jazdy na rowerze.

Patrzę na nią uważnie.

- O co się tak naprawdę wściekasz?

- O nic.

- Anka...

- Marcyśka... - przedrzeźnia mnie. - Dobra, powiem ci. Odkąd wróciłam do domu, stara przyczepiła się do mnie o tysiąc rzeczy. Bałagan w łazience, kubek nie w zlewie, tylko obok, Bebeś zadzwonił, a to już po dziesiątej... Jeszcze będziesz się

chwalić, że mieszkałaś kiedyś ze złą dziewczyną, która zabiła swoją starą...

- To się nazywa matkobójczyni - podsuwam spokojnie.

- Właśnie. Potem w pierdłu napiszę pamiętnik i zostanę sławna i bogata. O tobie też wspomnę... Aha, mam ciągle twoje klucze. Zapomniałam ich dziś.

- OK. Oddasz, kiedy ci będzie pasować.

- Możesz być spokojna, że nie będę pod twoją nieobecność zapraszać tam Bebesia. A jak tam u ciebie w ogóle?

- W porządku - odpowiadam stanowczo.

- Jakoś nie wyglądasz kwitnąco. Mów.

- Życie mi się gmatwa. Takie mi się robią... życiowe supełki.

Supły.

- Historia z dupkiem... sorry, Izybarem, to jeszcze żaden supełek. Wiesz co? Pierwszy raz jesteś taka gadatliwa - szturcha mnie w kolano.

- Już mi przeszło. - Uśmiecham się.

- Wychodzisz na ludzi. Pomalutku, bo pomalutku, ale wychodzisz. Marcynia, a co z Seksownym Tyłeczkiem?

- Nic - odpowiadam i wzruszam ramionami.

- Szkoda, lubiłam go. I to wcale nie za seksowny tyłeczek.

Aha, jeszcze jedna rzecz...

- No?

- Będzie supełek, jak wpadniesz. Nawet supeł...



*6 kwietnia, wtorek*

Karolka ściągnęła mnie z łóżka o szóstej, więc przed wyjściem do szkoły zdążyłam nastawić pranie, ugotować barszcz, przypomnieć nie - ja, że ma się brać w garść, a nie czekać na ogolonego Iza z bukietem czerwonych róż.

Ale był moment, że razem z nią nadśluchiwałam kroków na klatce. Ma, idiotka, dar przekonywania.

Anki nie ma. Już po polskim. Dwie godziny. Teraz przerwa. Przed nami chemia. Sprawdzian. Ale nikt o nim nie myśli. Pojawił się inny temat. Debeściak zaproponował kolejną imprezę u siebie. Tym razem nie w domku, a w rezydencji. O tej rezydencji chodzą ploty, że ma kilkanaście pokoi na każdym piętrze, a pięter jest kilka, że są dwa baseny, korty, małe pole golfowe. Jest ogrodek, dwie kucharki, trzy pokojówki. Debeściak utrzymuje, że to młodziutki Rosjanki, które za parę złotych zrobią wiele rzeczy.

Matka Debeściaka zajmuje się jedynie ustawianiem nowych kompozycji kwiatowych, ojciec polityką i biznesem, a Debeściak wydawaniem pieniędzy i używaniem życia.

- Będą pokojówki? - mlaska oblesnie Kaspian. - Bo mam trochę kasy do upłynnienia. I wymagania. Pewne.

- Będą, chyba że wolisz młodziutkich kelnerów - odzywa się Gofa. - Debeściak na pewno załatwi.

Jak mnie denerwują takie żarty! Wstaję z ławki. Sięgam do plecaka po jabłko i ruszam w kierunku drzwi.

- Ej, Marcjanna, Marcjanna! - huczy naraz Debeściak. - Tak?

- A jak tam z wami małorolnymi?

- Co jak? - nie rozumiem.

- No, wy jesteście bliżej natury. Obrabiacie owieczki i kózki, nie? - wybucha paskudnym śmiechem. - Marcyśka, powiedz, nie daj się prosić.

Policzki mi płoną, w uszach słyszę szum. Robię krok w stronę drzwi, ale Debeściak zastępuje mi drogę. Nogi w rozkroku, ręce w kieszeniach, kosmate myśli.

- Przestań - mówię.

- To może inne pytanie. A dziewczyny, tam u was, to cnotę tracą, przechodząc przez płot, nie? Kurna, co to za rumieńce? A ty? Z taką figurą modelki? To jak było? Na sianie? - rechocze, z nim połowa klasy, może nawet wszyscy. Zewsząd słyszę ten głupi śmiech. - To co? Sianko? Z wiejskim osiłkiem?

Zanim zdążę zastanowić się nad tym, co robię, kopię go między nogi. Tak jak mnie tego uczyły wiejskie osiłki. „Żebyś się mogła bronić”.

Debeściak zwija się z bólu.

Obok niego wszyscy. Już nie rechoczą. Sięgam po plecak i wychodzę z klasy.

Nie pada ani jedno słowo.

\* \* \*

Od dłuższego czasu tkwię przed telewizorem. Na ekranie jakaś debata polityczna, w głowie rój myśli... Wyrzucą mnie ze szkoły, to pewne, jeszcze będę musiała przeprosić Debeściaka. Dostanę opinię... I co? Mam ją pokazać w kolejnej szkole? Przyjmą mnie w trakcie roku szkolnego? A co, jak będzie komplet? W liceach zawsze jest komplet... A ta nieszczęsna opinia będzie się za mną ciągnęła i ciągnęła.

Słyszę, jak chrobocze klucz w zamku.

Anka!

Zapłakana!

Bez słowa kieruje się do kuchni. Ruszam za nią. Boże, jak ja teraz nie mam ani ochoty, ani nastroju na słuchanie o cudzych problemach. Mam dosyć własnych. Siada na parapecie. Stawiam wodę na herbatę.

- Mów. - Im szybciej powie, z czym przyszła, tym szybciej pójdzie. - Pokłóciłaś się w domu? - Sięgam po kubki.

- Jestem w ciąży...

Buch! Niebieski kubek wylatuje mi z rąk i ląduje na podłodze. Wystraszona Karolka umyka do przedpokoju.

- Jak to?

- Cholera! Normalnie! - Podkurcza nogi, opiera głowę na kolanach i zaczyna się rytmicznie bujać. Przód, tył, przód, tył...

- Przestań! - wybucham, a potem się mityguję. Przecież nie wolno krzyczeć na ciężarną.

Anka nadal się kołysze, a ja bym najchętniej pobiegła za Karolką.

- Zrób kawę - mruczy.

- Zapomnij. Zrobię ci słabą herbatę, albo... bawarkę.

- Oj, przestań! - Zeskakuje na podłogę i zaczyna chodzić od zlewu do lodówki, od lodówki do zlewu. Boże, jak mnie to wkurza! Gryzę się w język, żeby znowu na nią nie huknąć. - Dawaj kawę.

Ręce mi się trzęsą, rozsypuję kawę, upuszczam łyżeczkę. Na odczepnego robię dwie - mocną dla siebie i lurę dla niej.

- Rozmawiałaś z Bebesiem? - pytam cicho.

- Zgłupiałaś? Żebym musiała wysłuchiwać jego lamentów pod hasłem, co my teraz zrobimy? Nie mam teraz siły go pocieszać. - Pociąga nosem. Ma czerwone oczy.

- Anka... Może jednak się mylisz?

- Na pewno nie. - Zwiesza głowę. - Jak mi dwa lata temu wycinali wyrostek, to ofiara cały czas się martwiła, co będzie, jeśli się nie wybudzę albo mi zostawią w brzuchu nożyczki i tak dalej. Musiałam go uspokajać, że na pewno wszystko się uda...

- Ja o ciąży...

- Zrobiłam sobie test. Kurna, co teraz? Może zażyję wszystkie tabletki starej, a potem je popiję piwem, co? To by było rozwiązanie - płacze.

Jezu, co ona gada! Mam ją przytulić, powiedzieć nieśmiertelne słowa, że będzie dobrze, czy raczej wrzasnąć, że gada głupoty?

Wybieram połowiczne rozwiązanie. Przytulam ją. Półgłosem mówię, jaką jest idiotką, skoro wygaduje takie głupoty, bo wszystko się ułoży. Ale nie nadaję się na pocieszycielkę, mam własne supły.

Trafiła pod zły adres.

Pakuje ją do łóżka. Cały czas chlipie. Tak jakby coś wyszło z niej całą witalność. Z dawnej Anki została tylko jej cielesność i niepohamowany płacz.

Przynoszę kubek melisy i dużą paczkę chusteczek higienicznych. Poprawiam kołdrę, poduszkę. Już nie płacze, teraz tępo wpatruje się w swoje dłonie.

- Idę się kąpać - mówi cicho.

- Ręczniki wiesz gdzie.

Znika w łazience. Słyszę, jak mruczy do siebie. Chodzę bezmyślnie po mieszkaniu i nie potrafię zebrać myśli. Supelki, supły, węzły. U każdego. Naraz płacz przechodzi w potworne zawrodozenie. Łapię za drzwi łazienki. Na szczęście ich nie zamknęła.

Istna sauna! Wszystko zaparowane, nie ma czym oddychać. Piecyk huczy, ustawiony na maksimum. W wannie pełno wody. Goła Anka siedzi na jej brzegu.

- Co ty wyprawiasz!? - krzyczę przerażona.

- Nie mogę tego zrobić. I nie zrobię... Cholera. Cholera!

- Zgłupiałaś?! Zgłupiałaś? - powtarzam.

Wyjmuję korek z wanny. Uch, ukrop. Narzucam na Ankę szlafrok i prowadzę do pokoju. Trzęsie się jak galareta. Nieustannie płacze.

- Oj, przestań. Pomyśl o dziecku - mówię, na co wybucha prawdziwym rykiem.

- Źle mnie zrozumiałaś, nie o to mi chodziło! - tłumaczę się gorączkowo. - Nie chciałam cię denerwować...

Anka buczy z poduszką na głowie.

- Zostaw mnie! Chcę być sama! - Anka, proszę...

- Daj mi spokój.

Delikatnie dotykam jej ramienia i wychodzę. Ale nie idę do siebie, tylko siadam na podłodze w przedpokoju. Stąd mam dobry widok na pokój. Muszę jej pilnować. Żeby jej nic głupiego nie strzeliło do głowy. Przybiega do mnie Karolka i wchodzi na kolana.

Anka cały czas płacze.

Nie potrafię jej pomóc.

Nikt nie potrafi.

Idę do siebie dopiero wtedy, gdy zasypia.

*7 kwietnia, środa*

- Marcyśka, Marcyśka, wstawaj! - Otwieram oczy. Nade mną opuchnięta od płaczu twarz Anki. - Spóźnisz się do budy.

- Głowa mnie boli - mruczę i odwracam się na drugi bok. - Nigdzie nie idę.

- Cholera, nie musisz mnie pilnować! - wścieka się. - Już nie zrobię żadnego głupstwa.

- Zostaję.

- Nie wkurzaj mnie! Muszę pomyśleć.

- Nie będę ci przeszkadzać.

- Przez dziewięć miesięcy będziesz mnie pilnować? - Anka...

- Marcyśka, cholera jasna, nie zrobię tego, możesz być spokojna. Zbieraj się - dodaje miękko.

Jej życie, jej supły.

Ja muszę pozastanawiać się nad własnymi.

Łazienka, kawa. Anka tkwi bez ruchu na parapecie w kuchni. Obskubała już połowę paprotki. Łapię plecak i wychodzę z mieszkania.

Do czternastej wałęsam się po mieście. W empiku przeglądam kilka albumów. Potem kebab i korki.

Cały czas towarzyszy mi widmo Debeściaka i ciężarnej Anki.

W domu jestem po osiemnastej. Gdy w przedpokoju morduję się z butami, z kuchni wychyla się Anka. Ma dziwną minę.

- I jak?

- OK.

- Chodź coś zjeść...

Zupa z torebki. Kanapki z serem. Nadal napuchnięta twarz Anki i jej czujny wzrok.

Coś jest nie tak.

- Anka? Co się stało? Z rozmachem przysuwa sobie krzesło i siada na nim. Opiera łokcie na stole.

- Zadzwoiła Gofa. Jakbym miała kontakt z tobą, mam ci powiedzieć, żebyś jednak przyszła do budy. Bo twoja komora jest

wyłaczona! - już nie mówi, tylko wrzeszczy. I macha rękami. - Kopnęłaś w jaja Debeściaka! Od obcych się muszę dowiadywać? Przyłożę do ciebie w środku nocy, zawracam ci głowę, a ty nie możesz wydusić z siebie ani jednego zdania?

- Jasne, ty mi mówisz, że jesteś w ciąży, a ja ci na to, że kopnęłam Debeściaka między nogi. - Zaczynam być wściekła.

- To chciałaś wtedy usłyszeć?

- Wtedy nie!!! „

- To o co ci chodzi?

- Mogłaś mi to powiedzieć rano!

- Ale nie powiedziałam! - też wrzeszczę.

- O to mi, cholera, właśnie chodzi!

Jestem już w przedpokoju. Buty, kurtka, plecak. Otwieram drzwi wejściowe.

- A ty znowu gdzie?

- Gdziekolwiek - odpowiadam i wychodzę.

- To twój sposób na życie, co? Głowa w piasek. Marcyśka!

- drze się na całą klatkę. - Wracaj, do cholery! - Gdzieś strzelają drzwi. Jakiś ciekawski sąsiad. - Marcyśka!!! Wracaj!

- Gówno! - odkrzykuję pełnym głosem.

Wściekła wypadam na ulicę. Teraz nad Wisłę. Utopić się. I będzie koniec ze wszystkimi problemami. „Od obcych się muszę dowiadywać!”

Nie chodzi o supeł, tylko o to, że jej o nim nie powiedziałam. Co by to dało? Której z nas by to pomogło? Bo na pewno nie mnie.

- Pani młoda, ja powróżę. - Podchodzi do mnie niska Cyganka w długiej czarnej spódnicy i szarej bluzce.

- Nie mam pieniędzy - kłamię i czuję, jak nie - ja aż się skręca z ciekawości, co też może powiedzieć jej stara Cyganicha.

- Parę złotych. Los cały ci powiem...

- Mam tylko tyle. - Sięgam do kieszeni spodni i wyławiam z niej parę monet. Nie - ja mnie przekonała.

- Szesnaście złotych - mruży Cyganka. - Mało. Nawet na pół losu nie ma.

- Mówiłam... - Odwracam się na pięcie, żeby odejść.

- Daj pieniądze i rękę. Lewą... Ty młoda, ładna... Samotna, męża nie masz... - Uśmiecham się pod nosem, a nie - ja aż gryzie palce ze zniecierpliwienia. - Ale tutaj - stuka palcem w środek mojej dłoni - tutaj widzę problem... Daj jeszcze pięć złotych, powiem, jaki to problem...

- Wszystko już pani dałam - przypominam.

- Chłopak jakiś, sympatia chyba. Tak, wysoki... wysoki, ty o nim myślisz.

- I co? - szepcze nie - ja.

- Jeszcze jeden jest. Dwóch jest wokół ciebie. - Nie - ja ma oczy szeroko otwarte ze zdumienia. Chłonie każde słowo Cyganichy. - Ale ty tak naprawdę sama jesteś...

- A co z tymi chłopakami? - pyta nie - ja. I czeka, aż usłyszy, że jeden z nich myśli o niej cały czas. Że on dobry, choć może szorstki w obejściu.

- Żaden nie dla ciebie.

Wyrywam rękę. Nie - ja ma ochotę się rozplakać.

- To wiem i bez pani - syczę. - Od dawna.

Nie - ja dostaje spazmów, na odczepnego daję jej gumę, którą znajduję w kieszeni kurtki, żeby czymś zajęła myśli, i wskakuję do tramwaju akurat podjeżdżającego na przystanek. Nie - - ja żuje i ciągle myśli o iskrach i Izie. I o tym, że nie dzwoni, po prostu nie wie, co miałby powiedzieć, jak przeprosić.

Albo zgubił numer jej telefonu!

A ja myślę o tym, że przy Olafie nie ma elektryzujących iskier, ale jest spokój. Ze jest przewidywalny w dwustu procentach.

I, po raz kolejny, czuję, że nie lubię nie - ja.

Współczuję jej, próbuję zrozumieć, ale coraz bardziej denerwuje mnie jej potworna ograniczoność i infantylność. „Zgubił numer”!

Wysiadam przy Błoniach. Siadam na ławce pod klonem. Na prawo kopiec Kościuszki, na lewo wieża kościoła Mariackiego. Za mną na alejce rowerzyści, rolkowcy, dzieci i psy. Przede mną psy,



ich właściciele i kilku chłopaków grających w nogę.

We mnie burza.

Nie - ja pomału uspokaja się. Ja też. Już łapię, o co jej chodzi. Bidulce się wydaje, że skoro straciła dziewictwo z Izem, to on jest zobowiązany starać się o nią i zabiegać.

A w żadnym przypadku nie traktować jak obcej.

Próbuję idiotce wytłumaczyć (chyba już z tysięczny raz), że to, co jest ważne dla niej, nie musi być ważne dla niego. To skończona sprawa. I jeśli ma się nad czymś zastanawiać, to może nad tym, aby skończyć z romantyzmem i przerzucić się na pragmatyzm. Czyli myśleć o rudym.

Ona prycha i mówi, że powinnam o tym pamiętać w bramie. A potem na tapczanie...

Mam ochotę ją zabić!

\* \* \*

Siedzę na przystankowej ławce. Według rozkładu tramwaj ma być za dwadzieścia minut. Błonia opustoszały. Trudno się dziwić, za parę minut północ.

Kulę się i podciągam nogi pod brodę. Mam nadzieję, że gdy wrócę, Anka już będzie spała. Nie mam ochoty na żadne rozmowy. Ile jeszcze do przyjazdu? Siedemnaście minut! Zamarznę do tego czasu.

Przejeżdża taksówka, potem rowerzysta. I samochód z otwartymi oknami, z którego środka dudni hip - hop, a jakiś chłopak macha do mnie. Wesoły samochód znika za zakrętem i naraz, już bez dudnienia, podjeżdża tyłem na przystanek. Trzaskają drzwi od strony kierowcy i na ulicy staje Olaf.

- Marcyśka? - pyta z niedowierzaniem.

- Tak - naraz zasycha mi w gardle.

Olaf coś mówi do chłopaka. Ten wysiada. Podają sobie ręce. Chłopak kiwa kudłatą głową i rusza w kierunku akademików. Rudy podchodzi do mnie.

- Podwiozę cię. Chodź.

Mam ochotę powiedzieć, że nie trzeba, że sobie poradzę, ale

przypominają mi się ciepłe palce na karku, supeł w szkole, supeł w domu...

- Dobrze.

Jedziemy powoli. Śmierdzi papierosami. Obok moich stóp przewala się kilka pustych puszek po piwie.

- Co tu robiłaś?

- Wracam do domu. Wcześniej byłam na spacerze.

Olaf wrzuca kierunkowskaz i zatrzymuje się na poboczu. Wyłącza silnik. Smukłymi, piegowatymi palcami stuka w kierownicę. Jest zdenerwowany.

- Będzie rozmowa. Długa - wyjaśnia. - Marcyśka, co się dzieje?

Powinien mnie przytulić, pogłaskać, a nie gadać! Jedną ręką sięgam po plecak, który rzuciłam na podłogę, drugą kładę na klamce.

- Wracam na przystanek - mówię cicho. - Nie mogę teraz rozmawiać... Nie chcę. Ani z tobą, ani z nikim. Może jutro, ale na pewno nie dziś. Przepraszam...

Łapie mnie za rękę.

- OK... - włącza silnik.

Opieram głowę o zagłówek i choć mam przymknięte oczy, wiem, że często na mnie spogląda. Nie - ja szepcze mi do ucha, że Olaf pewnie zaraz otuli mnie swoją kurtką i spyta, czy nie jedzie za szybko.

- Jesteśmy na miejscu - mówi rudy.

Otwieram oczy. Przed nami dwupiętrowy dom obrośnięty winoroślami, wysokie ogrodzenie, oświetlony ogród.

- To znaczy gdzie?

- U mnie. Tu mieszkam. Starych nie ma w Krakowie - odpowiada swobodnie.

- Po co tu mnie przywiozłeś?

- Powiedziałaś, że nie chcesz teraz z nikim rozmawiać... - W jego spojrzeniu nie ma nawet ani jednej nutki ciepła.

- No to co z tego?

- Anka na pewno będzie chciała pogadać.

Ona mnie zamęczy! Nic jej nie powiedziałam. Zrobiłam straszne głupstwo. Jestem zamknięta w sobie, niedorozwinięta... A potem jak mnie już całkowicie zdołuje, będę musiała ją pocieszać. Wszystko będzie dobrze. Skończysz liceum, potem studia. Dziecko w tym ci nie przeszkodzi. Bebeś wydorosleje, a twoja wredna matka odnajdzie się w roli kochającej babci.

Podejmuję decyzję. Jutro się z tym zmierzę. Jutro będę się czuła lepiej, dziś nie.

- Nie będziemy dziś rozmawiać? - pytam. - Nie.

- Obiecujesz?

- Obiecuję - mówi stanowczo.

- A rodzice, kiedy wrócą?

- W przyszłym tygodniu. OK? Kiwam głową.

Nie - ja prycha.

Nie jest zadowolona z mojej decyzji. Ona by wolała, żebym zadzwoniła do Iza i wychlipała, że za nim tęsknię i o nim myślę. Mam go jeszcze przeprosić?

Może zaproponuję jej kompromis? Zadzwonię do Iza. Ale powiem mu, że może się wypchać.

Olaf lokuje mnie w pokoju gościnnym, na parterze. Jasne tapety w pasy, łóżko z rzeźbionymi nogami, sekretarzyk, przy nim krzesło, fotel, szafa z intarsjowanym motywem kwiatowym. Dużo roślin w porcelanowych doniczkach. Wszystko jak z Desy. Boję się takich mebli. Z tego, co zdążyłam zobaczyć, cały dom utrzymany jest w tym stylu.

Siedzę w fotelu i patrzę na rudego wyjmującego z szafy puchaty koc, poduszkę, pościel. Markowe džinsy przetarte na kolanie, czarna markowa koszulka. Myślam, że jest w innej galaktyce. Pewne, że nie jest zadowolony z mojej obecności. Znam doskonale to uczucie. Człowiek działa pod wpływem impulsu, a potem tego żałuje.

- Zawieź mnie jednak do domu, co? - proponuję naraz.

- Nie gadaj głupot - odwraca się w moją stronę i uśmiecha.

- Gdzie twój pies? - pytam, bo coś mówić trzeba.

- Wyjechał ze starymi. Takie przedwakacyjne wakacje na

Mazurach. A Karolka? O tym możemy rozmawiać?

- O tym tak. A co? - nadymam się.

- A to, że chcę cię jednak sprowokować do rozmowy.

- Obiecałeś! - ryczę.

Podtyka mi pod nos swój zegarek.

- Za dziesięć pierwsza. Marcyśka... - kuca przy mnie i kładzie mi dłonie na kolanach. - Już jest jutro... Mów.

Strącam jego dłonie i zrywam się z fotela.

- Możesz mi zrobić herbaty? - pytam głosem sztucznie wesołym.

Stoi przy mnie. Jest autentycznie wściekły.

- Marcyśka, cholera! Musimy w tej chwili porozmawiać.

- Nie mamy o czym.

- O nas.

- O nas? - zaczynam kwiczeć ze śmiechu. - Ty to ty, a ja to same problemy. Mam problemy ze sobą, inni mają problemy ze mną, ja mam problemy z innymi. Nie jestem taka, jaka chciałabym być! O nas! - zanoszę się ze śmiechu.

Nie - ja jest przerażona.

Ja też.

Jeszcze nigdy nie powiedziałam nikomu tyle o sobie. Mam tylko nadzieję, że on to potraktuje jako nocny bełkot. Wszystko to wyrzuciłam z siebie z opuszczoną głową. Teraz powinnam tę głowę podnieść i zobaczyć jego minę.

Mina jak mina. Ale raczej kojarzy mi się ze zbliżającym atakiem furii niż pragnieniem porwania mnie w ramiona i obsypania pocałunkami. Jak nic zaraz zaczniemy się kłócić.

Olaf spogląda gdzieś nade mną. Puścił moje nadgarstki. Nadal stoi blisko, ale między nami są tysiące kilometrów lodu.

- Mam ci dać spokój?

Nie - ja szepcze, że Iz by nie pytał, tylko zaczął działać. Czyli albo mną potrząsnął, albo zaciągnął do łóżka. I byłyby iskry.

- Nic nie zrozumiałeś! - wściekam się. Na nią, na siebie, na Olafa, na Iza. - Nic a nic.

- Zrozumiałem - odpowiada spokojnie. - Może nawet więcej,

niż ci się wydaje.

Mnie się już nic nie wydaje. Ja mam już wszystkiego dosyć. I nie nadażam za swoim popieprzonym życiem.

- Przepraszam. Muszę do toalety - mówię i ruszam w stronę korytarza. A później po cichutku otwieram drzwi wejściowe.

Niskie lampy oświetlają alejkę prowadzącą do bramki. Podciągam się na rękach i przerzucam nogę nad nią. OK, już siedzę. Teraz zeskok, a potem długi spacer do domu. O tej porze już nic nie jeździ. Kurczę! Zapomniałam plecaka.

I właśnie wtedy nie - ja zaczyna mi coś szeptać. Też sobie znalazła miejsce i porę!

Przemyślała i zrozumiała. Iz to była kosmiczna pomyłka. Ależ z niej geniusz! Zdarzenie z tym dupkiem nie może zepsuć całego mojego życia. Ludzie popełniają błędy, chodzi tylko o to, żeby wyciągnąć z nich wnioski, ble, ble, ble... Mam sama sobie wybaczyć. Wracać do Olafa (jakbyśmy kiedyś byli razem!) i przestać udawać niedostępną, bo zachowuję się potwornie infantylnie. Ja się zachowuję infantylnie! Pytam ją w takim razie, co z wróżbą Cyganichy. Nie - ja prycha pogardliwie. I znowu od początku. Że to pomyłka, lepszy Olaf niż nikt. Ależ się z niej zrobiła pragmatyczka!

- Toaletę mamy w domu - mówi Olaf. Stoi obok bramki. Ramieniem dotyka mojej łydki. Nie słyszałam, kiedy tu przyszedł.

- Chciałaś zwiać - bardziej stwierdza niż pyta.

- To nie tak... - A jak?

- Nie chodzi o ciebie, tylko o mnie - wyrzucam z siebie.

- Konkrety?

- Ja jestem... głupia.

Nie - ja cmoka oburzona na ten mój niepotrzebny ekshibicjonizm moralny.

- Skacz. Złapię cię - mówi, jakby nie słyszał moich ostatnich słów.

To jakaś przenośnia życiowa? Nie wiem. I tak tkwię okramkiem na bramce, z niezbyt mądrym wyrazem twarzy, a Olaf śmieje się ze mnie zupełnie jawnie. Mam nadzieję, że jego są-

siedzi już śpią.

- Przesuń się...

Przekładam nogę, odpycham się od bramki i ląduję na alejce.

Podnoszę się. Stoi przy mnie. Już się nie uśmiecha.

Patrzymy na siebie.

Kładzie mi dłonie na karku. Przytula.

- Tęskniłem za tobą - mówi cicho.

Nie - ja daję mi kuksańca. Nie reaguję.

Olaf mnie całuje.

Przez moment myślę o iskrach.

A potem już nie myślę, tylko oddaję pocałunki.

*8 kwietnia, czwartek*

Wpadam do mieszkania parę minut po jedenastej. Rozczochrana Anka siedzi z żółtym miśkiem na parapecie w kuchni. Dzwoniłam do niej wczoraj od Olafa. Wymógł to na mnie. Anka najpierw na mnie nawrzeszczała, że ją budzę, a potem poleciła być mądrą. Cokolwiek to znaczy.

- Cześć, i jak? - pytam. Schylam się do Karolki, która pojawia się koło moich nóg.

- Cholera! Powiedziałam Bebesiowi! - A on?

- Najpierw o mało nie odjechał na serce. A potem powiedział, że sobie poradzimy! Żebym się nie martwiła - pociąga nosem. - I kazał mi iść do lekarza. A potem coś mi kupił.

- Pierścionek?

- Bebeś jest oryginalny.

Biegnie do łazienki i przynosi z niej ogromniasty beżowy biustonosz. Miseczki są wielgachne! Zakłada go na siebie, wprost na czerwoną bluzę. Wybucham niepohamowanym śmiechem.

- Stanik dla karmiącej matki - tłumaczy. - Nawet nie wiesz, jaki był dumny, gdy mi go dawał...

- Widzisz, zaczyna się układać - mówię.

- Gówno prawda... - wzdycha.

Milkniemy na moment. Ona znowu markotnieje, a ja myślę o Olafie. Delikatność, ciepło, spokój, mało rozmów, dużo milczenia, pieszczoty, krótki wspólny sen na skórzanej sofie w salonie, potem wspólne śniadanie.

- A ty jak? Jak było z Seksownym Tyłeczkiem? - pierwsza przerywa milczenie. Odgarnia włosy za uszy i patrzy na mnie ponuro.

- W porządku.

- Jesteś cholernie wylewna.

- Muszę pomyśleć.

- OK. Teraz proza życia. Mam kuzyna lekarza. Zadzwońię do niego. Skombinuje nam zwolnienia, bo tych zaległości w budzie

już mamy za dużo.

- Ja nie potrzebuję - mówię szybko.

- Oj, nie pieprz - krzywi się. - To żaden kłopot. - Nie.

- To jak wytłumaczysz tyle nieobecności?

Kładę Karolkę na parapecie i sięgam po mineralną i szklanę.

- Przecież wiesz - mówię cicho.

- Nie wiem. Cholera, coś nowego? Tym razem kopnęłaś dyrektorkę? - Zdejmuje stanik.

- Przecież mam wylot za Debeściaka.

- Jaja sobie ze mnie robisz? Z ciężarnej?! - krzyczy. Stanik ląduje na lodówce, a ona rozpoczyna swoją wędrówkę po kuchni. Okno, drzwi, okno. - Skąd to wiesz?

- Znikąd. Po prostu wiem.

- Nie rozmawiała z tobą Gofa? - pyta z niedowierzaniem.

- Gofa?

- Cholera, chyba mówię wyraźnie. Nie dzwoniła do ciebie?

- Po co?

- Żeby ci powiedzieć, że nie ma żadnej sprawy. Debeściak uznał to za kosmiczną żenuę, że go dziewczyna kopnęła w jaja. Zakazał o tym rozpowiadać... Czaisz?

- Nie.

- Nikt o tym już nie pamięta. - Wyrzuca ręce do góry. - Ludzie teraz żyją kolejnym koncertem, mają własne życie... Gofa mówiła, że zadzwoni do ciebie.

- Nie zadzwoniła.

- Widocznie zapomniała... Widzisz, już o tym nikt nie pamięta.

- A może Debeściak zmienił zdanie? Anka rusza do dużego pokoju. Wraca z komórką przy uchu.

- Gofa? Hej. Możesz rozmawiać? Co, cholera, ty też?

- Co? - szepczę.

- Wagaruje jak my. Gofa, co tam z jajkami Debeściaka? Bo tu Marcyśka panikuje, że ją wypieprzają ze szkoły... Wiem, wiem, dobra, powiedz jej to sama.

Podaje mi telefon.



- To ja! - mówię cicho.

- Marcyśka, sprawa nieaktualna. Nikt z nauczycieli o niczym nie wie - śmieje się Gofa. - A po drugie, za takie coś nie wyrzuca się z budy. Jesteś tam?

- Mhm.

- Wyluzuj. Nara.

- Nara! - rozłączam się.

Boże! Nie ma wylotu, jest Olaf, nie - ja przestała dogadywać...

Może to znaczy, że skończyła się zła passa? Opada ze mnie strach, obawa. Czuję się lekka jak piórko. Patrzę na Ankę rozjaśnionym wzrokiem.

- Cholera, Marcyśka, co znowu?

- Idziemy na kawę i lody. Ja stawiam - rozpiera mnie radość.

- Nie chce mi się - krzywi się.

- Chodź - proszę. - Muszę to jakoś uczcić. A jutro do budy.

- Niech będzie.

Wychodzimy po piętnastu minutach.

Zdecydowanie najbardziej cieszy mnie to, że nie - ja zamilkła.

\* \* \*

Dobrego humoru ciąg dalszy. Mam ochotę wszystkich uszczęśliwić, żeby poczuli to, co ja.

Uśmiecham się do ludzi, ustępuję miejsca w tramwaju.

Kupiłam Ance książkę o „hodowli” dzieci, sobie wodę toaletową, na którą już dawno miałam ochotę, byłam na poczie, wysłałam pięćset złotych na adres ciotki Tosi. Ma je przekazać mamie. Dałam biednemu dwa złote, co Anka skomentowała: „milionerka jedna”.

Jesteśmy już w domu. W dużym pokoju.

Anka siedzi w fotelu, z nosem w książce. Mruczy, klnie, wydaje z siebie okrzyki niedowierzania. Ja przygotowałam pół kilo krzyżówek z angielskiego, teraz wygłaskuję Karolkę za wszystkie czasy.

- Kurna, nie przeżyję tych zgage, obrzękniętych nóg i parcia na pęcherz! Cholera jedna!

- Przeżyjesz - odpowiadam spokojnie. - Nie ty pierwsza.

- Oj, jak masz takie głupoty gadać, to już lepiej się zamknij! - Z hukiem zamyka książkę.

- Ta Sylwka, no ta, na której ślubie byłam, jest w ciąży i też rzygała. Teraz jej lepiej. Troszkę - dodaję uczciwie i postanawiam do niej dziś zadzwonić. Jej supełek powinien być już widoczny.

- Na ślubie! - prycha. - Mnie by po nim też było lepiej.

- Musisz porozmawiać z matką - mówię cicho. - To cię nie minie.

Odkłada książkę na podłogę i pędzi do kuchni. Ja za nią.

- Gdzieś schowała kawę? - warczy z czerwoną puszką w ręku. - Bo pusta!

- Bo się skończyła. Musisz z nią porozmawiać. Anka rzuca puszką w kąt kuchni.

- Cholera jasna! Powtarzasz jak papuga. Może u ciebie by przeszedł numer rozmowy z mamusią na temat „Jestem w ciąży”. Mnie stara zabije, zanim zdążę otworzyć usta.

Patrzę na nią z lekkim uśmiechem.

- Coś ci się porobiło z twarzą?! - wrzeszczy. - Czy z szarymi komórkami?

- Mam jeszcze rozpuszczalną. Może być?

- Musi - odpowiada już w miarę spokojnym tonem. Sięgam do lodówki po serek owocowy, a do szafki po paczkę musli.

- Zrobię ci kawę, jak trochę zjesz - mówię.

- Sama sobie zrobię! - znowu wrzeszczy.

- Zjedz, a powiem ci jak jest naprawdę z moimi starymi - proponuję naraz.

Już otwiera serek i dziobie w nim łyżeczką.

- Mów, mów - poganiam mnie z pełnymi ustami. Wymiata aż miło.

- Jeszcze musli - przypominam.

Zjada dwie łyżki. Jestem z siebie dumna.

- Zaraz pęknę. A wcześniej wyrzygam - sapie. - Mów.

- Moi starzy chcą się rozwieść. Mama spotkała takiego jednego, dawnego narzeczonego... Na razie mieszka u babci...

Anka ma mokre oczy. Z kieszeni spodni wyjmuję chusteczkę i potężnie w nią dmucha. Robi mi się potwornie głupio.

- Okłamałam cię - mówię cicho.

- Co? - pytam.

- Z tym rozwodem.

- Żebyś zjadła, tak? Kurczę, jaki prymitywny chwyt! - jest potwornie wściekła.

- Oni się nie rozwodzą. Chociaż powinni... ale to inna sprawa. Starzy nie utrzymują ze mną żadnego kontaktu. Żadnego. Ojciec zachowuje się tak, jakbym w ogóle nie istniała...

Długa cisza. Ciężka. Czy mi lżej, że się wypowiedziałam? Raczej nie. I dodatkowo jest mi teraz wstyd. Że opowiedziałam o takim... brudzie.

- Nie wiedziałam... - odzywa się głupio.

- Pewnie. Bo i skąd - pryham.

- Ale czemu?

- Co czemu? Czemu się mnie wyparli? Bo jestem zła dziewczyna.

- Ale ci się pieprzy - Anka wybucha krótkim, nieprzyjemnym śmiechem. A potem zaczyna patrzeć na mnie podejrzliwie.

- Co? - pytam.

- Teraz też mnie okłamałaś, co?

- Teraz nie.

- A czemu nagle zrobiłaś się taka wylewna, co?

- Żebyś się wzięła w garść i przestała mi ciągle powtarzać, że tylko ty masz problemy w domu - odzywam się ostro. - Rozmowę możesz przesuwac, ale i tak cię nie ominie. Dobrze o tym wiesz.

Anka nabiera gwałtownie powietrza. Wybuchnie i mnie opieprzy.

- Ty nie jesteś zła dziewczyna - mówi zamiast tego.

- Powiedz to mojemu ojcu - uśmiecham się do niej ironicznie.

- Zgoda. A ty mojej starej, że będzie babcią. Dwa supły. Nic dodać. Nic ująć.

*21 kwietnia, środa*

Grzecznie na korki, grzecznie do szkoły. Oceny nadal mam dobre, nieobecności pousprawiedliwiałam, znowu jestem kujonem - Marcysią, wzięłam dwa referaty - z historii i polskiego.

Debeściak na mój widok zachowuje całkowitą obojętność, mama Maciusia skontaktowała mnie ze swoją koleżanką, panią Madzią, której córkę będę uczyła od przyszłego tygodnia. Życie wraca na dawne tory. Każda wolna chwila z Olafem. Spokój, spokój, spokój... Boże, jak mi tego brakowało!

Za mną święta wielkanocne. Spędziłam je tak, jak zawsze marzyłam. Bez szaleństwa porządkowo - zakupowego. Przed telewizorem. Nawet nie z książką. Gazeta z porządnym programem telewizyjnym, dużo chipsów, coli, soków, serów, bagietek i różnego typu sałatek. Żadne pisanki, święconki, bukieciki bukszpanu, szynki gotowanej w domu czy mazurka własnoręcznie pieczonego.

Ale było mi smutno.

Żadnych kartek świątecznych.

Chciałam zadzwonić do domu, lecz zrezygnowałam.

Życzenia złożyłam tylko pani Kamykowej. Podarowała mi babę drożdżową i cukrowego baranka. Jedno i drugie dałam tej biednej, która przyszła po ubrania dla dzieci. Tym razem miała ich szóstkę.

Anka i Bebeś pojechali na święta do Zawoi, do znajomych Bebesia. Chcieli mnie wziąć ze sobą, ale nakłamałam, że mamy już z Olafem swoje plany. Olafowi zaś powiedziałam, że będę musiała obskoczyć z wizytami kilka ciotek w Krakowie. Wiem, że zachowałam się nieładnie, ale potrzebowałam tych dni dla siebie.

Spotkaliśmy się tylko raz. U mnie. Zjedliśmy resztkę sałatki i wędliny, wypiliśmy wino, które przyniósł, wymyśliłam bajeczkę, jak to było u ciotek, oglądaliśmy jakiś film, całowaliśmy się. Zastanawiałam się, czy mu pozwolić zostać na noc, ale doszłam do wniosku, że nie ma co sobie komplikować życia.

Anka i Bebeś przywieźli mi z Zawoi powykręcany korzeń i oscypka.

Anka ma się wyprowadzić, gdy tylko wyjdzie z dołka. Jest w paskudnym nastroju. Pocieszam ją, ile mogę, ale to na niewiele się zdaje. Nadal nie zdecydowała się na rozmowę z matką i nadal nic nie je. Schudła. Gotuję te przysmaki, które polecała Sylwka. A potem zjada je Bebeś.

Staram się nie myśleć o Izie i myśleć o Olafie.

O tym, jaki jest dla mnie dobry, troskliwy, czuły.

Dziś mijają dwa tygodnie naszego chodzenia. Rano dostałam SMS - a na dzień dobry. Umówiliśmy się na wieczór. Teraz siedzę na chemii. Obok mnie zielona Anka. Nawet nie udaje, że słucha. Beznamiętnie wpatruje się w drzewa za oknem. Biedna.

Przepisuję do zeszytu wzory z tablicy. Ale myślami błądzę. Mebluję nowe mieszkanie, które niedługo kupię. Już mam postanowienie sądowe, już mogę sprzedawać mieszkanie jędzy. Będę mieć dwa pokoje. Sypialnia błękitna, duży biały. Przedpokój ciemnoróżowy. Kuchnia żółta. Mało mebli, może z IKE - i. Wszędzie doniczki z roślinami. Będę się tam dobrze czuć, bo to będzie moje miejsce na ziemi.

Dzwonek. Nareszcie. Chemiczka przypomina jeszcze o teście w przyszłym tygodniu i wychodzi z klasy.

- Co robimy? - przeciąga się Anka.

- Ty do domu. W lodówce jest rosół.

- Eee - wykrzywia się. - Nie wymawiaj przy mnie tego słowa. „Gotuj jej przysmaki”.

- A o kanapkach mogę mówić?

- Też nie. Dobra, wychodzimy.

Na korytarzu pustawo. W szatni, w naszym boksie, Maciek, Kaspian i Łukasz kombinują, gdzie by tu się załapać na imprezę w najbliższy weekend, Gofa esemesuje.

- Ej, Marcyśka, może by u ciebie? - proponuje naraz Maciek.

- Co ty na to?

- A może u ciebie? - woła Anka. - Niech tobie rzygają do doniczek i pod dywan.

- U mnie to ze starymi, a Marcyśka przecież sama mieszka - odpowiada. - Bronksy i żarcie przyniesiemy.

- Skąd wiesz, że sama? - pytam.

- Ode mnie - śmieje się Gofa.

- Szkoda, że tak późno się to wydało - mówi Łukasz. - To, co? Melanżyk?

- Raczej nie - mówi Anka i wypycha mnie z szatni. - Kurczę, ale z nich mózgi! Imprezy i imprezy! Najważniejsza rzecz w życiu! - gdera. I nagle zaczyna podskakiwać i wymachiwać ręką. - Tu jestem, tu!

W naszą stronę kieruje się Bebeś. Szeroki uśmiech, wytarte džinsy, wytarta skórzana kurtka. Już nie taki chudy, jak dawniej. Utuczony na przysmakach. Przyszły tatuś.

Obejmuje Ankę, do mnie mruga.

- Dziewczyny, idziemy gdzieś?

- Ja na angielski - ziewam. - A wy do domu i niech Anka coś zje.

- Eee, na pewno nie. O której będziesz?

- Nie wiem, potem też mam coś do załatwienia... - Udaję, że nie widzę, jak Anka przybiera wszechwiedzący wyraz twarzy.

- To milej zabawy - mówi nadal z tą samą miną. - A teraz odprowadzimy cię na przystanek.

Odprowadzają, machają, odchodzą.

Objęci.

A ja docieram do Maciusia, robię mu kartkówkę ze słówek, oglądam jego nowego jeepa na radio, dzwoni Olaf i umawiamy się na 19.30 u mnie, bo jednak chcę się przebrać, i jadę do domu.

W mieszkaniu zastaję tylko Bebesia. Siedzi w kuchni i wcina rosół. Informuje mnie, że Anka pognęła do apteki. Po jakąś herbatkę uspokajającą.

- Dla ciebie? - pytam zgryźliwie.

- Dla siebie. Wkurzyła się na mnie. - Podchodzi do miseczki z makaronem i bierze dokładkę.

- O co? - Sięgam do lodówki po serek, a do szuflady po łyżeczkę.

- Bo chcę, żebyśmy pojechali w przyszłym tygodniu do moich starych.

Czyli pierwsza wizyta u przyszłych teściów. Gdzieś w okolicach Zgierza.

- I co? - pytam.

- Opieprzyła mnie. Marcyśka, może ty ją namów, co?

- Ja ją namawiam, żeby porozmawiała z matką. - Patrzę na niego uważnie. - Ale mnie nie słucha.

- Cholera, mnie też. - Pociera dłonią zarośnięty podbródek. - Znam jej starą i wcale jej się nie dziwię.

- A masz lepszy pomysł?

- Poza cofnięciem czasu, to nie - prycha.

- Właśnie. - Biorę serek i znikam z nim w swoim pokoju.

Ile czasu do przyjscia Olafa? Niecałe pół godziny. Spokojnie zdążę wziąć jeszcze prysznic. Z ciuchami zamykam się w łazience.

Dwa tygodnie chodzenia. I dużo, i mało.

- Marcyśka, to ja! Ja! Wpuść mnie - wydziera się Anka pod drzwiami.

Wyłączę z wanny i przekręcę klucz. Wpada. Wściekła.

- Słyszałaś, co wymyślił mój narzeczony? Mamy jechać do teściuniów.

- To chyba niezły pomysł - mówię ostrożnie i zaczynam się wycierać.

- Ty też oczadziałaś?! - wrzeszczy.

- A co w tym złego?

- Bebeś sobie wyobraża, że pojedziemy, zjemy uroczysty obiad, ja powiem, że jestem w ciąży, jego starzy się zdziwią, potem ucieszą, przytulą mnie i pobłogosławią.

- A co?

- A to, że będą chcieli wiedzieć, co na to wszystko moi starzy! Rozumiesz?

Kiwam głową. Dobra, jestem już prawie ubrana. Gdzie ta nowa woda toaletowa? Została w pokoju. Zaraz tam pójdę, tylko wysłucham Anki do końca.

- Bierz Bebesia, każ mu się ogolić, kupcie jakieś kwiaty i idźcie na rozmowę do twojej matki. Zawsze to raźniej. A razem was nie zabije. Potem jedźcie do teściuniów. Będiesz mieć to wszystko już z głowy.

Anka klnie.

Zostawiam ją i idę do siebie. Muszę się przestawić na romantyczny, randkowy nastrój, bo na razie to robię za panią z telefonu zaufania. Gdzie ta woda? Jest.

Z kuchni dobiegają odgłosy awantury. To, że Anka wrzeszczy, to normalne, ale słyszę też wrzeszczącego Bebesia. No, nic tu po mnie. Poczekam na Olafa przed domem.

- Wychodzę! - wołam.

Z kuchni wygląda Anka. Podchodzi do mnie.

- Baw się dobrze. I ciesz się, że twój Olaf to nie dupek. Cieszę się.

\* \* \*

Mój Olaf jest punktualny jak w zegarku. Parkuje przed kamienicą o 19.25. Podbiegam do niego. Rozjaśnia się na mój widok.

- Coś się stało?

- Nic - odpowiadam i wsiadam do samochodu. - Wybierzmy się gdzieś za miasto, co? - proponuję.

- Za miasto? - powtarza. - To psuje moje dzisiejsze plany. OK, ale za chwilę - mruczy.

Długo się całujemy. Potem jedziemy do lasu.

Najpierw spacerowaliśmy, teraz siedzimy w aucie. Przytuleni obserwujemy światła przejeżdżających w oddali samochodów.

Olaf delikatnie głaszcze mnie po karku.

- O czym myślisz? - pyta naraz półgłosem.

- O niczym - odpowiadam zdecydowanie.

Znowu meblowałam mieszkanie. Duży pokój nie będzie biały tylko kremowy. I nikomu nie powiem, gdzie mieszkam. Tylko Ance i Olafowi. I żaden Iz nie będzie mnie nachodził.

- Wracamy?



- A która jest? Po dziewiątej? - Patrzę na zegarek. - Jeszcze chwilę.

Z chwilki robi się kolejna godzina magicznego spokoju. Jestem w domu parę minut po jedenastej. Zaczytana Anka podnosi wzrok znad książki i pyta:

- Jak było?

I zanim zdążę coś powiedzieć, nie - ja wybucha:

- Tak dobrze, że aż nudno.

22 kwietnia, czwartek

„Nudno”?!

Jak ta idiotka mogła coś takiego wymyślić?

Ja jej pokażę, że z Olafem nie jest nudno. Zresztą nadarza się świetna okazja. Wczoraj byłam na spotkaniu z Notołką. Najpierw mówił, że sprawa jest już całkowicie załatwiona, mogę się już cieszyć, spać spokojnie, a później wymienił, co powinnam jeszcze zrobić. Sąd, banki, znaczki skarbowe, biuro nieruchomości... Uśmiechałam się do niego uprzejmie i cały czas kołatała mi się w głowie myśl, jak to bardzo dobrze, że jest Olaf, bo on mi w tym wszystkim pomoże.

Anka i Bebeś są w stanie regularnej wojny. W ogóle ze sobą nie rozmawiają, tylko ryczą na siebie. On się wścieka, bo ona nie chce jechać do jego rodziców (wstyd), ona, bo on nie chce iść z nią do jej matki (strach). Dodatkowo Anka wrzeszczy ze sto razy dziennie, że powinna zacząć się starać o jakąś finansową pomoc dla dziecka, które na pewno urodzi się matołkowate po takim ojcu.

Próbowałam z nimi rozmawiać. I razem, i osobno. Wszystko na próżno, jak grochem o ścianę.

- Ale lepiej już umiem słówka, prawda? - przerywa mi rozmyślenia Zuzia.

To ta córeczka pani Madzi. Dziś jestem u niej po raz drugi. Nie cierpię jej. Taka z niej mała pańcia. Wielki pokój pełen barbie. Na ścianach plakaty modelek. Obok tapczanu półeczka z kremami, lakierem do paznokci, szczotkami, grzebieniami, lusterkiem i buteleczką wody toaletowej. Jej mama po mieszkaniu przemieszcza się zawsze w butach na obcasie i w obłoku perfum. Ale płaci trzy dychy za lekcje ze swoją „małą”.

Przywołuję na twarz uprzejmy uśmiech.

- Lepiej - mówię.

- To super. Bo ja będę modelką. To moje marzenie. Staram się sobie przypomnieć, jakie były moje marzenia, gdy byłam w jej wieku. Mieć komputer, dzinsowy komplet, taki jak Marzenka,

zobaczyć Paryż, a przede wszystkim nie musieć uciekać do cioci Tosi, gdy ojciec zacznie urządzać pijackie awantury.

Co się z tego spełniło?

Nic.

Nici z dobrego humoru.

Zuzka papie o tym, że mama zapisała ją na basen, na gimnastykę artystyczną, bo przecież modelka musi być wygimnastykowana, a gdy przyjdę następnym razem, to mi pokaże swoje zdjęcia zrobione przez prawdziwego fotografa, i w ogóle nie je słodczy, bo chce zgubić tłuszcz na brzuchu.

- Masz jakieś inne marzenia? - przerywam ten jej szczebiot.

Wielkie piwne oczy patrzą na mnie ze zdziwieniem.

- Nie. Tylko te o modelce.

A nic o tym, żeby ojciec po pijaku wpadł pod samochód? Żeby się zapił na śmierć? Żeby go któryś z jego kolegów - ochlapusów zatłukł siekierą?

Ze wściekłości i żalu nad moim parszywym dzieciństwem mam ochotę powyrywać jej te brązowe loczki i wydrapać bezmyślne oczka. Zadaję jej ćwiczenia do zrobienia, inkasuję pieniądze i wychodzę z mieszkania.

Siadam na schodach.

Wyjmuję komórkę i wybieram numer Olafa.

„Na smutki dobry nudny Olaf”, szepcze mi naraz nie - ja. „Spokój, nuda, spokój, nuda....”

Wściekła anuluję połączenie, wyłączam telefon.

Na zewnątrz leje. Postanawiam pójść do domu na piechotę. Muszę się pozbierać do kupy. Mój polar jest mokry w pięć minut. Wlokę się noga za nogą, nawet nie bardzo staram się omijać kałuże.

A jakbym tak przeziębila się na śmierć? Pogrzeb oczywiście na naszym cmentarzyku w Mięsowej, ksiądz Antoni mówi o mnie w samych superlatywach. W kwiecie wieku, mądra, bo garnęła się do nauki, ale widać Bóg miał inne plany w stosunku do mnie. Niech to będzie nauczka dla wszystkich, że trzeba tak żyć, jakby ten dzień miał być ostatnim. Mama płacze, ojciec zastanawia się,

co zrobić z pieniędzmi, Anka buczy, ogolony Bebeś ją obejmuje. Jest brzuchata Sylwka z Zenkiem, sąsiedzi. Błady Olaf z pękiem róż. O Boże, ale brednie. A może puścić wodze fantazji dalej? Proszę bardzo. Ojciec rzuca się na trumnę, szłocha i ryczy, że zawsze mnie kochał, że byłem promykiem jego życia, ale nie zdążył mi powiedzieć, a taki był dumny ze mnie... Już nigdy, ale to przenigdy nie sięgnie po alkohol.

A gdzieś z tyłu, tam, gdzie rosną tuje, stoi zarośnięty, smutny Iz.

**Iz!**

Całkiem mi odbiło!

Mijam przystanek pełen ludzi i skręcam w prawo. Za dwadzieścia minut będę w domu. Obowiązkowo gorąca kąpiel i herbata z cytryną. Mam nadzieję, że nie będzie Bebesia. Teraz w lewo.

Z całego serca żałuję, że nie wsiadłam do tramwaju. Z opuszczoną głową przeskakuję przez kałuże. Wpadam na kogoś.

Iskry.

Zarośnięty, w ciemnozielonej, suchej kurtce i wytartych sztruksach. Musiał wysiąść z odjeżdżającego właśnie autobusu.

Nie - ja z wrażenia o mało nie pada na zawał. Gorączkowo zastanawia się, jak wygląda z mokrymi włosami i czerwonym z zimna nosem.

- Nie za gorąco na spacer? - Iz śmieje się drwiąco. Mnie łomocze serce, modlę się, żeby tego nie było słychać.

Nie - ja jest przekonana, że Iz jest szczęśliwy z powodu naszego przypadkowego spotkania, tylko nie wie, jak to okazać.

- W sam raz - odpowiadam. Nie - ja ma ochotę rzucić mu się na szyję i zacząć całować. - A ty, co?

- Do chaty. Tu teraz mieszkam - wskazuje na pobliski budynek. Białoszara, czteropiętrowa, nowoczesna plomba.

- Nieźle.

- Za dwa tygodnie mam wylot - rechocze. - Wraca właściciel i sam będzie sobie podlewał chaberdzie.

- Dasz mi gorącej herbaty? - proponuje naraz pewnym głó-

sem nie - ja. I już nie ma rumieńców, kołatania serca ani ucisku w żołądku. - Zimno mi - dodaje niepotrzebnie.

- Nawet z cytryną - mówi Iz. Lecz dopiero po dłuższej chwili. Chyba jest lekko zdziwiony.

Ale na pewno nie tak jak ja.

\* \* \*

Bez celu chodzę po pustym mieszkaniu. Karolka biega za czarną futrzaną myszką, którą kupił jej kiedyś Olaf. Na stole w kuchni, obok opakowania po chipsach i talerza z resztkami zaschniętego budyniu czekoladowego, leży tajemniczo brzmiąca kartka od Anki. *Trzymaj kciuki. Ważne. Będę późno.*

Nawet nie zamierzam zastanawiać się, dlaczego mam trzymać kciuki. I wcale nie zamierzam ich trzymać. Mam własne sprawy. Też ważne.

Ze wszystkich sił staram się nie słuchać ćwierkania tej idiotki, nie - ja. Co ona narobiła!

Co ja narobiłam!

Znowu dzwoni stacjonarny. Jestem pewna, że to Olaf. Niech sobie dzwoni.

Sięgam do lodówki po puszkę Bebesia. Piwo mi nie smakuje, Karolka siedząca obok zlewu denerwuje mnie. A niech to wszystko cholera jasna weźmie!

Do mieszkania wchodzi Anka. Uśmiech od ucha do ucha, błyszczące oczy. Dawno jej takiej nie widziałam.

- Rozmawiałam ze starą! - woła od progu. - Myślałam, że z nerwów padnę, Bebeś dostał biegunki ze strachu...

- I co? - pytam, ale bez zbytnej ciekawości. Wolałabym, żeby już złapała jako taki pion psychiczny i wyprowadziła się ode mnie.

- Najpierw muszę siku, potem ci powiem. Znika w toalecie.

Włączam telewizor, żeby czymś zająć myśli. I wtedy ktoś puka do drzwi.

Patrzę przez judasza. Wszystko we mnie buzuje. Czuję nadciągającą burzę. Powoli otwieram drzwi.

- Marcyśka, co jest grane? - patrzy na mnie zimnym wzrokiem.

- Nic - zagryzam usta. Na pewno nie ułatwię nam tej rozmowy.

- OK. Przyjmijmy, że się czepiam. Mogę wejść? - Tak.

Stoimy w przedpokoju.

Dwie osoby, które parę dni temu świętowały swoją dwutygodnicę. A dziś zupełnie sobie obce.

On tego jeszcze nie wie.

Od początku czułam, że do siebie nie pasujemy, że nic z tego nie będzie.

Nie ma we mnie ani smutku, ani żalu. Tylko ogromne znużenie.

- Co z twoim telefonem? Znowu się rozładował? - rzuca złośliwie.

- Nie... Miałam korki, to wyłączyłam, potem zapomniałam włączyć.

- Domowego też nie odbierałaś.

- Musiałam pomyśleć. - I co wymyśliłaś?

- Mam zły dzień - mówię cicho.

Podchodzi i zamyka mnie w swoich ramionach.

A może to szansa dla mnie? I nie mogę jej zmarnować? Przecież on nie musi o niczym wiedzieć, a „to” się już nigdy nie powtórzy. Będę miłsza, w najbliższych dniach pozwolę mu się ze sobą kochać...

Nie.

Zasycha mi w ustach. Przesuwam językiem po spierzchniętych wargach. Odsuwam się od niego.

- Przespałam się z chłopakiem. - Zielone oczy zwięzają się. Olaf patrzy, jakby chciał mnie zabić. - Przepraszam - dorzucam idiotycznie.

I co teraz? Co teraz? Nie - ja podszeptuje, że rudy wywali zaraz tekst o tym, że jednak mnie kocha, że spróbujemy jeszcze raz, że wszystko będzie dobrze.

- Kurwa mać! - słyszę zamiast tego. Opuszczam głowę.

Wychodzi z mieszkania.

I to już? Po wszystkim? Przez moment nasze ścieżki życia zbiegły się, był mój spokój i jego niewątpliwe uczucie, a teraz z tego wszystkiego zostało tylko to „kurwa mać” rzucone we mnie?

Była para, nie ma pary...

Strzelają drzwi toalety. Przede mną Anka.

- Cholera, Marcyśka, coś ty najlepszego zrobiła? - jęczy.

- Powiedziałam prawdę.

- Ja nie o tym. Z kim się przespałaś? Z tym dupkiem Izabelem?

- Z tym dupkiem - przytakuje.

I przed oczami staje mi ten dupek.

Jego pośpiech, gwałtowność, iskry, ostre słowa, że przecież nic nie obiecywał, gdy nie - ja się rozplakała, bo przecież ona jednak ciągle o nim myśli.

Nadal czuję smród papierosów, którym przesiąknięte było tamto mieszkanie. Jasne, nowoczesne, z ogromnym łóżkiem, w którym znalazłam damskie stringi, a w łazience tabletki antykoncepcyjne i kosmetyki jakiejś foczki.

Siadam na podłodze i opieram się plecami o ścianę. Anka kuca na wprost mnie.

- Marcyśka, co teraz będzie?

- Nie wiem - odpowiadam szczerze. - Tylko nie krzycz, już mi jest wystarczająco źle - proszę.

Patrzy na mnie z troską. Martwi się, że zerwałam z Olafem, z którym tak pasowaliśmy do siebie, martwi się, że wystarczy, aby ten cholerny Iz skinął tylko na mnie palcem, a już pakuję mu się do łóżka. No i na pewno teraz się załamie, bo przecież mam jeszcze problemy ze starymi.

Coś mówi, gestykuje. Nie słyszę jej wcale. Zupełnie tak, jakby ktoś wyłączył dźwięk.

„Co teraz będzie?”

Nie mam rodziny, Olafa, Iza.

Mam bliźnię.

Mam swoje plany, marzenia.

Będą jeszcze złe i dobre decyzje.  
Wydeptuję ścieżkę swojego życia.  
*Koniec*